

MARIA RODZIEWICZOWNA

BYLI I BĘDĄ

WYDANIE PIERWSZE: WARSZAWA 1908 GEBETHNER I WOLFF
WYDANIE V: POZNAŃ [1928] WYDAWNICTWO POLSKIE („PISMA” T. 21)

I.

Wielkie bory, co pokrywały prawie całą okolicę, przerżnięte były szerokim szlakiem pocztowego gościńca. Na drodze i w borze była wielka cisza. Ścieżką przydrożną, pod cieniem starych sosen, szła szara postać żebraczki. Chustą okryta, sakwami obwieszona, kijem się podpierając, szła szybko, cicho, ledwie, zda się, bosymi stopami tykając ziemi. Spod chusty wyglądała twarz brunatna od skwaru, sucha, ostra, z czarnymi, bystro patrzącymi oczami. Krok miała tak chyży, że mogła sprostać końskiemu truchtowi, a ruchy żywe i młode. Nie ustawała, dopóki bór ją otaczał, ale oto sosny poczęły się mieszać z świerkami, droga pochylać się lekko, łagodnie, drzewa jakby się rozstępować i oto gościniec wpłynął na szeroki szmat pól, łąk obejmujący, jak okiem sięgnąć, żyzną, ludną, zbożną równinę.

Na granicy borów i pól, jakby warta lasu, stał stary dąb, a po drugiej stronie drogi kapliczka drewniana, daszek na czterech rzeźbionych słupkach okrywający niezdarną drewnianą figurę świętego Kazimierza.

Tutaj zatrzymała się żebraczka i jęła się bystro po okolicy rozglądać, jakby rozważając, dokąd po chleb i nocleg skierować się miała.

Na widnokręgu dwór czerniał duży, szeroko rozsiadły, łącząc się z gościńcem dwoma rzędami topoli; wprost długą linią ciągnęła się wieś, a na lewo, jak bukiety, rozrzuconych było kilkanaście osad, otaczających drewniany niepozorny kościółek; het, na widnokręgu znowu bory obejmowały kraj w ciemną ramę i ku nim chyliło się słońce, znacząc odwieczerz^{*} sierpniowego dnia. Po polach, jak mrówki, uwijali się ludzie.

Szelest rozchylanych gałęzi przerwał ciszę boru. Żebraczka dosłyszała i w okamgnieniu skurczyła się, zmaląła, do ziemi, zda się, przypadła — miała pozór stuletniej baby — obejrzała się.

Z lasu wyszedł na drogę drab w mieszczkańskiej kapocie, rośli, barczysty, patrzący spode łba. Przyjrzał się starej, potem zerknął mimochodem na dąb i spytał:

— Ty co tu robisz, starucha?

— Z daleka idę, po prośbie.

— Nu, to idź, czegoż stoisz.

— Tak sobie, przystanęłam, by spocząć. Wy tutejszy?

— Tobie co do tego?

— Chciałam spytać, czy dwór bogaty? Warto wstąpić?

— Ten tam? Kozary? Tam pusto.

— Jak to?

— A tak to. Pana Hrehorowicza rozstrzelali, a pani z dzieckiem kędyś u krewnych. We dworze stoją jeniejcy.

— I nic im z tyłu dostatków nie zostało?

— Komu? Hrehorowiczom? A cóż miało się zostać? Może te Grele, gdzie stara siedzi, jego matka. A ty ich znasz?

— Byłam kiedyś przed laty w tych stronach, tak sobie przypomniałam. Cały kraj znam.

— To nie warto było w te strony wracać.

— Ot, do kościoła pójde. Ksiądz opatrzy.

— Ale, opatrzy, spodziewaj się. Już go dawno nie ma. Kościół zamknięty.

— Więc któż jest?

— Pustka. Wszędzie, het. W Kozarach, w Krośnie, w miasteczku, po wsiach, po dworach. Ot, do krośniańskiej szlachty idź. Ci jeszcze siedzą!

Baba stęknęła głucho, na kiju wsparta powiodła oczami wkoło. Zatrzymała je na kapliczce.

— Figura się też zwała? — szepnęła.

^{*} o d w i e c z e r z — czas przed kolacją.

— Co się miała walić. Toćby odnowili! Bawili się goście, krzyże wszystkie powalili, nie widzisz to?

Wskazał na dąb, na leżące potrzaskane drzewo Bożej Męki i dodał ze śmiechem:

— U nas teraz porządnie i cicho. W borze nawet dzięcioł nie kuje. Ruszaj, gdzie chcesz, nic cię złego nie spotka, boś stara i nie—urodziwa.

Baba podreptała naprzód i skręciła na pełną drożynę ku krośnieńskim sadybom; drab przepadł w gęstwinie. Teraz widok szeroki zginął z oczu żebraczki, widziała tylko poletka różnobarwnej ścierni, owsiane półkopki, zieloną nać kartofli po zagonach. Weszła w szachownicę pól szlachty krośniańskiej — zmierzała ku obejściom gospodarskim. Po drodze ludzie pracujący nie podnosili prawie oczu na nią. Mężczyźni ładowali owies na fury, kobiety wyrwały len. Stojem się tylko różnili od chłopów, zresztą pracowali ciężko, wyglądali ubogo. Kobieta zaczęła wreszcie młodą dziewczynę wiążącą len w snopy i tak zajęta i zamyśloną, że drgnęła słysząc ludzką mowę.

— Pochwalony. Czy u was przygarnięcie na noc dostanę? Z daleka idę! Ustałam! — żałośnie przemówiła stara.

— Idźcie śmiało. Ot, pierwsza nasza zagroda. Matka was przyjmie.

— Psów się lękam, już raczej pomogę, to razem pójdziemy. Dziewczyna w milczeniu przystała. Stara poczęła powrósto rozścielać i gadać.

— To u was po okolicy jak mór przeszedł. Dziewczyna poruszyła brwiami.

— Dwór przepadł, ksiądz przepadł, kościół zamknięty. Jakoście cudem ostali — biadała dalej stara.

— Małe ludzie my, nieznaczone.

— A u was, u szlachty spokój? Byli pewnie chłopcy w partii*, nie wzięli kogo?

— Nie. Wszyscy doma. Ale nie wiadomo co będzie. Ktoś nas zgubić chce. Wy od miasta idziecie?

— Od miasta.

— Na dębie, co u boru stoi, naprzeciw kapliczki, niceście nie widzieli?

— Nie. Co miało być?

— Wisielec.

— Widziałam, po naszym kraju chodząc, dużo wisielców.

— Dwóch ktoś powiesił jenisiejców, broń Boże trzeci, tośmy przepadli. Za tamtych siekli gospodarzy.

— Waszych? Dlaczego?

— Bo dąb na naszych gruntach. Teraz co nocy chłopcy wartują tam, żeby dopilnować. Jakbyśmy złapali, kto to czyni, dostawiliby do naczelnika.

— Tak się to boicie! Oj, widać, że wam jeszcze żaden palec nie obierał, tak się boicie!

— Dobrze wam mówić, te sakwy mając i nikogo swego i chleba prosząc.

— A to myślicie, że od urodzenia tak sama byłam i z sakwami na świat przyszłam, na drodze. Oj, było wszystko, a póki było, był lęk i żal stracić, i troska, by uchronić. To tak tylko do pierwszego kucia, do pierwszego ognia, do pierwszego rozgrzania. Jak żelazo człowiek jest. Wy się jeszcze wszystkiego boicie, bo wasze dobro i dostatki wszystkiego się boją. Złodzieja i ognia, i prawa, i siły.

Dziewczyna przestała wiązać snopy; patrzyła na starą.

— Napatrzyli my się, napatrzyli. Ot, w Kozarach pan Hrehorowicz nic się nie bał i nie ma go. A nasz ksiądz też nic się nie bał i ot, ni księdza nie ma, ni kościoła. Jak się nie lękać!

— Jak na was przyjdzie, to się nauczycie.

— Czego się nauczymy?

— Co to jest.

* p a r t i a — w powstaniu 1863 roku: oddział partyzancki

Wyprostowała się i rzuciła ręką het szeroko wkoło siebie, a potem stanęła z oczami podniesionymi w niebo, bez dźwięków poruszając ustami. Dziewczyna zrazu zdumiona, zaciekawiona, zrozumiała wreszcie, że to obłąkana i obejrzała się, jak by jej się pozbyć lub uciec.

Na szczęście wóz się ukazał na drodze, powoli się wlokąc.

A stara z szeptu przeszła w wyraźną mowę.

— Bo ziemia jałowuje, gdy żelazem jej nie ruszą, bronami nie poszarpią, potem krwawym i łzami nie zleją. A cep ziarno wyłuskuje, co pod ziemię kły puszcza i, lodami skute, czeka wiosny!

Wóz nadjechał. Bokiem siedząc, z nogami między szczeblami drabiny, powoził nim szlachcic.

— Panie Wincenty, może byście mój len po drodze podwieźli — poprosiła dziewczyna.

— Radem usłużyć panie Marcelce.

— Pan z miasteczka?

— Pańszczyznę odrabiałem terażniejszą. Aż do Uhlan pędzili po mąkę i kaszę! Nawet zapłacili.

Podniósł czapkę i pokazał czerwoną szramę. Potem, nosząc wraz z dziewczyną snopy na wóz, mówił krotoczwilnie*.

— Powiedział starszy: *na тебе, stupaj!** Ja czapką przykrył, żeby nie zgubić, i pojechał. Pan ojciec wasz już wstał?

— Leży cały siny. A pan Kalasanty to nie wytrzyma, już i mowę stracił.

— No, nie dziw. Siedemdziesiąt lat to już nie pora w skórę brać. Spotkałem waszego Wiktora pod miasteczkiem, myślałem, że pojechał na zapowiedzi dawać.

— Nie do wesela nam teraz! — szepnęła dziewczyna.

— Wszystko swoim porządkiem. Słyszę, na przyszły tydzień z miasteczka goście wyjdą i spokój wróci. Co to za stara? Niemowa?

Żebraczka siedziała na skraju drogi, bez ruchu patrząc w jeden punkt. Dziewczyna szepnęła parę słów i szlachcic rzekł z politowaniem:

— Chodząc po naszych drogach teraz, to dur łatwo napaść może. No, gotowe, wstąpię do państwa za jednym zachodem chorego kuma odwiedzić. Hej, matka, jak chcecie wieczerzy i noclegu, to idźcie za nami.

Ale stara zdawała się nie słyszeć. Tak ją zostawili.

Wieczór zachodził; po polach rozległy się nawoływania do powrotu do osady. Nad dworkiem zakwitły dymy z kominów, od pastwisk ciągnęło bydło. Jak zwykle, jak co roku, co wieczór, od setek lat. Tylko nigdzie nie słyhać było śpiewu, śmiechu, wesołego pokrzykiwania młodzieży, pastuszej fujarki, kościelnego dzwonka na Anioł Pański. Kraj umilkł, ludzie oniemieli!

Żebraczka podniosła się z zagona na turkot nadjeżdżającego wozu. Ten był wysłany kilimkiem, zaprzężony w parę koni i siedział na nim młody chłopak w szarym samodzielnym surducie i kraciastych spodniach.

Stara zatrzymała go jękliwą prośbą:

— Gospodarzu młody. Podwieźcie mię, zanocujcie. Nogi nie słuchają, głodnam, psów się boję!

Zawahał się chwilę, wreszcie konia wstrzymał.

— Siadaj. Niewesoły będzie u mnie nocleg. Przysiadła na słomie z przodu, ruszyli.

Przyjrzała mu się nieznacznie. Miał zacięte usta, oczy siwe, twarz suchą, wyraz uporu i siły w całej głowie i postaci.

— Z daleka idziecie? — zagadnął.

* krotoczwilnie — żartobliwie.

* na tebe, stupaj! (ros.) — masz i ruszaj!

— Oj, aż zza Bugu. W Ostrej Bramie byłam; wędruję po proszonym. Pacierze umiem, pieśni wszelkie, trochę na lekach się znam. Ot żyję.

Spotkali dwóch ludzi naprzeciw idących. Zamienili pozdrowienie.

— Dziad żyje? — spytał chłopak.

— Żyje, ale podobno kiepsko z nim. A ty księdza nie zastałeś?

— Pojechał do Grel spowiadać tam kogoś i chować. Czekałem, nie doczekałem się, może go wzięli. Do Grel straszno jechać. Każdego zapisują, kto tam się pokaże. A wy na wartę idziecie do dębu?

— Aha. Nie słyszałeś czego w miasteczku.

— Nie. Śpieszyłem.

Minęli się. Stara się odezwała:

— To dziadek wasz słaby?

— Onegdaj na rynku dziesięciu naszych, samych najważniejszych gospodarzy, karanych było. Tamci młodszy, wytrzymali. Jego na wozie przywoziłem.

— Stary bardzo?

— Siedemdziesiąt lat sobie rachuje, ale nie poznać było. Wojskowy człowiek. Z nieboszczykiem Hrehorowiczem, ojcem tego, co dopiero rozstrzelali, to jeszcze w polskim wojsku służył. Taki, sądzone było, że z choroby nie umrze.

— A ojciec wasz doma?

— Pomarli z matką na cholere. My z dziadem tylko na gospodarce. Babkę pochowali w poście.

Wjechali między osady, co niedaleko siebie, na wzór wsi rozrzucone leżały, sadkami przedzielone.

W domach już świeciły ognie, gumna były pełne zboża, po sadach owoc dojrzały woniał.

Stanęli wreszcie u jednych wrót i skręcili na podwórze. Chłopak jął żwawo konie wypręgać, stara weszła do chaty, do izby, gdzie się świeciło. W izbie bielonej, wyższej i strojnieszszej od chłopskich, leżał w kącie na łóżku stary, łysy człowiek. Oczy miał przymknięte i dyszał. Koło niego na stołkach siedziały dwie kobiety sąsiadki i dziewczyna, którą żebraczka widziała w polu. Obejrzały się na skrzyp drzwi, dziewczyna coś szepnęła jednej z kobiet, ta wstała.

— A kto tam? — ozwał się nagle chory.

— Uboga, na nocleg, jeśli łaska.

— Nocuj. Wędrował i ja tak kiedyś. Nakarmijcie, niech spocznie!

Stara usiadła na ławie u progu, zdjęła sakwy. A wtem młody wszedł do izby, przystąpił do łóża, popatrzał. Stary go poznał oczu nie otwierając.

— A co? Znowuś konie zgonił darmo. Nie ma księdza?

— Do Grel pojechał, a tam nie puszczają. Warta stoi. Co miałem robić!

— Nic. Nie twój kłopot. Już ja się przy apelu wiem jak wytłumaczyć, zem przyszedł bez pomazania.

— Oj, Boże mój, dziadku, nie mówcie tak — szepnęła żałośnie młody.

— Dureń jesteś! — rzekł stary rozwierając oczy. — Żałujesz to mi takiej śmierci. Nieboszczyk kapitan do końca żałował, że na polu nie został.

— Bodajby tym ścierwom cholera kiszki pokręciła za moją żalność po was!

— Cicho, cicho! — upomniała jedna z kobiet poglądając na żebraczkę.

— Dureń jesteś! — powtórzył stary. — Chciałeś, bym cię ciągle niańczył. Już ci pora swoim rozumem żyć. Słuchajże teraz i byś wszystko spełnił.

Z wielkim wysiłkiem sięgnął pod poduszkę i wydobyl kluczyk.

— Na, masz. To od skrzynki, co w świronku* stoi za drzewem. Tam znajdziesz mój przyodziewek, co go na Zmartwychwstanie trza na sobie mieć. Uchowałem go, cały

* ś w i r o n e k — na Litwie pomieszczenie do przechowywania ziarna, ubrań i kosztowności.

żołnierski rynsztunek. Obleczesz mnie weń, krzyżyk do piersi przypniesz, a on szmat chorągwi, co tam na spodzie leży, to mi pod głowę do trumny dasz. A pochowasz mnie choć i bez księdza, ale na naszym cmentarzu, do miasteczka nie wieź!

— Panie Kalasanty, toć zgubicie chłopca. To nie wolno — jęknęła jedna z kobiet.

— Wynosić się, baby! To nie kądziel ani kurza grzęda. Tu ani mamek, ani nianiek nie trzeba. Poszli!

Tak podniósł głos, że kobiety cofnęły się pod ścianę i stało się cicho, tylko słyhać było pochlipywanie dziewczyny.

— Kto tam beczy?

— To Marcelka — odparł młody.

— Owca, za innymi beczy, a takim uczył i uczył.

— Ja też nie ze strachu płaczę, ino z żałości.

— Łżesz. Straszno ci. Ale niech no mu w poprzek powiesz temu, co uczynić przykazuję, popamiętasz. Przyjdę, zobaczysz, że przyjdę, spod ziemi, z tamtego świata. Ja umiem wędrować! Wiktor, słuchasz ty, wiesz, dlaczego ciebie tak ochrzcili? Pan Hrehorowicz, mój kapitan, tak wybrał, że to znaczy zwycięzca. Rozumiesz?

— Wszystko, co dziad każe, spełnię! — rzekł chłopak spokojnie.

— Niechbyś no nie spełnił. To tak! A pochowawszy mnie, pójdziesz do Grel, do starej pani, z raportem, że stary Kalasanty zmarł nie na żadną słabość. I jakby jakie polecenie miała, albo posyłkę, to ty służ. Rozumiesz, akuratnie odraportuj.

— Słucham, dziadku!

— No, to jakby i wszystko. Dobro i wszystko, co jest, twoje. Trzymaj w garści i pilnuj, ano się w dostatku nie kochaj. Jedno zdechnie, drugie się spali, nie trza się o to turbować. Ale ziemi to nie puść, pazurami, zębami dierz. Ziemia się nazywa grunt, w niej wszelkie korzenie tkwią, i trawy, i drzewa, i człowieka. Puścisz ziemię, będzie cię wiatr nosił po świecie, suchą łomakę! A uchowasz ziemię — to choćby cię sto razy od niej oderwali, to wrócisz i zakorzenisz się znowu.

— Oj, święte słowa, święte! — rzekła przeciągle jedna z kobiet.

— A niby to rozumiecie. Jakże, o jakiej ja ziemi to gadam?

— O jakiejże, o naszej.

— Co to? Naszej?

— Ot, o tych zagonkach, co je od wieku trzymamy.

— Durne wy. Nasze i pod Krakowem, i pod Smoleńskiem. Oj, zgłupiał naród, zgłupiał. Bodajby was znowu do szkoły nie wzięli, byście sobie przypomnieli! Leżycie teraz jak żyto z plewą, co i ziarna nie widać. Bodajby was na taki wicher nie puścili, co odczyści ziarno od miękiszy. Panów teraz młynkuje, może i na nas przyjsć.

— Zaguba wieczysta! — jęknęła kobieta.

— Uchowa może Bóg, a jak by przyszło, to nie zaguba i nie wieczysta. Głupie wy, myślicie, że ot, ten nasz kościół zamknięty nie żyje, ojoj, jak on żyje, myślicie, że młody pan Hrehorowicz zabity nie żyje, trzy ludzkie pokolenia przeżyje. A myślicie, że ot, ja jutro całkiem umrę? Jeszcze Wiktora dzieci wychowam! Wybałuszacie oczy, zrozumiecie kiedyś, a nie wy, to dzieci wasze.

Zmęczył się, wyczerpał, chwilę leżał bez ruchu. Ciało jego było jedną miazgą, inny by jęczał z bólu lub osłabł, stary żołnierz nawet skrzywienie za dyszonor sobie miał.

— Marcelka! — ozwał się po chwili.

Dziewczyna zbliżyła się.

— Pokłękajcie z Wiktorem. Na ślubie waszym nie będę, teraz pobłogosławię. Uczyłem was, powiadałem jako iść, by nie błąkać się, życia ni zgonu się nie bać. Nie zróbcie mi wstydu, pamiętajcie. Nie ma nic strasznego, tylko wstyd! Nic się nie bójcie, póki Bogu i ludziom oko w oko możecie stanąć bez sromu! Dajże wam Bóg do zgonu takie światłe oczy!

Położył rękę na ich głowach, głęboko odsapnął.
— To i wszystko. Skończyłem. Mówcie kto pacierze.
Kobiety poruszyły się, gdy nagle z kąta rozległ się wyraźny, uroczysty głos żebraczki:

Bogurodzica, Dziewica, Bogiem sławiona Maria!
Twego Syna, Gospodzina,
Matko zwolena, Maria,
Ziści nam, spuści nam. Kirie elejson.

Pan Kalasanty oczy szeroko rozwarł.
— Kto mówi? — spytał.
— Uboga! — szepnęła Marcelka.
— Niech mówi, niech mówi, oj Boże!
I po zapadłych, zmienionych rysach poczęły mu biec łzy.

II.

U wjazdu do miasteczka miał swój dworek, ogród i kawał pola mieszczanin Ignacy Bohuszewicz. Oprócz roli zajmował się biciem wieprzy i konowalstwem. Sławny był z olbrzymiej siły i zuchwałości. Przed rokiem ożenił się z córką zakrystiana, dziewczyną nadzwyczaj urodziwą, w której się na umór rozmiłował, i gdy powstanie ogarnęło kraj, Bohuszewiczowa karmiła synka.

Bohuszewicz trzymał się od ruchawki z dala, raczej był jej przeciwny, nazywał zgubą i zaturą. Miasteczko w ogóle całe, złożone przeważnie z Żydów, było lojalne i gdy pewnego dnia zostało zalane wojskiem upojonym rozbięciem partii w lasach, przyjęło to najście jako koniec zastoju w handlu i niepokojów.

Rozpoczęły się krwawe widowiska, sądy, egzekucje, zwożenie i wywożenie podejrzanych. Żydzi złożyli wojennemu naczelnikowi gruby haracz, byli więc osłonięci przed rozbojem i swawolą żołnierstwa, i handlowali, robiąc świetne interesy na łupach dworów zrabowanych i obdartych powstańców. Zrobił wtedy i Bohuszewicz dobry interes. Po śmierci Hrehorowicza i zakopaniu trupa w rowie żydowskiego cmentarza, w nocy zjawił się doń stary człowiek i ofiarował mu sto rubli za pomoc w wykopaniu i przeniesieniu trupa na wygon do podwody.

Złakomił się łyk. Gdy dobrze ściemniło się, poszli ze starym. Kirkut graniczył z polem Bohuszewicza, znaleziono mogiłę, zaczęli kopać.

Pora była wybrana dobrze, bo tejsze nocy obchodzono w miasteczku prazdnik^{*}, i cały ruch i życie wrzało na rynku i po szynkach.

Gdy dokopali się zwłok, stary na nie upadł z jękiem. Trup był do naga prawie obdarty, w płachtę okręcony, umazany krwią i ziemią.

— Nu co! Nie wskrzesie od lamentu. Było cicho w domu siedzieć, panowałyby dotychczas — burknął Bohuszewicz. — Nie zwlekać, na wygon daleko, a juści nie ty, stary, go doniesiesz. Ustąp!

Siłacz wydzwignął zwłoki na wierzch i wtedy zauważył, że palec prawej ręki był ucięty.

— O, pierścień był pewnie. Onegdaj mogłem kupić może ten, tanio, za rubla.

— Siwy kamień był z herbem. Jeślibyście dostali, dam wam dziesięć rubli.

— Pewnie już Żydy mają. No, ruszajmy.

Zarzucił dół i zarówno, potem, owinąwszy zwłoki w przyniesiony przez starego płaszcz, poszli, kędy prowadził Bohuszewicz. W miasteczku wrzało od pieśni i zabawy.

Na wygon było wiorst parę przez grząskie łąki. Stary rychło ustał i Bohuszewicz sam niósł, a zmęczony począł burczeć:

— Potrzebna mi taka robota, a panom takie wojowanie. Co im brakło, ot temu. Takie Kozary, tyle bogactwa, żeby licho wie po co na taki koniec dojść. Żona, dziecko — sieroty, żebraki, i każdy się jeszcze natrząsa.

— Co nam sądzić! Widać takie przykazanie było — szepnął stary.

— Przystąpiło coś do głowy i tyle. Co to z motyką na słońce się porywać. Ja od początku wiedział, czym się to skończy, i w żadne głupstwo nie laż. Nu, a gdzież ma być ta podwoda?

— Tam, przy olszynie.

Istotnie ujrzał tam Bohuszewicz wóz chłopski zaprzęzony w parę wołów, a na nim kupę siana. Dwóch ludzi w świtkach^{*} czekało na nich.

Nic nie mówiąc usunęli siano, odkryli prostą sosnową trumnę, włożyli w nią zwłoki i znowu okrywszy sianem, ruszyli ku lasom. Stary podążył za nimi, a Bohuszewicz zawrócił do domu, już się nie ukrywając.

^{*} p r a z d n i k (ros.) — święto.

^{*} ś w i t k a — wierzchnia odzież wieśniaków lub drobnej szlachty; sukmana.

Wstąpił do izby. Żona i dziecko już spali, a że mu było gorąco, więc ino kapotę zabrudzoną ukrył w alkierzu, a sam poszedł spać do odryny*. Obudził go jakiś hałas, targanie za ramię, przecknął się, stał przed nim sąsiad.

— Ignacy, rany Pańskie! Jacyś ludzie ci żonę wywlekli! Porwał się, już leciał ku chacie.

— Jak, co? — bełkotał bez tchu ze zgrozy. Dopadł, okno było wybite, drzwi rozwarte, w izbie nieład, ślady szamotania, nikogo w pościeli, dziecko zanosilo się od płaczu.

— Co to? Jak to? Kto był? Gdzie Kasia?

— Toć mówię. Posłyszeli my krzyk, jeden, ale straszny, potem cicho, aż znowu łoskot. Wyskoczyłem, patrzę, trzech coś białego niesie, i przez płot, tam w łoży nad rzekę. Myślę, coś ukradli, tak lecę was budzić i ot co zastałem.

Bohuszewicz zaryczał, porwał leżącą w kącie siekierę i wypadł. Ludzie przerażeni, co będzie, pochowali się po domach, nikt nie śmiał mu pomóc ani pisać. Jakaś kobieta zabrała dziecko i zamknęła drzwi.

Pełni nikczemnego lęku o siebie wyczekiwali katastrofy, mordy, sądu, egzekucji, ale godziny mijały, Bohuszewicz nie wracał.

Okolo południa najśmielsi odważyli się pójść w łoży. Była tam nieprzebyta gęstwina; szukali, wołali, wreszcie znaleźli.

Kobieta leżała w bieliźnie, sina na twarzy, uduszona, nad nią siedział Bohuszewicz. Ludzie wszczęli alarm, pół miasteczka się zbiegło, ale nikt nie śmiał oskarżać, po sprawiedliwość iść, nazwać morderców. Zabrano trupa, poszedł za innymi Bohuszewicz, wezwano księdza, zajęto się pogrzebem — wszystko szeptem, trwożnie, pośpiesznie.

Wśród tych obrządków Bohuszewicz zachował spokój drewna, milczenie kamienia. Był na cmentarzu, był w kościele, wrócił do pustego domu. Nazajutrz kupił kozę, zabrał dziecko i trzymał w izbie wraz z karmicielką. Przez tydzień nie pokazywał się nigdzie. Potem wyszedł do roboty i począł z ludźmi gadać, jakby nic nie zaszło, zajmować się swymi sprawami, chodzić na rynek, zarabiać swym rzemiosłem.

Trochę później odniósł dziecko do teściów, a ludzie, widząc go tak z losem pogodzonego, już go zaczęli swatać, ale Bohuszewicz oznajmił, że zanim żałoby po żonie nie skończy, drugiej ślubować nie będzie. Nawet służącej nie wziął, sam sobie jeść warzył i nikogo do domu nie wpuszczał. Wieczorem nigdy się u niego nie świeciło i kumoszki posadzały, że żal i zgryzotę zapija po szynkach.

W owym czasie zginął bez śladu jeniec. Że zaś znaleziono w rzece jego czapkę, sądzono, że się po pijanemu utopił, i sprawa przeszła bez wielkiej uwagi. Ale w parę tygodni potem przepadł drugi, tego już znaleziono. Uduszony, wisiał na dębie naprzeciw kapliczki świętego Kazimierza. Zarządzono ostre śledztwo, ale oprócz poaresztowania kilku przejezdnych nikogo nie znaleziono, nawet podejrzanego.

I znowu po kilkunastu dniach zginął trzeci w nocy, spośród innych śpiących, przepadł bez śladu, a w dwa dni potem znaleziono trupa na dębie.

Wtedy wzięto pod pletnię* starszyzną z Krosna i zapowiedziano zniszczenie i zagładę kompletną zaściankom, jeśliby się mord jeszcze powtórzył. Wśród mieszczan poszedł tajemniczy szept, że to Bohuszewicz za żonę pomstę bierze. Ale tego nikt nie śmiał głośno rzec i nie było nań najmniejszego pozorów. Na ludzkich oczach ciągle był, chyba nocą. Ludzie truchleli na myśl podobnego zuchwalstwa i zaczęli się lękać Bohuszewicza, by się z nim nie wplątać w biedę, jeśli odkryją.

Lękali się wiedzieć co o nim, żeby się potem na śledztwie nie wygadać, obchodzili jego dom jak zapowietrzony, schodzili mu z drogi, ledwie witali. On zdawał się tego nie spostrzegać, mozolną letnią pracą zajęty. Miał za dwoje do roboty.

* o d r y n a — budynek przeznaczony do składania siana na zimę; szopa.

* p l e t n i a — bicz, dyscyplina

Pewnego dnia, gdy zbierał owies na swym pólku podle kirkuta, zbliżył się doń stary niepozorny człowieczek. Spojrzeli na siebie i poznali się, i nie zamienili powitania, tylko nieznacznie się obejrżeli, czy ich kto nie widzi.

— Czekalem na was, panie Siemaszko — rzekł Bohuszewicz — myślałem, że przyjdziecie po sygnet.

— Dostaliście?

— Dostałem. Noszę go przy sobie, dla was.

Wydobył z cholewy gałganek, był w nim pierścień i sturublowa asygnata.

— I to sobie zabierzcie, tę zapłatę — za tamto.

— Dlaczego? Zatrzymajcie. Narazaliście życie.

— To było przedtem. Pamiętacie, mówiłem, że on lichu wie za co zginął, lichu wie, za co lazył z motyką na słońce. Myślałem, trup to nic, chciałem zarobić na głupich panach, teraz ja wiem co trup wart! Wiecie, słyszeliście, co u mnie było?

— Wiem, straszne!

— No, to ja za tamtą usługę pieniędzy nie wezmę, ani za ten sygnet, mnie u kogo innego zapłatę trzeba wziąć, i wezmę. Pokłońcie się waszej pani od Bohuszewicza, któremu żonę udusili. Idźcie, ktoś nadchodzi.

Stary przypadł do płotu i zniknął.

Poza miasteczkiem dostał się do żydowskiego chlewu, gdzie w kącie stał prosty wóz i koń. Położył się na wozie i udawał sen. O zmroku przyszedł doń Żyd, poszeptali coś z sobą, stary konia założył i wyjechał na dróżkę polną wiodącą ku lasom. Zrazu jechał wolno, potem, gdy zmierzch stał się ciemnością, koń ruszył ostro, a stary znał widocznie dobrze lasy, bo nigdzie się w kierunku nie wahał, choć wciąż jechał ledwie widocznymi drożynami. Było po północy, gdy stanął wreszcie, konia do drzewa uwiązał i poszedł pieszo ku jakimś czerniejącym budynkom.

Był to dwór w Kozarach, a raczej stodoły. Stary dostał się pod samą ścianę i począł rękami czegoś szukać, posuwając się powoli. Wreszcie przypadł do ziemi i grzebiąc, jak pies, otwór pod ścianą, wśliznął się do wnętrza. Trzy razy wydostawał się i wynosił z sobą jakieś skrzynki i worki. Na gumnie rozlegały się gwizdawki stróżów, kroki, nawoływania chłopskich wart. Wtedy stary nieruchomiał. Gdy wyniósł worek, chwilę odpoczywał, rękawem otarł pot i obładowany częścią zdobyczą, ruszył do wozu.

Gdy wszystko zniósł, świt poczynał szarzeć. Wtedy się przeżegnał, odsapnął i w las się wnurzył. Ujechawszy dobrą milę stanął i cały swój ładunek ukrył w bagienku opodal od drogi. Wtedy skręcił i wydostał się na szeroki gościniec.

Koń był zmachany, stary znużony, musiał zasnąć. Obudziło go pozdrowienie. Rozejrzał się i konia zatrzymał.

— Jak się macie, panie Wiktorze. Jakże dziad?

— Pomarł tamtej nocy. Ja do was idę.

— A po co?

— Przykaż dał do starej pani.

— No, to siadajcie ze mną, podwiozę.

— U was we dworze wojsko?

— Nie, chłopcy. Z kołami stoją, wszędzie wążą, szpiegują, donoszą.

— A toć pani była dla nich jak matka?

— To właśnie. Inaczej gad nie płaci. Ja mówiłem, że źle będzie, tak się z nimi cackała, wszystko wybaczyła, na wszystko pozwalała. Toć u nas i nie zasiano wiosną, a żyto tośmy zebrali dworską czeladzią, rola ugoruje. Nie chcą nic i za pieniądze robić. Teraz to i bydła nie ma, ot u nas jak na dłoni, policytowali wszystko za kontrybucję*. Moje dwie krowy zostały i ta kobyła.

* k o n t r y b u c j a — danina karna.

— To jakże będzie? Stary ramionami ruszył.

— Albo ja wiem. Dzieci nam zwożą i trupy!

— I pani tak sama w tym dworze?

— Jest pan Ksawery, pani brat.

— A dzieci jakie? Z Kozar?

— Nie, tam jeden chłopczyk był, to go młoda pani z sobą zabrała do Warszawy, do rodziców. Nam przywieźli dwoje państwa Juriewiczów, po córce pani.

— To i pana Juriewicza nie ma?

— A jak i żywi, to już ich nie ma i nie będzie. Dziewczynka trzylatka ostała i chłopak trochę starszy. Pan Ksawery przywiózł.

— A do kogo to ksiądz onegdaj do was jeździł?

— Nie wiem, ja już trzy dni w drodze. Może stara Monika się spowiadała.

— Mówią, że u was z partii są ranni, gdzieście schowali! — szepnął młody szlachcic.

— Gada, kto nie wie! — mruknął Siemaszko oglądając się. — Toć chamy stróżują, a powiadają, że przed chłopem nic się nie ukryje.

Na jego suchej, ogorzalej, szczeciniastym zarostem pokrytej twarzy przemknął nieznacznym uśmiechem.

— My dziada pochowali, jak kazał, przy zabranym kościele, a niech kto znajdzie mogiłę! — rzekł Wiktor.

— Będzie go nasza pani szkodować. Sami nie wiecie, jaki on ryzykant był, czego on nie wiedział. To pan teraz na gospodarce sam ostał. Dobra fortunka, można żyć. To się i ożenicie rychło.

— Tak myślimy, już w tę niedzielę na zapowiedzi dać. Dziad przykazał.

— A nahodujecie dużo chłopaków, miast tych, co ubyli po lasach.

— Namarnowało się narodu, strach! — westchnął młody. — Ja i sam nie wiem, jakim my cudem zostali. Urodzaj to Bóg dał, jakiego nie pamiętamy, ale czegoś radości nijak czuć, ni z tego dostatku, ni z tego, że może jakoś się wykręcimy. Patrzysz choć w niebo, to jakoś w oczach chmurno.

— Jakżeście to chatę zostawili bez dozoru? Chyba już wasza panna Marcelka nagląda.

— I jej doma nie ma. Posłał ją ojciec do wuja Deremera, na straż, po jakieś sadło, bo mocno potłuczony, ledwie się rusza. U mnie to się jakaś uboga wprosiła. Cudza, ale dziad przed śmiercią z nią gadał i przykazał, by spoczęła, póki zechce. Myślę, że jutro wrócę, jeśli mnie co nie spotka.

— Cóż by?

— Ano powiadają, że kto do Grel zajdzie, to go łapią.

— Jak się boicie, po co idziecie?

— Toć się nie boję, kiedy idę! — hardo odparł Wiktor.

— Dobra w was krew! My już od pół roku sąsiada ni gościa nie widzieli. Wszyscy się Grel lękają, jakby cholerycznych.

Jechali ciągle lasami, ale gościniec dawno zostawili na boku. Czasem musieli przedzierać się wśród drzew, aby ominąć zwały szerokich, świeżo pociętych, a nie sprzątniętych tryb*.

W jednym miejscu Siemaszko się przeżegnał i czapki uchylił.

— Tu kozarskiego pana wzięto, pod tą sosną!

— Nie było mnie albo dziada, ja bym wyprowadził. Mu z dziadem bili tu głuszce i cietrzewie, i tak te lasy znam, lepiej od strażników rządowych. Zaraz tu i wasze grelskie bory się poczynają.

— Nasze poletka niedługo też lasem porosną. Nie będzie mi nad czym ekonomować. Ot, czasy nastały! Żeby choć tyle zasiać, co na chleb dla dworu. Dobrze, że my bezdzietni.

— A jakże pani?

* t r y b a — przecinka, dukt.

— Co, nasza pani? Wiadomo, święta. Nie widział ja nigdy jej łez ni bojaźni, ni desperacji. Tylko biała się zrobiła, biała jak śnieg, i jak przyjdę z jaką nową biedą czy potrzebą, to chwilę pomilczy, pomyśli i odpowie tak mądrze, że człowiek jakby z prorokiem mówił.

Wyjechali z lasów na ugory porośnięte bujnie perzem, nie tknięte od wiosny pługiem; przecinały te pola łąki, olszyny, bagienka, strugi. Na grobli przy rzeczce minęli mały młyn wodny stojący beczynnie. Na brzegu zatoczki na belce siedział człowiek ubrany w szarą czamarkę* i długie buty, i łowił małą siatką ryby. Wyżeł mu towarzyszył i powitał przejeżdżających szczekaniem. Siemaszko stanął, a rybak podszedł ku niemu. Obadwa ukłonili mu się z uszanowaniem, bo był to pan Ksawery Siewruk, brat „pani”.

Szczupły, suchy, średniego wzrostu, z twarzą pełną życia i ruchliwości pomimo siwych wąsów i mnóstwa zmarszczek. Wiktor go znał, bo myśliwy był zawzięty, niestrudzony i gdy tylko odwiedzał Grele, polował ze starym Kalasantym na głuszce. Zresztą byli ze starymi kolegami z wojska w trzydziestym roku.

— Cóż, udało się? — spytał Siemaszki.

— Co się nam nie uda? — uśmiechnął się ekonom.

— On ci pomagał? — wskazał Wiktora.

— Nie. Sam zrobiłem. On do pani — pan Kalasanty pomarł!

— Z chwałą jak na polu, słyszałem, co było.

— Może pan przysiadzie?

— A bodajcie! Wozem, tą szkapą! Nie! Już jak nie na końskim grzbiecie, to wołę pieszo. Zresztą okunie się biorą! Na ryby mi zeszło.

— To pan nie poluje? — zdziwił się Wiktor.

— Dubeltówka stygnie w ziemi, tymczasem. Jeszcze zapolujemy, oho! Czy to pierwszy raz naszej broni milczeć do czasu.

Odszedł gwizdząc: „Jak to na wojence ładnie...” Wózek potoczył się dalej, a Wiktor rzekł:

— Pan Siewruk to nigdy rezonu nie traci.

— Ot, te ludzie wojskowe to jak stalowe.

Minęli groble, olszynkę i stanął przed nimi dwór szary, stary, polem otoczony, o bory oparty. Były to Grele, folwark wydarty spod lasu, niegdyś leśniczówka, którą starzy Hrehorowiczowie zostawiali zwykle jako cichy kątek dla swych wdów, gdy synowie dziedziczyli Kozary.

Dom mieszkalny, drewniany, niski i długi miał w środku ganek opleciony fasolą i powojami, po bokach grządki kwiatów, z przodu trawnik z wielką lipą w środku.

Za domem stary sad obrzeżony szpalerami leszczyny, gęstwą chmielów, bzów, krzewów przeróżnych, spod których strzelały gęste włoskie topole.

Na dziedzińcu była oficyna, dalej folwarczne budynki, z boku od wjazdu staroświecki spichlerz z drewnianą kolumnadą w środku, z murowaną piwnicą i zamczystymi przybudówkami.

Siemaszko zajechał wprost pod stajnię, oddał klacz chłopakowi, poszli na boczny ganek dworu, na kurytarz i weszli do tak zwanej kancelarii.

— Kto tam? — spytał poważny głos z dalszych pokojów.

— Siemaszko i wnuk pana Kalasantego z Krośni.

Na progu stanęła kobieta.

Była wysoka, szczupła, cała w czerni.

Od tego kiru szat odbijała jakby blaskiem twarz blada, spokojna, o bardzo cienkich, jeszcze pięknych rysach, otoczona srebrnymi bujnymi włosami. Była to pani Michałowa Hrehorowiczowa, którą stary i mały, obywatel, chłop, Żyd, wszyscy nie nazywali inaczej jak panią marszałkową z Grel. Panna cudnej urody niegdyś, potem szczęśliwa żona ukochanego i kochającego człowieka, szczęśliwa matka dwojga dzieci, bogata pani otoczona czcią,

* czamara — wierzchnie okrycie męskie, podbite futrem, z przodu zwykle szamerowane, noszone w Polsce w XVI–XIX w.

miłością, dostatkiem, teraz wdowa, sierota, nędzarka samotna na zgłiszczach i grobach. Podeszła żywo do Wiktora i rzekła:

— Nie ma pana Kalasantego?

— Pochowalim onegdaj, w podług pana marszałka.

— Sami?

— Tak kazał. Pewnie ciąganina będzie. Kazał mi tu z raportem i na usługi być.

— Już roboty nie ma. Sprawa przegrana. Teraz kto został, trwać powinien i dobrze pamiętać, na długie lata nie zapomnieć.

— Dziad uczył, wiem. Ale może bym usłużył choć rękami przy gospodarce.

— Dziękuję, chłopcze. Myślę, że w tym roku już się nic nie da dźwignąć. Może potem ludzie się opamiętają, chłopci, i zbierzemy się na inwentarze.

— Zawszeć trza choć cepem ziarna omłócić trochę i w ziemię rzucić! — rzekł Siemaszko.

— To się ostanę do pomocy choć na kilka dni.

— Na zbożu areszt wczoraj położono, aż się odsypie okradziony magazyn wiejski. Stodoła opieczętowana.

— Ja schowałem trochę zboża na siew, zwiozłem po nocy do szopki przy młynie! — oświadczył tryumfująco Siemaszko.

— To go młóćcie i co rychlej wysiejcie, bo jest jeszcze rozkaz płacenia trzystu rubli za straż. Może być lada dzień za to areszt na cokolwiek.

— Ciekawość już na co! — ruszył ramionami ekonom.

— Jak też to można wytrzymać! — rzekł Wiktor.

— To! O mój chłopcze, jakżeby lekko i swobodnie, żeby tylko to. Pani marszałkowa spojrziała przez otwarte okno na dwoje dzieci zajętych kopaniem dołka w murawie. Dzieci były, jak ona, czarno ubrane.

— Jutro muszę być u wojennego naczelnika, może mi się uda zboże oswobodzić. Niech aresztują wykupną sumę. A w każdym razie bądź gotów, Siemaszko, że jeszcze do licytacji za utrzymanie sotników czegoś szukać będą.

— Niech szukają! — przez zęby mruknął stary. — My pójdziemy z cepami, panie Wiktorze.

Posilili się napędce i poszli do młyna. Po drodze Siemaszko tłumaczył:

— Bo to u nas tak. Tę ziemię, co poszła na wykup dla chłopów, oszacowali po dwanaście rubli za morgę. Mówił pan Ksawery, że dostaniemy sześć tysięcy trzysta, a tymczasem, co ja wiem, to za różne kontrybucje i nałogi poszło cztery tysiące. A resztę potraci sobie bank i zostanie mydło. Magazyn pewnie te same ratniki* pomogli okraść, a teraz i magazyn odsypuj, i za tych stróżów płąć. Żeby to kto w książce opisał, toby powiedzieli: ot łże. A to wszystko przeżyć musisz.

— Chyba nie wytrzyma! — rzekł Wiktor.

— Iii, plewa odleci, ziarno zostanie. Jak pocznie pan Ksawery rozpowiadać, ile tu i jakich gości bywało, to i wierzyć się nie chce, jakim cudem jesteście. Grele zostaną, pani nie wypuści. Ja po prawdzie nie wiem jakim sposobem, ale pani tak powiedziała. Musi wiedzieć.

Zaszli do szopki przy młynie. Było tam w kącie szuwarem przykryte zboże. Zaczęli je młócić, coraz wyzierając przez drzwi, czy kto nie nadchodzi. Machali cepami do późnego wieczora, potem, schowawszy ziarno, poszli do dworu. Po wieczerzy do stacji Siemaszków w oficynie przyszła stara Monika, ochmistrzyni, Drozdowski, pisarz prowontowy*, stary Kacper, kredencarz*, i zaczęli gwarzyć.

— Gadali, że pan w partii był, panie Drozdowski? — rzekł Wiktor.

— To czemu nie złapali! — zaśmiał się zagadnięty i dodał poważnie: — Brat i szwagier w partii byli, mnie pani nie puściła, stara matka by sama została, a teraz i siostra z dziećmi przy

* r a t n i k (ros.) — żołnierz.

* p i s a r z p r o w o n t o w y — urzędnik prywatny (oficjalista) obliczający dochody majątku ziemskiego.

* k r e d e n c a r z — sługa mający w swej pieczy kredens; podający do stołu; podczaszy.

niej siedzi. Szwagier w bagnie pod Horycą został, brata wzięli. Chciało mi się iść, my z panem Ksawerym pod Horodłem byli. Zdawało się wtedy: musi nasza być! Tyle narodu, i taki naród, i gdzie on!

— Na nasienie w ziemię poszedł, a siła wzięli i powieźli, że to dobry ród! — rzekł gorzko Siemaszko.

— Dziad mi o Horodle opowiadał i mieli i my pójść, tylko com wtedy nogę wywichnął, a potem gadali, że nie dopuszczają, wszystkich połapią. A gdzież by nas podzieli. Toć narodu było tysiące i tysiące. Jużci od nas nie puszczali przez Bug, aleśmy się przekradli w nocy czółenkami. A potem i do miasteczka nie puścili, no, to my pole pokryli, het, jak zajrzysz, ołtarz pod niebem był, a od chorągwi na niebo łuna biła.

— A wy co? — spytał Wiktor przejęty.

— Poprzysięgli razem żyć i bić się, i ginąć. Zdało się, dusza z ciała wyjdzie, taka gorącość objęła.

— Wiele też dusz poszło z ciał, na taki lichy koniec wszystko się obróciło — mruknął Siemaszko.

— Chłopom wolność wywojowali! — dodała Monika.

— A pieśni pamięta pan? — spytał Wiktor.

— Cyt, ratniki pod oknami! — szepnęła Kacper kredencarz. — Co? Wy chcecie nieszczęście na dwór sprowadzić? Nie dosyć Kozarów i młodego pana?

— Nie ma mego hodowańca, nie ma! — szepnęła stara Monika kiwając głową. — Niedawno, zda się wczoraj, srebrem chorągiew haftowali w garderobie.

— Aha, a potem szarpie skubali! — rzekła Siemaszkowa.

— F ot koniec! — głucho zakończył Drozdowski i z cicha zanucił:

Popalone sioła i zburzone miasta,
A na polu sama zawodzi niewiasta!

Kacper kredencarz do okna poszedł i wyjrzał. Wtem drzwi się otworzyły gwałtownie, na progu, chustą otulona, bez tchu stała kobieta. Zerwali się wszyscy, Wiktor pierwszy.

— Jezu! Marcelko! Co tobie? Czegóż? Dziewczyna łapiąc oddech wybełkotała:

— Już po nas! Lećmy.

— Ale co? Uspokój się! Usiądź! Toć cię zatknie! Co się stało? — rzuciła się do niej stara Monika.

— Powiesili trzeciego! W dzień biały! Diabeł chyba. Od wuja wracałam o południu, patrzę, u dębu kupa chłopów, wartują, trup wisi. Lecę do nas, już wiedzą, radzą, desperują. Taki zgiełk, lament. Uradzili pana Saturnina do miasteczka słać, do Żyda Papirnego, żeby to się wykupić. Złożyli mu pięćset rubli.

— Mieli też kogo wybrać! Taki szachraj i peniacz — rzekł Siemaszko.

— Bo to nikt iść się nie ważył, taki naród zastraszone, że jak pijani chodzą. Zajrzałam do Wiktora, myślę, może wrócił, a tam ta stara uboga w świronku gospodarzy, odzież w worki pakuje. Co robicie? — pytam. A to, mówi, jak zmierzchnie, powynoszę, co się da, w dzwonnicy ukryję. A ty, powiada, leć po niego, niech wraca, bo może jutro będzie za późno!

— Jak to? — spytał Wiktor patrząc po wszystkich.

— At, plecie baba! Co się może stać! Toć was w Krośnie jest z pół setki ludzi, co wam zrobią? Ot, obedną, sztraf* będzie słony — rzekł Siemaszko.

— Może wam w gościnę, na jaki tydzień ze stu jeniejców dadzą! — dodał Drozdowski.

— O Jezu! — jęknęła Marcelka.

— Ja wam radzę, zostańcie tu dni parę — rzekła stara Monika.

— Nie wytrzymamy. Musim lecieć! — rzekł Wiktor.

* s z t r a f — kara, zwykle pieniężna; grzywna.

— Toć wiadomo, biedakom dusza zamiera! — poparła go Siemaszkowa.

— Ha no, to idźcie, ino nie drogą, ale pustkami i z lasu się nie wytykajcie na oślep! — radził ekonom. — Mnie się widzi, że pojedą po waszym dobytku i zbożu, ale zawsze i skóry pilnujcie.

Siemaszkowa prawie gwałtem nakarmiła Marcelkę, a stara Monika rzekła:

— Zawszeć ja pójdę, pani powiem, co ona poradzi. Wyszła, krótko zabawiła.

— Pani mówi, byście, broń Boże, do domu nie szli, w lesie się przyczaili, czekali, co się stanie. A co? I ja tak mówiłam. Pani powiada: tamtych nie obronią, niech lepiej wszystko stracą, a swobodę uchowają.

— Pani myśli, że tamtych wezmą! Jakże? Wszystkich, to nie może być! — rzekł Drozdowski.

Stara Monika milczała. Młodzi, ogarnięci grozą, ni słów nie mieli, ni przytomności. Wyszli nikogo nie pożegnawszy, wyleciał za nimi Siemaszko, przeprowadził do pierwszej ścieżki i szeptał:

— Pamiętajcie, w naszym młynie, od wody, deska się rusza, jest schowek, tyle co dwoje się skuli, ale i czart nie znajdzie. Pamiętajcie, łożami można się dobrać i wsunąć. Bochen chleba znajdziecie.

Oni pomknęli. Wiktor naprzód, dziewczyna o parę kroków za nim. Nie mówili do siebie słowa i szli, jak umieli i jak mogli najszybciej.

Po godzinie przystanęli, by odetchnąć.

— Stara miała rozum ciebie przysłać, a to bym parę dni Siemaszce pomógł.

— Panią widziałeś?

— Widziałem. Na nią popatrzeć, to jak na świętą. Ile to jednakowoż człowiek przetrzymać może!

— A jak myślisz, co z nami będzie?

— Pewnie karę nałożą i egzekucję postawią. No, trzeba biec. Szkoda mi ciebie, zmachanaś, ale spieszno!

— Z tego strachu to nie czuję żadnego zmęczenia. Już mi teraz dobrze, żem z tobą. Macocha będzie się swarzyć, żem poleciała.

— Nie macoszyna ty, ale moja. Dziad nas pobłogosławił. Na złe i dobre my swoi!

— Nie zmylisz ty w tych borach?

— Ani chybnę. Za parę godzin zabiegniem.

Znowu szli milcząc, jedno za drugim. Czasami przedzierać się musieli przez gęstwiny, czasami brodzić przez bagna. Oboje potem byli zlani, dyszeli, ale szli wytrwale.

Wtem Marcelka podniosła głowę, gdy mijali haliznę^{*}, i rzekła:

— Widzisz, jakie dziwne niebo. Jakby daleka łuna. Wiktor stanął, począł się wpatrywać.

— Bo i łuna. Kędyś pożar — odparł.

— O Jezu! Może u nas!

— Nie poznać za lasem.

— Ale jak ci się zda?

— Pokazuje na Kozary! — mruknął i przyśpieszył kroku. Dziewczynie zaczęły znowu zęby szczekać, podnosiła ciągle oczy w górę, ale w gęstwinie nic nie było widać.

— Co ci tak zęby dzwonią! Nie bój że się, toć my razem! — zagadał serdecznie.

— A jak to u nas gore? W twojej chacie nawet i papiery i odzież się spali.

— Toć mówiłaś, że uboga wynosiła, a zresztą, jak Boża wola. Co poradzisz. Jeszcze nie wiemy. Może to Kozary.

I znowu po chwili Marcelka zawołała:

— Słyszysz! Jakiś jęk.

— Gdzie, co ci się roi. Nastawił uszu.

* h a l i z n a — miejsce w lesie nie porośnięte drzewami.

— To w dzwony biją. Ale gdzie? Chyba w cerkwi kozarskiej.

— U nas! W kościele.

— Ot gadasz. U nas pieczęcie, nie wolno dzwonić.

— Toć słuchaj! Po naszymu dzwonią.

Nic więcej nie rzekli. Poczęli biec już na ten dźwięk, który rósł i potężniał.

Nareszcie dopadli do skraju lasu, stanęli i upadli nagle na ziemię.

Przed nimi na równinie z końca w koniec cały zaścianek się palił.

Gorzały chaty i gumna, stertki zboża i stogi siana, płoty, żurawie studzienne, drzewa w sadach.

Stały w ogniu pszczelne ule i wielkie krzyże drewniane strzegące zagród, gorzała ziemia i niebo nad nią, a w łunie i dymie unosiły się sowy i gołębie, i bił dzwon kościelny, i wyły psy, a ludzi już nie było. A wtem dzwon umilkł, wtedy w borze, już daleko, dał się słyszeć parę razy ryk bydła, zresztą tylko huczał głucho pożar, przerywany głośniejszym trzaskiem walącego się dachu i wybuchem rozpryskujących się żagwi i skier.

Jasno było, widać było dalekie pola i najdrobniejsze szczegóły kościoła na wzgórku.

Z dzwonnicy wysunęła się obca żebraczka, usiadła na progu kościoła, rękami objęła kolana i patrzyła na pożar.

I zda się, że ze swych otworów w modrzewiowej odwiecznej dzwonnicy patrzyły też dzwony, i jeszcze drżały ich serca jakby zdyszane.

Ilu pokoleniom dzwoniły na życie i śmierć, ile wieści rozniosły: wojen i mordów, zwycięstw i wesela. A teraz wydzwoniły ostatnie podzwonne, i drżały ich spiżowe serca, i jakby krwawe się zdały w czerwieni pożogi. I już nie będą miały komu dzwonić, w Krośnie już nie było nikogo. Nagle żebraczka się obejrzała, ktoś się zbliżał, czając się wśród zielsk porastających cmentarz. Nie zdziwiła się ujrawszy Wiktora.

— Gdzie ludzie? — spytał szeptem.

— Poprowadzili ich do miasteczka.

— Jak to? Wszystkich?

— Kogo zastali.

— Jakże to było? Jak się to stało? Za co?

— Za to, żeście słabsi, a jeszczeście coś mieli! Ja to niczego się nie boję, nic nie mam i wszystko. A gdzie dziewczyna twoja?

— Tam w lesie, bez ducha leży. Co nam robić?

— Ano, jak w siły dufacie. Chcecie z tamtymi na osiedlenie nowe iść, to wam droga do miasteczka. A chcecie tu ostać, to idźcie w las, jako zwierz borowy żyćcie. Ostawiłeś mnie w chałupie, tom z niej tu ściągnęła do dzwonnicy trzy wory, com znalazła, w nie napchałam, i jedną skrzynkę z alkierza, com udźwigała, też przy—wlokłam. Nie patrzaj na zgliszcza, noc krótka, zabierajmy, co uniesiemy, w las. Tam gdzie w ukryciu przykucniemy, poradzim. Uchodźmy tymczasem, bo tu może chłopstwo nadbiec. Już to wszystko skończone!

Nic więcej nie mówili z sobą. Po chwili wynurzyli się z dzwonnicy obładowani i poszli ku lasom. Wybiegła naprzeciw nich Marcelka.

— O Jezu! Byliście przy tym! Jakże się to stało?

— A cóż, przyszli, porządek swój zrobili i poszli. U nas tak samo kiedyś było. Już i znaku teraz nie ma, gdzie nasza osada była.

— A jakeście ostali?

— Jak wy! Uciekłam. Szukali, trzęśli, śledzili. Troje nas uszło. Mąż i ja z dzieckiem. Już dawno, dziesięć lat temu. To za wiarę było.

— A gdzież wasi?

— Pomarli. Dziecko nie wytrzymało głodu i zimna, zaraz pierwszej zimy. Pochowaliśmy w lesie. A mąż się utopił. Wiosną już przez rzekę poszedł do rybaków, ryby ukraść, załamał

się i przepadł. Ostałam jedna z osady, teraz cała ziemia moja. A takim się zmocowała, że sto lat po niej chodzić będę.

— A nam co robić? — jęknęła dziewczyna.

— Nie pójdę im się zdawać jak zbiegły poddany — rzekł ponuro Wiktor. — Jednaka zguba, toć wołę w lesie głodem zamrzeć niż w lochu. Zostaniam! Niech szukają!

— Macie gdzie się ukryć? Trza wam zaraz iść, dobrą skrytkę znaleźć i przebyć w niej jak najdłużej tymczasem. Choćby i dwa tygodnie nigdzie się nie wytknąć.

— Jakże wytrzymamy bez jada?

— Zostawię wam, co mam w sakwach, i co kilka dni dam wiedzieć co słyhać.

— A tam już nigdy nie będziemy! — żałośnie jęła dziewczyna patrząc na pola łuną oświetlone. — Nie mamy ni dachu, ni ziemi, już nic swojego. O Jezu, Mario Matko, co my zawinili, jakże będziemy!

— Stało się, jako dziad mówił. Ostała nam ta wszystka ziemia. Będziemy po niej się błąkać od Krakowa do Smoleńska! — rzekł Wiktor.

— Dziesięć lat ja ją stopami mierzę. Wola Boża dla nas, by dziedzice żebrakami się stali. Nie bójcie się. Żebraczy kij lepszy od niewoli. Uchodźmy stąd, na ranek się zbiera, a w dzień pewnie obławę uczynią! Uchodźmy!

— Żeby stamtąd choć ziemi szczyptę wziąć! Choć tego popiołu trochę!

— Nie czas! Do kryjówki szmat drogi! — rzekł Wiktor.

— Może by do wuja Deremera do straży iść!

— Do nikogo z ludzi! — przerwała stara. — Chcecie się utaić i ostać, niech nikt, ni ojciec, ni matka o was nie wie. Obcy zdradzi ze strachu, swojego zgubić możecie. Jeden Bóg wam ostał.

— I wy!

— Ja, że nikogo nie mam i wszelkie męki przesłam, każdemu męczonemu służę. Ofiarowanie moje takie.

Jeszcze raz chwilę popatrzyli na swe spalone gniazda i poszli wsiąkając w leśny mrok. Wiktor prowadził, kobiety szły za nim, Marcelka ledwie wlokąc zeszywniałe nogi, stara bystro się oglądając. Tak zaszli w bagna porośnięte marną sośniną, brodzili wśród kęp do pasa sięgających, przedzierali się przez łoży. Nareszcie znaleźli się na piaszczystym garbie, jakby wysepce wśród torfowisk. Jodły porastały ten garb, zbite, gałęźmi do ziemi sięgające. Zaszli się w tę gęstwą i śmiertelnie znużeni pokładli się na mchach i igliwiu. Byli na razie bezpieczni. Wiktor okrył swą kapotą Marcelkę, którą trząsał dreszcz, choć miała rozpaloną twarz.

— Żeby ją nie zmogła jaka gorączka! — rzekł frasobliwie do starej.

— Zgryzota ją zmęczyła. Odejdzie! Ja, wtedy, tom przeleżała pod mostem trzy dni bez ducha. Schowanie dobre mi się zdaje. Pobędę tu z wami do zmroku, potem pójdę między ludzi.

— Wywiodę was z tej matni.

— Nie trzeba. Już dla mnie matni nie ma. Gdzie raz przejdę, nie zbłądę. Miałam ja praktykę dobrą. Po ciemku wszędzie trafię. Teraz wam, jak zwierzęciu borowemu, trzeba pożerować, wody wypić i przespać dzień. Woda w bagnie jest, moje sakwy pełne! Wasz to chleb z Krośny, jedzcie.

— Ostatni! — szepnął chłopak patrząc na kromki chleba.

— Bóg wie, my nie wiemy! Ostatni czy nie? Jedz! Chłopak ukąsił chleba, ale ledwie jeden kęs połknął, schował kromkę w zanadrze, wyciągnął się na ziemi i leżał tak bez ruchu ni słowa godziny. Wreszcie znużony fizycznym zmęczeniem zasnął, zapomniał o wszystkim.

Obudził się, gdy wschodziło słońce drugiego dnia ich tułactwa. Zerwał się, rozejrzał, wszystko przypomniał, pochylił się nad Mar—celką. Spała przykryta siermięgą żebraczki, jego kapotę miała pod głową. Stara odchodząc wszystkie zapasy złożyła pod jodłą, był chleb,

sól, okrasa, trochę cebuli, mały garnczek gliniany, kilkanaście kartofli. Marcelka obudziła się o południu, oboje poczuli głód i pragnienie.

Pierwszego dnia nie śmieli rozpalać ognia ani czym się zająć. Zjedli trochę chleba, popili wodą i siedzieli jeszcze jakby odurzeni, niezupełnie przytomni. Ale w nocy przeszła burza z deszczem i musieli myśleć o ochronie od przemoknięcia, o wysuszeniu szmat.

Wiktor miał szczęściem nożyk i krzesiwo. Rozpalili trochę ognia, ugotowali kartofli, chłopak naciał gałęzi, zrobił w gąszczu budę. Zaczęli już mówić o swym losie. Ratowała ich od rozpaczki i zwątpienia twarda, nieubłagana konieczność życia, tego pierwotnego bytu zwierzęcia. Trzeba jeść, mieć schronienie i nie dać się pojmać ludziom.

Na trzeci dzień począł ich jednak trapić niepokój: co tam się dzieje. „Tam”, to jest u ludzi, u władzy, u siły, u prawa. Poczęła ich też nużyć beczynność, ich, zawsze, ciągle pracujących.

Wiktor poszedł w łozy, nadarł łyka, sporządził dla nich chłopskie chodaki, obuwie schowali na zimę. Ach, ta zima stawała im grozą w myśli! Gdzie wtedy skryć się od mrozu, od śniegu, w co się odziać, jak nie zostawić po sobie tropu! Czwartego dnia nareszcie doczekali się żebraczki. Przyszła o zmroku tak cicha, szara jak cień. Miała znowu siermięgę na sobie, sakwy pełne i ciężkie, bo je zrzuciła z odetchnięciem ulgi.

— Co, co się dzieje? Byliście w miasteczku?

— Byłam cały czas tam. Złowili już dwóch waszych, co się w tę noc wyrwali! Widziałam, dwa chłopaki. Siekli ich na rynku po trzysta nahajek! Tamtych już pogнали dalej.

— Wszystkich?

— Nie. Zmarła kobieta, co w ową noc dziecko miała.

— Któraż? Chyba Feliksowa!

— Dziecko pop ochrzczył. Żyje! Feliks poszedł. W szpitalu dwoje zostało: Nikodem i dziewczyna Romanowa ze złamaną nogą. No i owi dwaj chłopcy zsięczeni też w szpitalu leżą.

— To się już więcej nikt nie uratował?

— Dwóch nie ma, co konie na noclegu paśli.

— To pan Wincenty był i Feliksów chłopak — przypomniał sobie Wiktor.

— Nie ma ani ich, ani koni. Szukają wszędy. A bydło to wczoraj z licytacji sprzedali.

— Kto kupił?

— A któż by? Żydy! No i pan Saturnin przepadł. Nie był u Żyda Papirnego, pieniędzy nie dawał.

— Ten nie zginie. Ma pieniądze.

— A moi? Ojciec i chłopcy? O Jezu! Jezu! — jęknęła Marcelka. Potem siedzieli nieruchomi, milczący, aż wreszcie rzekła stara:

— Was już szukają. Słyszałam w kuźni, jak chłopci gadali, że przykaż po kancelariach dany, by, kto człowieka z krośniańskiej szlachty znajdzie, do naczelnika dostawił.

— Złapią nas — szepnęła Marcelka.

— Niedoczekanie, by żywych dostali! — ponuro rzekł Wiktor.

— Ja, stara, się nie dałam, wy — młodzi! Tu dobra schowka do zimy.

— A zimą jak zająca wytropią.

— Trzeba, jak niedźwiedź w jamie, w śniegu leżeć.

— Zamrzemy z zimna i głodu.

— Dusza twardo siedzi. Zrazu, zda się, pomyslenia nie wytrzymasz, a potem to i sama rzecz znośliwa. Dwie zimy my tak przebyli, z moim!

— Jakże was teraz nie pytają o papiery?

— Bo je mam. A jakże? W porządku.

— Kupiliście?

— Bóg dał. Tamtej jesieni na odpuszczeniu byłam i jak się naród rozpetzał, i ja w drogę poszłam. Idę, noc była, w lesie potknęłam się o coś, macam, człowiek leży nad rowem, kobieta, już zimna. Taka jak ja, żebraczka, drogi dokonała. Myślę sobie: co ją mają po śmierci ciągać, w naszym stanie bezdomnym gdzie kres, tam i mogiła. Odsunęłam ją w gąszcza, pomodliłam się nad nią noc, ogarek gromnicy zatliwszy. A potem nad ranem znalazłam stare borsucze jamy, rozgrzebałam, i tam ją w piasek schowałam. A papiery, co miała w zanadrzu, sobie wzięłam. Nie moje, ale Bóg mnie pozna, a tu takim jak ja, jak wy, nie ma imienia. Zapisani my w innych księgach.

Patrzeli na nią, a ona, jak to nachodziły na nią jakieś zadumania, gdy prawie nieprzytomną się zdawała, poczęła coś mruzczyć, aż w śpiew powolny przeszła:

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec Boży.

Marcelka poczęła płakać, Wiktor się przeżegnał, oboje drgającymi ustami poczęli machinalnie za nią powtarzać:

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten *de profundis* z czarnego kurhanu
Na trąbę wstanie.

I oto nagle odbiegła ich trwoga, uciekła rozpacz, odleciała zgroza i poczucie beznadziejnej niedoli — nie czuli ziemi ni ciał swych.

Zapatrzeni gorejącymi oczami w niebo, powtarzali za żebraczką słowa, co się im ryły ogniem wieczystym w duszy:

Nie straszny nam głód ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy,
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy.

I nie wiadomo, czym była ta kobieta, za którą powtarzali, czy ubogą, bezdomną żebraczką, czy Tą z purpury, mienia, stolicy i sławy obdartą Matką, która swe ostatnie dzieci po tych borach widziała ginące i liczyła je, znaczyła groby, krzepiła rozbitki, o ród swój wieczyście pomna!

III.

Nastała zima i cichość osiadła po całym kraju. Nie było po miasteczkach wojska, bory stały puste i głuche, po drogach mało kto się snuł, wsie, upojone zrazu wolnością, zaczęły zapadać w troskę o dalszy byt, o grosz na podatki i czynsze, dwory zrujnowane, wycieńczone kontrybucjami ucichły, istniały jakimś cudem lub opustoszałe czekały licytacji czy nabywcy.

Niewiele zresztą zostało, bo siedm uległo konfiskacie, a w trzech właściciele byli nieobecni, wyjechali w czas przed ruchawką za granicę. W Kozarach osiadł od niedawna nowy właściciel, generał Grozow.

Miasteczko tylko jedno wyglądało po ruchawce lepiej niż przed nią. Przybyło kilku urzędników, żydowskie kramy dostały szyldy, odmalowano cerkiew, założono nową miejską szkołę i pan Abram Papirny, najruchliwszy kupiec i faktor* wojennego naczelnika, zbudował na rogu rynku nowy podwał dla sprzedaży wódki.

Naprzeciw jego posesji na drugim rogu stał dom stary, murowany, z gankiem na słupach, otoczony ogrodem i przytykający do cerkiewnego probostwa, a należący z dawien dawna do Hrehorowiczów. Po konfiskacie Kozar chciał ojciec Afanasij, błahoczynny, posesję dostać dla cerkwi, ale okazało się, że stanowiła własność pani marszałkowej z Grel, więc Abram Papirny otrzymał polecenie takową ziemię za niewielkie pieniądze nabyć. Kościół parafialny stał przy głównej ulicy, murem od niej odgradzony, niegdyś zakonny, miał za sobą opuszczony gmach klasztorny, gdzie mieszkał proboszcz i służba kościelna, i dalej ogrody i pole sięgające do rzeki.

Była tedy zima i 23 grudzień, gdy do Abrama Papirnego przyjechał rano jego krewny, arendarz* z Kozar. Żydzi pogadali coś żywo z sobą i Abram posłał bachora, żeby mu co rychlej najął mieszczanina z furmanką.

Mieszczanin był to Bohuszewicz.

Mróz był, sanna doskonała, ruszyli żywo ku borom.

— Za godzinę zalecim do Kozar! — rzekł Abram.

— Tak wam pilno. Zabawim i parę godzin, bo to długie trzy mile.

— A z Kozar do Grel na błota niedaleko?

— A toście nie mówili, że do Grel jedziemy.

— Nu, to co? To po drodze.

— To mi jeszcze rubla dołożycie.

— Ojoj, zaraz rubla, za co? Jaki wy chciwy. Co to wam za fatyga, albo to roboczy czas!

Dam wam na święta wódki.

— Ile dacie wódki?

— Nu, my stare znajome. Dam cały garniec. Bohuszewicz zgodził się. Abram, z taniego targu rad, począł gawędzić:

— Czy to prawda, że wy się będziecie żenić z tą Teklą, co u was służy?

— Kto to gada?

— Ona sama. Ja był u błahoczynnego onegdaj i ona przyszła do matuszki. Stali ją łajać, że u nich służbę rzuciła i do was poszła, a ona mówi, żeście jej obiecali żenić się.

— Na taką obietnicę każda baba łasa. Można obiecać! — mruknął Bohuszewicz.

— A wasz synek hoduje się?

— Zdrow, dzięki Bogu.

Niechętny był widocznie do rozmowy, więc i Żyd umilkł. Minęli las, poczęli zjeżdżać w równinę.

— Ot i nie ma śladu po Krośnie! — rzekł Żyd.

* f a k t o r — pośrednik, pełnomocnik.

* a r e n d a r z — dzierżawca, karczmarz.

Bohuszewicz spojrział w lewo. Na płaszczyźnie sterczało jeszcze kilka popalonych szkieletów drzew i kościółek.

— Komu ziemię oddadzą, nie wiecie?

— Kazionna* będzie. Ktoś w posesję* weźmie. Ładny kawał pola i łąka, że lepszej trudno.

— A kościół zabiorą?

— Stary bardzo, pewnie tak pusty stać będzie, aż się sam zwali. Popatrzał Żyd raz jeszcze w tę stronę i rzekł:

— Ot i nie ma krośniańskiej szlachty. Aj, jaki to głupi był interes, jaki głupi.

— A tych pięcioro jednakże umknęło. Tych dwóch i konie uratowali. Musieli im Żydki pomóc. Saturnin też lis, z pieniędzmi drapnął.

— Żydki nasze każdemu pomogą! — uśmiechnął się Abram.

— Daleko już oni, pewnie za granicą.

— Nu, tamte, co nie uciekli, to pewnie jeszcze dalej! — zażartował Żyd.

Bohuszewicz umilkł. Poprawił na sobie kozuch, jakby go ziąb ogarnął, i popędził konia. Tak dojechali do Kozar i zatrzymali się pokornie u bramy. Żyd poszedł na boczny ganek i zameldował się do generała, Bohuszewicz dał koniowi obroku i włączył się po podwórzu przyglądając się robotom.

Mijały tak godziny i dobrze było po południu, gdy Abram Papirny skończył swój interes, snadź bardzo pomyślnie, bo zaproponował Bohuszewiczowi poczęstunek w karczmie. Tam zeszło się już trzech Żydów i zaczęli zajadle gadać, kredą po stole pisać rachunki, kłócić się i godzić. Trwałoby to do nocy, gdyby Bohuszewicz nie zagroził, że pasażera swego zostawi.

Abram tedy znowu się na sanie wgramolił i ruszyli przez błota do Grel.

Były to torfowe sianożęcia, wśród rządowych lasów, koszone zwykle przez okolicznych włościan za opłatą do skarbu. Teraz stały tam jeszcze stogi siana i wiły się drożyny sanne. Dobrze już ciemniało, gdy w tej pustce spotkali dwoje pieszych. Szli od jednego ze stogów i na widok jadących przystanęli o paręset kroków od głównego szlaku. Zaledwie szarżeli w zmroku. Bohuszewicz konia wstrzymał.

— Ludzie! — krzyknął. — Dobrze jadę do Grel?

Nie było odpowiedzi. Postaci zaczęły się oddalać, maleć, ginąć w łożach. Szły bez szelestu, jak duchy.

— Nie zagabujcie ich! — szepnął Abram. — To pewnie strzelcy, co na kozy się zakradają. Jeszcze wystrzelą.

— Ale, strzelcy. Toć jedna baba i nic w rękach nie mają. Ot i przepadli, jakby skroś ziemi poszli.

— Wy poganiajcie konia! Niech ich diabli biorą! To dobrze, że przepadli.

Ruszyli, ale Bohuszewicz raz i drugi się obejrzał.

— Jakaś nieczysta sprawa — mruknął.

Ściemniało zupełnie, gdy dojechali do wodnego młyna. Tam znowu spotkali pieszego, ale ten ich poznał i zatrzymał, i na sanki do Abrama przysiadł. Był to Siemaszko obładowany workiem ryb. Abram zaczął mu pochlebiać i rozpytywać, co w Grelach się dzieje.

— Dobrze się dzieje. Ot, szczupaków nabrałem blisko puda*. Będzie co jeść jutro wieczorem. Z miarki młynowej pierogi się brały. Głodni nie będziemy.

— To pan i młynarz, i rybak. Na wszystko jest czas! Aj, co za drogi człowiek.

— Toć tyle roboty, co ten młyn i ryba. Innej nie ma. U nas na gumnie inwentarz wróble, koty i sowy, a zboże w stodole to pleśń po toku*. My, wiadomo, wolne ludzie, nic nie mamy.

— Jakże tak się trzymacie? Trzeba, żeby znowu dwór był. Aj, u was tyle bogactwa.

* k a z i o n n a — należąca do skarbu państwa, rządowa.

* p o s e s j a — posiadanie.

* p u d — tyle co 16,38 kg.

* t o k (ros.) — klepisko.

— My nie narzekamy. Zmordowali się przez tamtą zimę i lato, pohulali, to teraz odpoczywamy.

— Oj, straszno było. Cud, że i Grele nie przepadły. Pani marszałkowa dobre i sługi ma, i przyjaciele.

— Kto ma pobrzękacze, ma i posługacze! No, to my i w domu: Chodźcie, panie Bohuszewicz, do mojej kwatery ogrzać się i przekąsić, konia w stajni postawim. Zanim Abram się nagada, to i północ będzie. We dworze u nas gość też jest osobliwy.

— Nu, kto? — zaciekał się Żyd.

— Siostrzeniec pani, pan Kamiński z Podola. Z tamtego świata wrócił.

— Jak to?

— A bo go byli chłopci ukrzyżowali.

— Za co? Jak to?

— Za nic. Siedział spokojnie u siebie w majątku, przyszła banda pijanych ratników, napadła na niego: „Ty Polak, buntowuszczyk, trzeba ciebie ubić!” Wzięli na postronek, poprowadzili, do pół śmierci tłukli, a potem na krzyż przydrożny wciągnęli, przywiązali i poszli. Ktoś drogą jechał i zdjął, ale włos mu zbieleł w jeden moment i rozum się pomieszał. Jakoś go stamtąd wywieźli, dali znać do nas, pojechał pan Ksawery i onegdaj przywiózł. Może, da Bóg,, odejdzie.

— I taki całkiem zwariowany?

— Nic nie mówi. Jeszcze i słowa nie wyrzekł od trzech dni, co bawi. Pytać, wołać, nie odpowiada, może i głuchy. No, zaprowadzę was do pani.

Po chwili Abram znalazł się w kancelarii. Pani marszałkowa powitała go ze zwykłą swą spokojną dobrotliwością.

Żyd bystro jej się przyjrzał, chciał odgadnąć, co myśli, co zamierza, czy jest znękana, czy potrzebuje pieniędzy, czy chce i musi zrobić jakiś interes, ale nic nie odgadł, tylko zauważył, że czarna jej suknia była wytarta, a na palcach nie miała pierścienia, który znał. Zaczęli mówić o drodze, o zimie, spytała o dalszych sąsiadów. Kołując Żyd oznajmił, że generał z Kozar chce sprzedać meble.

— Może jaśnie pani marszałkowa je kupi, ja mogę wytargować jak dla siebie.

Pomyślała chwilę:

— Dziękuję, panie Abram, nie kupię.

— Jeśli jaśnie pani o pieniądze różnica, to ja je kupię, a porachujemy się kiedy przy interesie. Mam nadzieję nie raz handlować z jaśnie panią. Ojoj, żeby my tylko zdrowe byli, po tych gałganach to dwory jak po dżumie, trzeba wszystko zaczynać od początku! Dzięki Bogu, że już ta gorączka przeszła, że już ten strach się skończył. Panowie będą panami, wszystko się poreparuje.

— Tak, trzeba się dźwigać! — odparła spokojnie. — Z wiosną myślę inwentarz kupić na nowo i ludzi obcych do roboty sprowadzić, jeśli swoi nie pójdą.

— Jaśnie pani może teraz bardzo tanio inwentarz kupić. Ja nastęcę, jest sto sztuk, nie będzie drożej jak dwa tysiące rubli, same woły i krowy, i grosza jaśnie pani na to nie wyda. I siano mam na Wirach u tego Żydka, co tamte błota trzyma, on odda za pięćset rubli, po rublu wypadnie fura.

— I może także grosza na to nie wydaj? — spytała z odrobiną ironii w głosie.

— Na moje sumienie, zgadła jaśnie pani. Ja wiem, że teraz u państwa o grosz trudno. Bardzo to nieszczęście kosztowało! Ja wiem, takie teraz interesy trzeba robić.

— Cóż więc mam dać za ten inwentarz i siano?

— Czy u jaśnie pani mało bogactwa jest? Mało lasów, co starzeją, mało ziemi, ojoj! Kawaleczek lasu jaśnie pani mnie da, kawaleczek ziemi, i znaku nie będzie. Ot, za Kozarami ten kawaleczek osobny sośniny, między kazonnym lasem, jego i tak trudno teraz będzie upilnować, jak Kozary zginęły, a ta ziemia spod lasu co warta, piach.

— Przecie wam ziemi nie wolno kupować?
 — To co? Ja kogo podstawię.
 — Uhm, więc chcecie tę Horbanię za bydło i siano.
 — Za bydło. A za siano to jaśnie pani mnie odda ten dworek przy rynku. On całkiem niepotrzebny.
 — W dworku mieszka pani Mikucka z dziećmi.
 — Os to za intrata*? Co ona jaśnie pani płaci? Czy to jest procent od pięciuset rubli?
 — Pani Mikucka mi nic nie płaci.
 — A co? Ja zgadł. Skąd ona może płacić, ona dla Żydówek suknie szyje, u niej czworo dzieci, ona jaśnie pani nigdy nie zapłaci.
 — Czy pan Abram znał pana Mikuckiego?
 — Nu, ja jego znał. Wun dzieci uczył, póki jemu nie zakazali. Wun pięknie pisać umiał, jego chcieli za pisarza do sądu wziąć, wun nie zechciał. To bardzo porządny człowiek był, ale on nie umiał, jak żyć. Ze zgryzoty umarł, tyle dzieci zostawił, co to za rozuni!
 — Każdy ma rozum dla siebie. On o dzieci był spokojny umierając. Pohodują się w moim dworku. Nie sprzedam tej posesji, panie Abram.
 — Nu, niech jaśnie pani sobie pomyśli. Ja jest zawsze na to kupiec.
 — A gdzie jest to bydło? Poślę Siemaszkę, żeby je obejrzał. Zapłacę za nie gotówką.
 — Jaśnie pani nie chce sprzedać tej Horbani?
 — Las owszem, ziemi nie.
 — Na co jaśnie pani ten piach? Co z niego za intrata?
 — Nie będę panu tłumaczyć tej intraty, bo byśmy się zapewne nie zrozumieli. Raz na zawsze tylko zapowiadam, że ziemi u mnie niech pan Abram nie targuje. Nie sprzedam ani morga nikomu, nigdy, za żadną cenę.
 Ani głosu nie podniosła, ani zmieniła tonu, ale Żyd jakby się stropił, poczuł, że popełnił wielki jakiś błąd. Patrzył na nią i stracił rezon, i umilkł chrząkając zakłopotany.
 — Gdzież jest to bydło? — powtórzyła pytanie.
 — Ono jest w Duszni, u posesora*.
 — W Duszni! Więc to bydło krośnieńskiej szlachty! — Teraz jej głos się zmienił. Zabrzmiął jak dzwon.
 — Nu, nu! — wybełkotał Żyd przerażony. — To wuno było z Krośny. Jego sprzedawali. Ten Żydek z Duszni zapłacił gotówką. Pół roku blisko u siebie trzyma, karmi.
 — Panie Abramie, żyjecie tak z dziada pradziada na tej ziemi, z nami. Teraz ja was pytam, gdzie wasza dusza, gdzie wasze sumienie, żebyście wy, nie przybysz, ale tutejszy, śmieli proponować mnie, matce Stefana Hrehorowicza, kupno dobytku zabranego gwałtem ludziom wygnanym! W przyszły sądny dzień wasz, wspomniawszy Jeruzalem i wasze tułactwo, może zrozumiecie, jakeście mnie dotknęli.
 Żyd w ką, do drzwi się cofnął, oczy spuścił.
 — Niech jaśnie pani wybaczy, ja myślał... — zaczął.
 Ale pani marszałkowej już nie było w pokoju i Abram co rychlej wyszedł. W sieni natknął się na pana Ksawerego, który gwizdząc wracał z podwórza, niosąc snop żyta.
 — Witam pana Abrama. Cóż to, z Kozar jedziecie? Czy już adiutant generała? Dobry interes dla was to powstanie, co? Złoty geszeft! Nie ma jak z Polakami żyć!
 Minał go i wchodząc do kredensu wołał do starego lokaja:
 — Lamentowałeś, że snopa do Wigilii nie ma. Masz, kupiłem na wsi. Śnieg sypie, będzie do jutra ponowa. Jeszcze i kota na piecyste świąteczne utłukę.
 Abram już do Siemaszki nie wstąpił, wywołał przez okno Bohuszewicza i ruszyli do miasteczka z powrotem. Śnieg sypał gęsty, milczeli obadwa, dopiero dojeżdżając Bohuszewicz rzekł:

* i n t r a t a — dochód, zysk.

* p o s e s o r — dzierżawca.

— Wódkę to jeszcze dziś zabiorę. Dokupię jeszcze dwa garnce.

— Tyle chcecie przepić?

— Trzeba hulać! Lepiej będzie — rzekł jakimś zmienionym głosem mieszczanin.

Wjeżdżali do miasteczka, gdy minęli ośnieżonego człowieka. Usunął się w zaspę. Był ubrany w kozuch i chodaki z łoży, twarz całą zakrywał baszłyk*.

— Gdzie ciebie czart nosi w taką porę! — zawołał doń Bohuszewicz.

Człowiek nic nie odpowiedział, skręcił ku rzece i brnąc bez drogi ruszył w kierunku poklasztornych ogrodów. Przesadził tam płot i dotarł do furty. Psy go opadły i wywabiły zakrystiana.

— Kto tam? Czego?

— Do księdza mam interes.

— O tej porze? Bez drogi? Kto wy?

— Ja cudzy. W kazionnych lasach służę. Po drodze do Grel wstąpiłem. Pani marszałkowa list kazała księdzu do rąk własnych oddać.

— Ano to chodźcie!

Poprowadził go kurytarzami, po ciemku, i wreszcie jakieś drzwi otworzył, i wpuszczając gościa zawołał:

— Proszę księdza, to z Grel jakiś człowiek!

I więcej się nie troszcząc o przybysza, wrócił do swej izby. Ksiądz czytał przy świecy u biurka, głowę tylko podniósł i spytał:

— A co tam w Grelach? Chory kto, broń Boże?

— Ja nie z Grel, ojcie duchowny. Ja tak rzekłem, żeby się tu dostać. Nie mogłem prawdy rzec. Ja jestem z Krośny, Wiktor Krośniański.

Mówił głuchym szeptem. Ksiądz wstał żywo, podszedł do niego.

— Biedaku! Żyjesz? Co z tobą? Sam jesteś?

— Tutaj sam przyszedłem. Ale my we dwoje, z Marcelką.

— Jakżeście wytrzymali? Kto was przechował?

— Żyjem. Przechował Bóg.

— No, ale jakże będzie? Co dalej myślicie robić? Nie straszno wam? Zima, głód!

— Nie straszno już, nie zimno, nie głodno! Przywykliśmy. Z początku było wszystko, i strach, i żal, i desperacja. Jeszcze człowiek pamiętał, że coś miał, czymś był. Teraz to już całkiem od tych dumek wolny.

— Ale jakże żyliście, gdzie?

— Jesienią w borach, po łożach, w świerkach, jak zima nastąpiła, w stogach. Tam ciepło.

— Cóżście jedli?

— Można prawie nic nie jeść, tak leżąc w sianie.

— Toś ty pewnie głodny. Czekałże, każe ci co dać. — Ksiądz do drzwi się rzucił.

Wiktor zatrzymał go.

— Uchowaj Boże, kto się dowie, pójdzie gadanie. Zginie ksiądz. Nie trzeba, ja nie pojadło tu przyszedł. Mam inną prośbę.

— Co, co! Mówże.

— Ja przyszedłem prosić ojca duchownego, żeby nam ślub dał.

— Jak to! Aha! Tobie i Marcelce, jakże to. Toć was prosto od ołtarza wezmą, i mnie także. Metryki nie mogę wydać. Za to i kościół mogą zamknąć. Nie sposób.

Wiktor stał spokojny. Twarz jego zmieniona, twarda, chuda, ciemna wyglądała jakby z kamienia wyciosana. W oczach palił się jakby żar roztopionej stali.

— My na to już sążeni, ni imienia, ni stanu, ni metryki nie mieć. Ale my przecie ludzie, nie zwierzęta, my chcemy przed Bogiem sobie ślubować, w Jego kościele, przed wami, ojcie. Miłowaliśmy się w spokoju i dostatku, miłujemy się jeszcze silniej teraz w takim boju. Nie

* b a s z ł y k — rodzaj kaptura z długimi końcami do wiązania.

odstąpimy siebie do śmierci, ale po śmierci chcemy, by nas Bóg za prawdziwych katolików i małżonków przyjął i nie rozdzielił.

Ksiądz zamyślony począł po pokoju chodzić, wreszcie stanął i rzekł:

— Co ja wam poradzę! Dla was, dla parafii, dla siebie, nie mogę ślubu dać wedle zwykłego obrządku. Tak uczynimy. Jutro pasterka. Zaraz po północy w kościele ciżba, ciemnawo. Przyjdźcie, zginiecie w tłoku. Poklękajcie obok siebie, za ręce się trzymając, i módlcie się. Ja mszę świętą i wszystkie pacierze za was ofiaruję! To będzie wasz ślub, Bóg wszystko wie!

Wiktor do kolan mu się pochylił.

— Pod amboną będziemy. Ojciec duchowny niech ku nam spojrzy. I ot, takie obrączki mam. Do poświęcenia przyniosłem.

Podał dwa z drutu misternie splecione kółka.

— Znalazłem drut na pogorzeli u nas. Uplotłem. Nie stać nas na inne, uszanujemy by szczerozłote.

Ksiądz począł święcić, wzruszony. Potem oddając rzekł:

— Dadzą wam szczęście. Ufajcie!

— Wiare mamy i nijakiego lęku. Pocałował rękę księdzu i chciał odejść.

— Czekałże. Tu coś znajdę przecie, byś się pożywił. Ot, jest w szafie chleb, wódka, masło, odpocznij, zjedz.

— Bóg zapłać. Jakżebym jadł bez niej. Pójdę.

— A gdzież ona?

— W cegielni, het za cmentarzem. W nocy dziś przyszliśmy i ukryli się.

— To weźże, co tu jest, i zanieś. To wy tak bez ciepłej stawy żyjecie?

— Jesienią w borach czasem nieciliśmy ogień. Teraz straszno, daleko dym i blask widać.

Ksiądz oddał mu pół bochenka chleba, trochę masła i sera, wódki odmówił.

— Nie wypijemy ani kropli. Jeśli łaska, wezmę trochę soli i cukru — poprosił.

Wsunął otrzymane zapasy w zanadrze, za swój wytarty kozuch i raz jeszcze podziękowawszy wyszedł. Ksiądz go przeprowadził do furty. Śnieg sypał bezustannie. Zbieg radował się, bo zacierał ślady.

Wyszedł na drogę, dobrnął cmentarza i ruszył w pole ku opuszczonej w ziemie cegielni.

Było to dobre schronienie, bo nikt przy niej nie mieszkał, a zapas cegły był wyprzedany. Zasy pył sypał wokół i Wiktor po pas zapadał, zanim się do pieca dostał. Usunął jakąś deskę i w czarnej czeluści przepadł. Śnieg po chwili zasypał i ślady jego, i otwór.

Nad ranem śnieg padać przestał, mróz był niewielki, ludzie zaczęli się sposobić do tradycyjnej Wigilii.

W Grelach pan Ksawery ruszył na zajęcie, pani marszałkowa kazała Siemaszce założyć klacz do sanek, a starej Monice włożyć do koszyka bułkę i ryby.

— Gdzie się wybierasz? — spytał brat.

— Odwiedzę Horbaczewską w więzieniu.

— Przecie ją mieli wywieźć?

— Chora. Do dworku pozwolili się przenieść.

— Ale wrócisz na wieczór?

— Wrócę. Drozdowski dopilnuje tymczasem Stasia, a dzieci będą u Moniki.

Ruszyła z Siemaszką, który natychmiast począł jej prawić o potrzebach gospodarskich.

— Krów dwadzieścia i zboże ma na sprzedaż Bohdanowicz z Krasek. Prosi, błaga, żeby zabrać, bo on by chciał co rychlej wyjechać, a Żydzi zrobili nań znowę. Dają pięćset rubli, a on chce tysiąc, i warto. Chłopi już na robotę chcą chodzić, bo z nich pieniądze duszą.

— Dlaczegoż Bohdanowicz rzuca dzierżawę?

— Za syna go ciągną. Chłopak gdzieś się zawieruszył.

— Może zginął?

— Żyje. Za granicę się wykradł. Horbaczewski zginął.

— Wiem, ale nie mów tego matce. Ona jeszcze myśli, że ocalał.

— Nie powiem. Po co!

— Kupię te krowy i zboże, ale pieniądze otrzyma Bohdanowicz za miesiąc.

— On się zgodzi na pani słowo. Zabiorę zaraz po świętach! Och, przecież znowu życie będzie. Bez roboty człowiek zgryzoty nie zmoże!

Popędził rażno konia i rozpowiadał o swych gospodarskich planach. Pani marszałkowa milczała, zatopiona w swych myślach, i tak zajechali przed dworek Hrehorowiczów w miasteczku. Wszystkie dzieci i wdowa po nauczycielu wylegli na ganek, rzucili się do rąk swej dobrodziejki. Spytała zaraz o zdrowie pani Horbaczewskiej i kazała się do niej prowadzić.

Była to jej daleka krewna, matka powstańca. Leżała teraz w łóżku, ale nie miała wyglądu chorej.

— Jakże ci? Bardzoś słaba? — spytała przybyła.

— Nie. Nic mi nie jest, ale po co mam wstawać? Powiozą do guberni i dalej. Wcale mi nie pilno. Nie słyszałaś czego o Adasiu?

Adaś był to jej jedynak. Zginął, wszyscy to wiedzieli, ale ona nie chciała w to wierzyć, była pewną, że umknął, ukrył się, że żyje.

— Nie! Nic nie słyszałam. Jakże stoi sprawa Koszelewa? Był to majątek Horbaczewskich.

— Kazano mi go sprzedać.

— Bardzo łaskawie.

— A ja odpowiedziałam, że nie sprzedam. Kto mnie zmusi?

— Sprzedadzą bez ciebie.

— Niech sprzedają. Ja nie. Wszystko, to wszystko! Adaś mi przyzna słusność.

Pani marszałkowa milczała. Adaś miał dosyć ziemi, w borze, pod sosną.

Zaczęły mówić ciszej, ku sobie pochylone, o rzeczach zrobionych i jeszcze do zrobienia, o papierach, o broni, o zbiegach, szeptały różne nazwiska, nazwy miejscowości, terminy.

Mężczyźni legli, siedzieli po więzieniach lub zbiegli, teraz los reszty pozostałych, fortun, istnienia, zatarcia śladów był w rękach kobiet.

Po długiej rozmowie wstała Hrehorowiczowa. W milczeniu, bez łez, wybuchów rozpacz, jałowego wspomniania, ze stoicyzmem Spartanek przełamały opłatek nic nie życząc sobie.

— Muszę być w domu. Dzieci dwoje, Staś, Ksawery — rzekła] Hrehorowiczowa jakby tłumacząc, że żyć musi.

— Tobie trzeba zostać. Bardzoś potrzebna. Ja będę tu na Adasia czekać. Nie dam się wywieźć! Co mi zrobią! Chora jestem! Żebym choć wiedziała, że już Adaś bezpieczny!

— Nic mi już nie grozi.

— I ja tak wierzę! Da znak, doczekam się!

Hrehorowiczowa wyszła. Pomówiła chwilę ze swą lokatorką i przynagliła Siemaszkę do drogi. Krótki dzień dobiegał. W miasteczku czuć było gorączkowy ruch przedświąteczny, w powietrzu unosiła się woń oleju i świeżego pieczywa, na rynku uwijały się tłumy mieszczan i Żydów.

Siemaszko pośpieszał, ale już zmierzchało, gdy dojechali do Grel.

— Babuniu, dziadzio zabił trzy zające! — oznajmiły jej dzieci już w sieni, tuląc się do niej. — I obiecał nam dziś niespodziankę. Czy to co żywego niespodzianka?

Wprowadziły ją do jadalni. Stół był nakryty, snop żytni w kącie, siano pod obrusem. Spojrzała po tych tradycyjnych oznakach Wigilii, przez oczy jej przeszła chmura. Wołałaby sama w ciszy sypialni spędzić ten wieczór na modlitwie po tych, którzy ją zostawili wdową i sierotą, ale spojrzała na dzieci, na służbę kręcącą się radośnie, na wchodzącego brata i zapanowała nad sobą.

— Gdzie Staś? — spytała.

— Maryniu, pójdz, przyprowadź wuja! — rzekł pan Ksawery do dziewczynki.

Dzieci były ubrane czarno, co je postarzało. Dziewczynka miała przy tym twarzyczkę poważną, oczka ciemne i myślące. Chłopak był zuchowaty i szczebiotliwy.

Po chwili, prowadzony za rękę przez Marynię, wszedł do jadalni człowiek młody, ale pochylony i ledwie suwający nogami, z głową śnieżnobiałą. Rysy były wyniszczone i jakby martwe. Doszedł z trudem do fotela i usiadł.

Dziewczynka przytuliła się do jego kolan, a on po główce jej przesunął dłonią, oczy przymknął. Stary lokaj wniósł wazę. Pani marszałkowa drżącą ręką wzięła opłatek. Chwilę zmieniła się jej twarz, skurczyła, zdawało się, zapłacze. Podniosła oczy na brata, przełamali w milczeniu, wtedy podeszła do chorego, pochyliła się przed nim, pocałowała w głowę.

— Wigilia, Stasiu. Obyś pozdrowiał prędko! — szepnęła.

Skinął głową, ożywiły się oczy. Wziął jej rękę i pocałował.

Pani marszałkowa zwróciła się ku drzwiom, przy których już wszyscy stali, jej wierni słudzy: Siemaszkowie, stara Monika, Drozdowski, Kacper. Dzielili się z nimi opłatkiem, a oni do nóg jej się chylili łez mając pełne gardło. Nikt nie mówił nic, nie życzył, nie wspominał o żadnej nadziei, pomyślności.

W końcu zwróciła się do dzieci:

— Kostusiu, Maryniu. Dziś jest wielkie święto. Powinniście za rodziców paciorek zmówić i obiecać im, że będziecie dobrzy, posłuszni.

Dzieci zwróciły się i podeszły do wielkiej kanapy, nad którą wisało kilka dagerotypów¹.

Wgramoliły się i pokłękły na kanapie, podniosły główki ku tym ledwie widocznym podobiznom, złożyły ręczęta.

Dziewczynka zaczęła, chłopak za nią powtarzał:

— Daj, Panie Boże, tatusiowi i mamie zdrowie i siły, żeby z wygnania wrócić mogli i żebyśmy sierotami nie zostali, i z nimi się tutaj na naszej ziemi znowu zobaczyli, i żeby oni z nas mieli pociechę, a ojczyzna chlubę. Amen.

Ktoś w kącie zaszlochał ciężko. Obejrzał się pan Ksawery, chory klęczał, ku ziemi pochylony, i płakał.

Dziewczynka pomyślała chwilę, przypomniała swe dziecięce pacierze i zaszcebiotała znowu:

— Daj, Boże, zdrowie babuni i dziadzi, i wujowi Stasiowi, a tym, co polegli za Polskę, w niebie wieczne odpocznienie i światłość wiekuista niechaj im świeci. Amen.

Nie umiała więcej. Co dzień to odmawiała.

dagerotyp — zdjęcie fotograficzne wykonane systemem Louisa Daguer—re'a (1789—1851) na posrebrzonej płycie mosiężnej. Za datę wynalezienia fotografii uważa się dzień 19 sierpnia 1839 roku.

Wstali teraz z braciszkiem i wspinając się na palce, wyciągając szyję, pocałowali dwa najniższe wiszące dagerotypy.

Wszyscy powstali z kolan. Pan Ksawery chciał dźwignąć chorego, ale ten sam wstał i pierwszy raz wymówił:

— Maryniu, chodź do mnie!

Dziewczynka przybiegła, wyciągnął do niej ramiona, przygarnął do piersi i ucałował.

— Wujek zdrów! Wujek gada! — poczęła wołać. Ale on wyczerpany upadł w fotel.

— Dzieci, do stołu. Nie męczyc wuja! — zakomenderował pan Ksawery. — Ani mru—mru, bo nie dostaniecie niespodzianki. A może byś się położył, Stasiu?

— Nie, nie! — zaprzeczył chory. — Z wami, z wami! Zasiadli wszyscy do stołu. Wieczera była krótka, ale tylko dzieci jadły i pan Ksawery, tamtych dwoje ledwie tknęli, i

pani marszałkowa zaraz po ostatnim daniu wyszła do siebie. Za nią wysunął się chory, a wtedy dzieci rzuciły się do dziadka z prośbą o niespodzianki.

Zjawili się też Siemaszkowie, stara Monika, Drozdowski, a każde coś dzieciom przyniosło. Dostały gwiazdę z kolorowego papieru, orzechów, rodzyneków, a wreszcie ukazały się prezenty i pana Ksawerego: para królików dla Maryni, łuk i strzały dla Kostusia.

Rozpoczęła się wielka uciecha.

Służba, przyjaciele przyglądali się powtarzając:

— Sieroty, nieboraczki, panięta takie, ot, czym się to raduje. Jak te piskłeta porzucone!

Aż dzieci, nacieszywszy się darami, przypadły do pana Ksawerego.

— Dziadziu, zaśpiewaj, zaśpiewaj. Roześmiał się Siemaszko.

— Ot, czego się to napiera.

— A co wam, bąki, śpiewać: Aaa, kotki dwa?

— Nie, to co to: hu–ha! — zawołał chłopak.

— I to, co to jaskółka! — dodała Marynia.

Pan Ksawery spojrzął po obecnych.

— Słyszycie! Ledwie się to na nogi zebrało, ledwie gadać zaczyna, a czego chce?

— Wiadomo, krew! — rzekł Drozdowski.

— Straszno, jeszcze się wygadają, dzieci! Kto podsłucha, donos da! — szepnął wiecznie ostrożny stary Kacper.

— A jak się nie nauczą, co będą warci!! — burknął pan Ksawery. — Dziś chyba nikt nie szpieguje. Zamknięte okiennice!

— Ja obejdę dom! Zobaczę! — rzekł Siemaszko.

— Jak by zbójca szedł, ja go zastrzelę! — rzekł Kostuś łuk naciągając.

— No, to śpiewajcie ze mną:

W krwawem polu srebrne ptaszę,
Poszły w boju chłopcy nasze,
Hu–ha, krew gra, duch gra, hu–ha!
Niechaj matka zna, jakich synów ma!

Dzieci słuchały wpatrzone w dziadka. Stara Monika i Siemasz kowa otarły oczy. Drozdowski śpiewał razem:

Obok Orła znak Pogoni,
Poszli nasi w bój bez broni.
Hu–ha, krew gra, duch gra, hu–ha!
Matko Polsko, żyj, Jezus, Maria, bij!

Na podwórzu zaszczekały psy i ucichły, skrzypnęły wchodów drzwi i rozległ się głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Obejrzeli się wszyscy. W progu stała chustą otulona, obwieszon sakwami żebraczka. Musiała być znana, bo Siemaszkowa odpowiedziała:

— Na wieki. Coś się tak spóźniła? Wieczerzę już zjedli.

— Chleb w torbie mam. Wstąpiłam po drodze na dzieci poparzyć. Słyszę takie śpiewanie, tak mi serce zabiło, że na wielki ganek weszłam. Dzięki Bogu, wszyscy są i zdrowi!

— Wszyscy! Dostyc chyba ubyło! — rzekł pan Ksawery. — Cóż, matko, byłaś, gdzieś miała być?

— Byłam. Stamtąd idę, z miasta.

— Dajcieże jej jeść!

— Zaraz, tylko dzieciom oddam, com przyniosła. Pamiętaci mnie, dziatki, jesienią byłam.

— Baba, co nam bajki mówiła. Babo, dobrze, żeś przyszła. Będziesz bajki gadać?
— Będę, orlęta, będę. Ot, macie medaliki. Schowajcie, nikomu cudzemu nie pokazujcie, a nie zgubcie! Po wiecerzy powiem wam o nich bajkę.

Dzieci poczęły oglądać dwie srebrne herbowe tarcze, a stary Kacper nie omieszkiał dodać:

— Schowajcie, uchowaj Boże kto zobaczy! I nie mówcie nawet, że macie!

Poprowadziły kobiety zebraczkę do kredensu, dzieci za nimi pobiegły. Pan Ksawery poszedł do siostry. Pisała listy w swej kancelarii.

— Staś tu u mnie był długo! — rzekła. — Wraca mu przytomność i mowa, pytał o Juriewiczów, o Stefana...

— Odejdzie! Wiesz, przyszła ta kobieta z Warszawy.

— To dobrze. Musiała załatwić. Chciałam z tobą pomówić o interesach. Trzeba się zająć gospodarstwem, dźwigać się, żyć dalej. Wiesz, co proponował Abram?

— No, wiem. Żałuję, że nie wiedział, gdym go spotkał. Byłbym kolbą fuzji zwałił, ile wlezie.

— Po co? Ale odrzuciwszy jego propozycje, trzeba z innych źródeł zdobyć pieniądze.

— Ciekawym skąd? Co wymyślisz?

— Już wymyśliłam, ale mam pewne skrupuły.

Pani marszałkowa wstała, otworzyła staroświecki kantorek i po chwili przyniosła szkatułeczkę.

— Trzeba to sprzedać. Szkatułka pełna była klejnotów. Pochylili się nad nią i przeglądając mówili:

— Kolia prababki, matczyne perły, turkusy jeszcze stołnikowej*, tabakierka szambelana*, pierścień od księcia Józefa, brylantowy markiz* babki, a ten szmaragd zaręczynowy ojca, spinki koralowe od żupana*...

— Virtuti militari zostawię, resztę trzeba sprzedać.

— Szkoda! Do kroćset! — mruknął pan Ksawery.

— Trzeba zachować ziemię, tę trochę, co uratowano.

— Myślisz, że Stefek tu wróci! Matka go zwichnię, spodli, zmarnuje. On dla nas stracony.

— Ale ja muszę uchować przede wszystkim ten klejnot, którego za pieniądze nam nie dostać. Dla kogo, mniejsza, dla wiary i idei! Wszystko inne sprzedam, byle to było!

— Rób swoje. Ja, wiesz, bić umiem, siec, gryźć. Potrafię teraz tylko kłać i plwać szelmostwu w oczy! Ty rób swoje! Ale może by lepiej sprzedać srebro kozarskie, które Siemaszko uratował.

— Nie, to wszystko, co Stefkowi po ojcu zostało. Matka bogata wprawdzie, ale taka młoda, światowa, może jeszcze za mąż wyjść. Będę to srebro dla niego chować. Klejnoty moje. Zostawię trzy pierścienie, order Józefa, a resztę trzeba sprzedać. Juriewiczom trzeba do Tobolska wysłać jaki grosz, tutaj inwentarze, ziarno, paszę kupić, Horbaczewskiej pomoc, Stasiowi też dać na dalszą kurację.

— Kto to kupi tutaj?

— Musisz z tym do Warszawy pojechać.

— To i owszem. Dowiem się, jakie są horoskopy polityczne.

Pani marszałkowa uśmiechnęła się smutnie i zamknęła szkatułkę z klejnotami.

— Nieprędko o nas znowu będzie mowa w europejskiej polityce. Jesteśmy jak zboże po gradzie, stratowane, zbite, zniszczone!

* stołnik — w dawnej Polsce urzędnik nadworny mający pieczę nad stołem panującego; później honorowy urząd ziemski, wyższy od podstolego, niższy od podczaszego i krajczego. (W. Kopaliński: Słownik mitów i tradycji kultury, PIW 1985).

* szambelan — wysoki urzędnik na dworze królewskim; z czasem godność tytułarna.

* markiz (markiza) — pierścionek z owalnym żąbkowanym oczkiem.

* żupan — staropolski ubiór męski w formie długiej sukni zapinanej na haftki, guzy lub szamerowanej, ze stojącym kołnierzykiem i wąskimi rękawami, noszony przez szlachtę od XVI w. do ok. połowy XIX w. (Słownik wyrazów obcych PWN 1980).

— Mogą przyjść takie komplikacje! — zaczął pan Ksawery, ale ona знаła te jego fantastyczne mrzonki, dzielenie Europy, wypowiedanie, wojen i urojone z tego korzyści.

Wstała więc i spojrzawszy na zegar rzekła:

— Dziesiąta. Dlaczego dzieci jeszcze nie śpią?

Dzieci sypiały obok jej pokoju. Zajrzała, łóżeczka były puste. Poszła tedy do tak zwanej garderoby i tam ujrzała taki obraz. Na kominie palił się ogień i stara Monika gotowała mleko na jutrzejsze śniadanie. Na kufrze z pościelą, przy kominie siedziała żebraczka, a przy niej na stołeczkach dzieci. Zebraczka nie miała na sobie sakw i wielkiej chusty, nie wyglądała na starą babę.

Spoza białego rąbka, co okrywał jej włosy, wyglądała twarz dziwnie pogodna i błyszcząły wyraziste czarne oczy.

Sukmana siwa, gruba, nadawała jej postaci jakieś posągowe kształty; opowiadała coś dzieciom.

Byli wszyscy tak zasłuchani, że nikt nie zauważył wejścia pani marszałkowej. Stała w progu słuchając.

— Więc jak się ludzie dowiedzieli, że te dzieci od tej Świętej takie medaliki mają, zaczęli przemyśliwać, jak by je odebrać i tę moc, co w nich była, sobie zdobyć. Więc naprzód napadli na chłopczyka i nuż mu obiecywać, że dostanie piękne konie i złote zbroje, i pałac, i bardzo smaczne potrawy, byle ten medalik dał. I połakomił się, i oddał. A na dziewczynkę wpadli z kijami i różgami, i powiedzieli, że jej oczy wykołają, że ją głodem zamorzą, że ją w czarny loch wrzucą, i zlekła się, i oddała. Aż tu raptem wszystko im się przemieniło, stracili siłę i zdrowie, i pamięć. Co chłopcu z konia, kiedy nie umie nań wsiąść, co z pałacu, kiedy nie rozumie, że panuje, a smaczne potrawy je, jakby jadł piasek czy drewno. Nie pamięta, kto on taki, nie umie siebie nazwać i czegoś mu przecie straszno, i wszędzie mu nudno. A dziewczynka raptem straciła głos, ni śpiewać nie może, ni śmiać się, ciągle choruje i płacze, kędy pójdzie, błądzi, mało co widzi, nic nie słyszy. A oboje co nocy czegoś się boją, a co dzień wyglądają czegoś złego, bo czują, że źle zrobili. Aż tu raz, gdy zeszli się z sobą i gorzko płakali, przychodzi do nich taka stara, stara baba i pyta ich: „Czyje wy dzieci?” A oni mówią: „My po Warcie sieroty.” „Jakże wy Warty sieroty? A gdzież wasz dom?” pyta. „Zgubili!” powiadają. „A gdzież wasz znak?” „Odebrali ludzie, nie wiemy, gdzie schowali. My nic nie wiemy.” I płaczą, płaczą. Tak stara powiada: „Pójdę ja do matki waszej do nieba i spytam, ona pewnie z nieba wszystko widzi, to wam poradzi.” Poszła, poszła, nie ma jej, nie ma, aż wraca. „Tak,” powiada, „matka gniewna na was, ale że u Boga jest, to i miłościwa, więc powiada, niech dzieci idą Wisłą w dół, do skały, co na niej zamek stoi, i tę skałę kują aż do głębi ziemi, a pod tą skałą medaliki znajdą i moc, i rozum, i głos, i sławę odzyszczą. A że słabe są i małe, tedy ja im dam pomocniki bardzo wielkie, a będzie ich trzech: jeden się zowie Pan, a drugi Duch, a trzeci Krew...”

Pani marszałkowa wyszła na środek izby:

— Co wy im opowiadacie, kobieto! Toć one nic nie rozumieją, a tylko im się w główkach pomiesza.

Zebraczka wstała, pokłoniła się nisko.

— Toć kilkoletnie dzieci. Za małe! Skąd wy umiecie takie dzieje, takie bajki dla starych.

— Starym gadać, małym słuchać! Wielmożna pani, słuchają, zapamiętają, jak czas przyjdzie, rozumieją — odparła, szorstką swą dłonią gładząc głowy dzieci.

— Moniko, zaprowadź je spać.

— Babuniu, choć jeszcze chwileczkę. Co się stało na końcu.

— Opowiem potem, ptaszyny, opowiem!

Dzieci wyszły niechętnie, płacząc. Grymasiły przy rozbieraniu, myliły się przy pacierzu. Ledwie wyszła Monika, z łóżeczka Maryni rozległ się szept:

— Koszuś, schowałeś medalik?

- Oho, nikt nie znajdzie.
- Nie trzeba nikomu mówić, że mamy. Wiesz?
- Wiem, nikomu.
- Bo jakby odebrali, strach!
- Strach. Strach!

* * *

Żebraczka chwilę rozmawiała z panią marszałkowa, jakby z czegoś zdawała sprawę. Gdy Monika wróciła do garderoby, z laźła ją zbierającą się do drogi.

— Co to? Nie zanocujecie?

— Bóg zapłać. Do miasteczka muszę, na mszę. Noc pogodna, nad ranem dojdę! Zostańcie z Bogiem.

— Poczekajcieże. Torby wam naładuję, opatrzę! Wstąpcie nie bawiać, pobądźcie dłużej.

— Daj wam Boże wszystko dobre i waszej pani sto lat zdrowia. Wstąpię na piskłeta popatrzeć.

I poszła w tę zimową noc sama, w pustą drogę. A noc była pogodna, jasna, nie mroźna, a taka cicha, że słychać było spadanie śnieżnej okiści z drzew przydrożnych.

Żebraczka sunęła jak szare widmo i wreszcie, jakby tknięta tą ciszą, zaczęła półgłosem śpiewać pieśń kolędową.

Nagle w lesie, przy drodze rozległo się tuż za nią:

— Matko!

Stała. Zza drzew wynurzyły się i brnęły ku niej dwie postaci. Poznała.

— Już was szukać miałam!

— Myśleliśmy, że już nigdy was nie ujrzymy! — rozradowanym głosem wyszeptwała Marcelka.

— Skądże wy?

— Z miasteczka, od ślubu! — rzekł Wiktor.

— Jakie my, taki ślub. Ksiądz kazał na pasterce być, ślubowaliśmy w tłumie klęcząc, a on ku nam patrzył błogosławiąc.

— Bóg widział i słyszał. On wam świadkiem i metrykę napisze. Hej, wyrosnie ród wasz jako to ziarno zakopane, wyrosnie, ino nie wątpcie.

— Matko, dopókiż takiego życia będzie. Ot, zaraz pół roku w borze, w stogu, w rozwalonej budzie, czasem tydzień bez ruchu, bez mowy, bez jadła! Jak zamieć, że świata nie widać, że wilk nawet nie chodzi, wtedy możemy się ruszyć, żeby ślad nasz zaniósł. Dawno już chleba nie ma, wasze suchary wyszły. Trzeba pod wie podkraść się, ze stertek żyta nałuskać, tak ziarno surowe jemy. Cud, że żyjemy. Ale czy długo wytrzymamy!

— Dopóki będzie trzeba. Jaż wiem, co człowiek może wytrzymać. Nie bójcie się. Będzie wam mocy przybywać, a nic wam nie zaszkodzi. Człowiecze ciało dusza trzyma, a wy młodzi. Ja was szukałam z dobrą wieścią. Pan Wincenty i Adaś Feliksów umknęli z końmi. Już bezpieczni.

— Jakże to?

— Ano zemknęli, ludzie pomogli, konie rozkupili, a ich z rąk do rąk, i wykradli za granicę. A pan Saturnin aż w guberni.

— Wzięli?

— Wolno chodzi, może i kątek ziemi w Krośnie dostanie. Wiarę zmienił.

— Jezu, Mario! A żona jego?

— Może i żonę przez to mu wróca.

— Nie, ona do takiego nie wróci!

- A tamci, reszta, wszyscy? — spytał Wiktor.
- Het, daleko, kędy ino pacierz za nich dojdzie.
- A żeby my ku tej granicy szli. •
- Pocierpcie. Ja tam pójdę, rozpytam, szlak wam przetrę i wrócę.
- A kiedy, matko?

— Juści chyba latem. Jak skoro liście puszcza, trzymajcie się owej pierwszej kryjówki. Tam was szukać będę. A teraz do wiosny niedaleko. Grel się trzymajcie. Tam o was wiedzą, przyjąć nie mogą, wiadomo, ale Siemaszko wie, że żyjecie, i pani. Chleb znaleźliśmy na młynie jeszcze jesienią.

— Pewnie i teraz znajdziecie, a ot moje sakwy wam wypróżnię. Prosiłam soli, cebuli, okras, bo wiem, bez czego najciężej, i m łam was szukać. Bóg sprowadził.

— Żeby jaki papier urzędowy, jaki znak! — westchnął Wiktor.

— Albo żebyś sam był! — szepnęła Marcelka.

— Żeby sam był ostał, tobym za tobą poszedł i za wszystkimi.

— Wstyd ci, dziewczyno, tak mówić! Miłowanie wasze — wasza moc.

— Niebożę! Co się dziwić, że czasem stęknie! — rzekł łagodnie Wiktor. — A przecie w najgorszej chwili jeszcze mnie pokrzepi!

— Wiadomo, kobieca słabość co męskich dziesięć sił przetrzyma! — rzekła żartobliwie żebraczka.

Daleki odgłos dzwonka doleciał ich uszu. Zbiegi instynktownie, ruchem zwierza uskoczyli pod drzewa.

— Matko, nie zapomnijcie o nas! — zawołała Marcelka.

— Pamiętam! Ino nie wątpcie! Przyjdę! — odpowiedziała, już idąc dalej.

Po chwili napędziły ją sanki. Jechał w nich policjant z żoną.

— Eh, baba, gdzie się włóczyś po nocy? — rozległo się wołanie. — Kto ty? Skąd?

— Wy że skazały! Baba — odpowiedziała miejscowym narzeczem. — Do miasteczka idę.

— Wilki cię zjedzą.

— To podwieźcie!

— Patrzaj, jaka mądra. Nu, siadaj, stara więdźmo, jak na nas napadną, to cię im wyrzucę.

— Kiedy ja więdźma, to i na wilki sposób mam.

— To może ty i znachorka, babo? — spytała kobieta.

— Co trzeba wiedzieć, to wiem.

— To może ty wiesz, gdzie *mjateżniki** się kryją?

— Wiadomo, po lasach. Tam ich pełno.

— Co gadasz! Tych już wybili albo zesłali. Tylko musiało się parę ukryć. Znaleźli chłopcy nory w stogach, dali znać, oglądałem, widać, że ludzie tam byli.

— W stogu to i ja nieraz nocuję, choć papiery mam w porządku. Cyganie koniokrady czasem też się tam przyczają. Jak zapamiętam, stogi bywają ponorzone. W lasach to widziałam Polaków.

— Kiedy?

— Nie dalej jak onegdaj.

— Jakich?

— Albo ja wiem. Pewnie te pobite chodzą.

— *Hospodi**! — szepnęła żegnając się trzykrotnie kobieta. — Jak to było, powiadajcie.

— Pięciu było. Przy ogniu się grzali, ot, przy samej drodze do Kozar, gdzie ten dąb stał, co go ścięli za to, że na nim żołnierzy ktoś wieszał. Widzę światło, podchodzę nagrzać się, pozdrawiam — milczą, patrzę — ogień bez drew na śniegu się pali, a oni jak ten śnieg biali, oczy patrzą szklano, a krwi na nich czarnej, a ziemi, błota, kurzu!

* *m j a t e ż n i k* (ros.) — buntownik.

* *H o s p o d i*! — Panie!

— Ot, upiłaś się w miasteczku, to ci się coś roilo. A ja pewny, że żeby ja tam był, a pletnią którego zdzielił...

— Jakże, jak mnie się roilo, to byście nikogo nie widzieli. Co im zresztą już pletnia znaczy. Spod ziemi wyszli!

— I co? I co? — trwożnie pytała kobieta.

— Zaczęłam pacierze mówić i odeszłam. Aż tu patrzę, wstają i poszli jeden za drugim, na krośniańskie pola. Wiadomo, tacy zakopani jak zwierzęta po lasach chodzą, chodzić będą. Widziałam i kobietę, i dwoje dzieci. Kobieta czegoś szukała pod drzewami, do ziemi przypadła, znowu wstawiała i szła, jakby ją wiatr niósł. A dzieci siedziały pod ścianą tej spalonej straży na Horycy. Po lasach, w nocy wiele zobaczysz, ale żywych to już tam nie ma.

— No, przecie z Krośny czworo uciekło.

— To oni nie głupi blisko siedzieć. Jak uciekli, to się nie oprą, aż za granicą. Ale ich pewnie już gdzieś na Wołyniu połapali.

— A ty, babo, skąd?

— Aż zza Owrucza. Tekła mi na imię. Ojciec rymarzem był, mąż stolarz. Umarł, dom spalił się, poszłam na żebry.

Mówiła tak czysto po rusińsku, że nawet nie spytano, jakiego jest wyznania.

Dniało, gdy wjechali do miasteczka. Żebraczka wysiadła u pierwszej chałupy i podreptała w stronę rynku.

Tam w karczmie na podsieniu przesiedziała, aż dzień się zrobił, a potem wsunęła się do izby szynkowej i w kącie przy piecu doczekała się dzwonów na mszę.

Przez cały ten czas przyglądała się ludziom, co wstępowali, gadała z nimi, wszystkiego, co się w okolicy działo, bardzo ciekawa.

Gdy dzwony zagrały, poszła do kościoła. Był dość pusty, miejscowi odbyli pasterkę, siedzieli po domach, ze wsi mało kto został w kraju.

Po mszy stara poszła w ulicę mieszczańską i wstępowała od do mu do domu. Nie żebrała natrętnie, nie dopraszała się niczego, ale ją znano i każda gospodyni dawała chętnie kęs pieroga i okrasy, słuchała wieści z dalekich dróg. W ten sposób wstąpiła wreszcie do zagrody Bohuszewicza — już wieczorem.

Trafiła na gwałtowną scenę.

Bohuszewicz był podpity i wymyślał swej słudze, przystojnej zuchwałej dziewczce.

„Pochwalony Jezus!” uciszyło krzyki.

— Czy pozwolicie mi, gospodarzu, spocząć i zanocować w domu waszym? — rzekła u progu.

— Czemu? Nocuj! — burknął.

Stara usiadła na ławie u komina, rozebrała się z sakw, chusty i milcząc grzała ręce. Bohuszewicz, rozparty w kącie na zydlu za stołem, jął się jej przypatrywać.

— Gdzieś ja ciebie już widział, babo! — rzekł.

Zwróciła ku niemu swe bystre oczy i milczała.

Dziewka, sprzątająca po wieczery statki, spytała opryskliwie:

— To pewnie i jeść chcesz?

— Nie. Sytam.

— To i dobrze, bo garnki puste!

Zaczęła naciągać na siebie kożuch.

— Gdzie to się wleciesz! — krzyknął Bohuszewicz.

— Gdzie mi się podoba. Ja tu u was nie poddanka. Idę, gdzie chcę!

— Niech no posłyszę, że co szczekasz? — zagroził.

— I szczekać mi wolno, kiedym u kata w służbie! — odwarknęła zatraskując drzwi.

Może i nie dosłyszał, bo tylko zaklął i dalej ćmił fajkę w ogień patrząc. A po chwili rzekł:

— Nie pomnisz, gdzie cię widział?

— Pomnę!
— Gdzież?
— Przy onym dębie wisielców! — Patrzała nań przejmująco.
Milczał, powiekami przysłonił oczy.
— Ten, co wieszal te ludzie, moc miał — rzekła po chwili powolnie.
— Samsonową.
— Nie, Kainową.
Zachnął się, a potem grubo się roześmiał.
— To myślisz, że jeniejecz wieszal jeniejeczów?
— Nie, wiem, że nie jeniejecz to był. Ktoś za Boga chciał być, pomstę brać, a to nie wolno!
— Mądraś! Księżą gospodynią musiałaś być za młodu! — roześmiał się.
Milczała. Długą chwilę tylko ogień trzaskał i świerszcz cykał w ciepłej szparze pod piecem.
— Pięćdziesiąt ludzi było w Krośnie! — zaczęła po chwili. — Feliksowa tejże nocy zmarła w połogu, dziecko u błahoczywnego się chowa. I zmarły dwa chłopaki zsieczone tutaj, i zmarła dziewczyna, co jej nogę złamano, pędząc. Byłam w guberni, jak tamtych wysyłano, było już tylko trzydzieścioro. Reszta została po drodze, w więzieniu. A został też jeden, co wiarę zmienił!
Bohuszewicz milczał. Ze stojącej na stole butelki nalał do szklanki wódki i wypił.
A żebraczka mówiła dalej:
— W końcu listopada to było, śnieg sypał w błoto. Owych trzydziestu trzymano długo przed więzieniem, zanim straż strażom papierów nie zdały. Potem ich odrachowano i poszli. Jako te szare, przegniłe liście sunęli się po błocie. Dzieci były i dziady, i staruchy. Człowiek to każdy jako liść obleci, aleć pod drzewem, na ziemi zostanie, a ci — to ich wichr pogał, taki wichr, co w pustynie dmie, do zim, bez wiosny!
— Mnie co do tego? Po co mi to bajesz? Kto czym wojuje, od tego zginie. Nie było rewolucji robić!
— Krośniancy rewolucji nie czynili. Za ich mękę nie jeniejecz sprawę zdadzą, ale ów, co tych jeniejeczów wieszal.
— Durnaś. Nikt już sprawy nie podniesie i nikt mu nie dowiedzie, bo go nikt nie pojmał. Toć pilnowała szlachta, było upilnować! Tak ci szlachty żal! Lepiej milcz, a to się takim gadaniem narwiesz na biedę, jak kto twoje gadanie do przystawa* zanieśie.
— Wiem ci, do kogo co mówię.
— Jak wiesz, to mi nie rozpowiadaj bajd. Ja wszelakiego szczekania babskiego się nie boję.
— Ja też was nie straszę. Ot mówię, kainowy był czyn, kainowe będzie życie.
Bohuszewicz uderzył pięścią w stół.
— Pysk zamknij albo gadaj co innego. Mnie nic do szlachty z Krośny. Ni swaty, ni braty mi oni!
— Teraz to nie, ale przed tym braty byli.
Bohuszewicz porwał się z ławy, gwałtownie stół odsunął:
— Przed tym? Przed czym? Wiedźmo! — ryknął ku niej idąc z pięściami. — Coś widziała, co wiesz, gadaj. Ino pamiętaj, że jak co niepotrzebne wiesz, to z tej chaty na nogach swych nie wyjdiesz.
— Ubijesz? Mnie? Spróbuj! — odparła bez drgnienia, podnosząc do niego twarz i wzrok przejmująco. Uderzyła weń tymi oczami jakby nagłym płomieniem, zmrużył swoje.
— Uchodź — głucho zawarczał — bo cię uśmiercę!
Nie poruszyła się, mówiła powoli.

* p r i s t a v (ros.) — komisarz policyjny w Rosji carskiej.

— Człowiek człowieka nie uśmierci. Nie ma tej mocy. Boża zniwiarka, śmierć sama tę moc ma. Kogo ona zeżnie, ten uśmiercony i nie ma go. Ale skoro człowiek człowieka zabije, to ten zabity zostanie z zabójcą i nie odstąpi go po kres żywota, by razem przed sądem stanęli. Nie ubijesz mnie, nieboże, i precz mnie nie goń. Jam ci nie zła, wszyscyśmy grzeszni!

— Uchodź! Won!

— Gore ci, gdy z wódką sam zostaniesz. Synaczkam twego dziś na rękach miała, u dziadków. Nie chadzasz tam. Pójdź!

— Won! Żeby twa noga tu nie powstała.

— Bohuszewicz, pójdę, ale byś nie żałował!

— Jak cię jeszcze raz w miasteczku zobaczę, do prystawa odstawię, do aresztu.

Kobieta wstała. Sakwy swe zebrała powoli, jakby z żalem, otuliła się chustą, wzięła swój kostur, zmierzyła ku drzwiom. W progu stojąc, obejrzała się po ścianach smutnie.

— Idę, jakieś rzekł, nie wstąpię już. Będą tu nowe goście, inne! Hej, wspomnisz te, co były, wspomnisz. O ściany wy stare, o gospodarzu nieszczęsny, jako mi was żal! Umarłe jesteście.

— Won! — Bohuszewicz rzucił się do drzwi, ale się one za żebraczką zawarły, stuknęła furтка zagrody, wszystko ucichło.

Tedy wrócił do stołu, nalał szklanke wódki, wypił, splunął, zaklął.

— Chciała, bym jej gardło zatkał mieszkciem! A niedoczekanie! Nie dowiedzie mi nikt niczego. Nie boję się. A. kto piśnie, popamięta.

Daleko już na drodze, ku borom, szła prędkim cichym, jakby widmowym krokiem żebraczka, kierując się na zachód, ku granicy dalekiej.

IV.

Pewnej zimnej, śnieżnej już nocy listopadowej ktoś zapukał raz i drugi w szybę oficyny w Grelach.

Zbudził się czujny Siemaszko, zerwał, spytał: „Kto?” Nie było odpowiedzi, tylko znowu rozległo się stukanie. Psy podnosiły już alarm.

Zerwał się tedy ekonom, obuł, kozuch nadział, łojówkę w latarni rozdmuchał i wyszedł w sień.

Na podwórzu psy goniły kogoś już daleko za stodoły, w zarośla.

Otworzył drzwi, oparły się o coś, pchnął mocniej, poświecił nisko na ganek.

Pode drzwiami jakiś tobół leżał, z łachmanów i siana. Schylił się, obejrzał, trącił nogą i odskoczył przerażony. Tłumok się odzywał. Wziął go na rękę, wniósł do izby wołając:

— Sabina! Jezu Maria! Dziecko!

— Co? Czego ty krzyczysz! — zerwała się zaspana żona.

— Dziecko leżało na ganku, na ziemi! O, patrz! Żywe dziecko! Przeze drzwi zostawione otworem wpadły psy zziąbane. Spinały się* obwąchując tłumok, skamlały.

— Won! Poszli! Rozerwą, dalibóg! Jezu Maria! Prawdziwe dziecko, ciepłe! Słyszysz? Piszczy!

— Dawaj. Trza rozwinąć! Boże miłosierny, w sianie i we mchu! Jak zwierzątko. Kładź w łóżko, w pierzynę! Na tę porę rzucić dziecko jak szczenię, w nocy, pod progim! A żebyś był nie wyszedł, psy by jeszcze rozdarły! Poszli, a wody! Wody!

Na zgiełek rozbudzili się wszyscy w oficynie i po chwili mieszkanie Siemaszków było pełne. Najrozmaitsze czyniono przypuszczenia i domysły. Przy dziecku nie było żadnego znaku. Był to chłopak paromiesięczny, ciemnooki, tęgi, zdrów. Dopiero stara Monika, przetrząsając mech i szmaty, znalazła kawałek papieru oddarty z jakiejś książki, na którym koślawymi literami i krwią było nakreślone: „Katolik Marcin. Nie opuść, Boże.”

Wszyscy spojrzeli po sobie, pokiwali głowami, kobiety poczęły nosem pociągać z rozrzewnienia.

— Kto by opuścił! Boże litościwy! A toć ja go wezmę, uchowam! — zaczęła Monika.

— I moja stara go weźmie! — rzekł Kacper.

— Akurat, weźmie, łaska! — wykrzyknęła Siemaszkowa. — My go wcale nie mamy do dania!

— A dlaczegoż wy? Wasze to?

— A nasze. My znaleźli, to nasze!

— Położyli pod oficyną. Takie same nasze, jak wasze.

— Było wyjść. Leżeliście wszyscy w pierzynie. Ruszył się kto? Leżałoby do rana i zmarzło.

— Nie wiadomo, komu pani przeznaczy. Pani oficyna i dwór! Dziecko nie grzyb, żeby je brał ten, co podniesie.

— A nie łomocicie, baby! — huknął Siemaszko. — Mleka zagrzejcie, pewnie głodne!

— Ja sama dopatrzę, nie potrzebuję nianiek — ofuknęła Siemaszkowa. — Rano idźcie do pani! Tymczasem to moja stancja*, od dziecka zasię.

Wszyscy obrażeni wyszli, a wtedy ona prędko rzekła do męża:

— Siedź tu i pilnuj, ja zaraz do pani skoczę. Ja się nie dam uprzedzić.

Dziecko zostało powierzone przez panią marszałkową Siemaszkom. Dworscy mały czas byli obrażeni za tę łaskę, potem uspokoili się, nastąpiła zgoda i w izbie u ekonomy przez cały dzień była któraś z kobiet niańcząc małego. Pewnego powszedniego dnia rankiem Siemaszko

* spinać się — wspinać się.

* stancja — izba mieszkalna.

z panią i żoną zawieźli chłopca do kościoła. Ksiądz go ochrzcił prawie skrycie w swoim pokoju, żeby jak najmniej ludzi o tym wiedziało. W Grelach nie rozpowiadano o nim ani chłopom, ani Żydom bojąc się donosu i śledztwa.

Nastały szarugi, bezdróż, ludzie nie odwiedzali się, pora była stosowna do utrzymania tajemnicy.

Jednakże w taki czas straszny, w zadymkę, przyszła wieczorem do Grel kobieta.

Długi czas stała pod oknem oficyny, do izby Siemaszków zaglądając, aż ją psy opadły i weszła. Okręconą miała głowę płachtą, że ledwie widać było oczy i wskazała na usta, że niemowa. Ludzie zebrani u pieca na gawędę spojrzeli po sobie, porozumieli się wzrokiem. Siemaszkowa dała jej chleba i kaszy w misce, wskazała miejsce na ławie. Długo siedziała kobieta nie jedząc, oczami tylko śledząc kołyskę.

Siemaszkowa wyjęła chłopca, dała mu mleka z butelki okręconej gałgankiem. Ludzie gwarzyli to i owo. Gdy dziecko złożono do kołyski, niemowa włóczęga wstała, pokłoniła się nisko, chleb schowała w zanadrze i wyszła.

— Matka! — poszedł szept po izbie.

Znowu po jakimś czasie chłop brodaty z włosami długimi, w jakiejś resztki kozucha odziany o zmroku wstąpił do izby. Pytał o drogę, o robotę, a oczami czegoś szukał po izbie i zwlekał z odejściem, a wyszedł, z alkierza głos dziecka zasłyszawszy.

— Był ojciec! — rzekła Siemaszkowa do męża, gdy na wieczerzę z gumna wyszedł.

Gdy śniegi spadły, znajdowano pod oknem ślady nóg w chodakach; czasem krew była na tych śladach — znak dalekiej, dalekiej wędrowki. Często w nocy psy podnosiły hałas, ścichały psy poczciwe, co znały, że ci, co pod to okienko przychodzili, złych zamiarów nie mieli, co poznały wreszcie tych gości nocnych!

Siemaszkowa twierdziła, że bywało w nocy, że się dziecko budziło, odzywało cichutko, jak kotki małe się odzywają, gdy zostaną same w gnieździe, a czują, że matka kędyś jest nie opodal.

Ale kto byli ludzie, jak się zwali, tego nikt w Grelach nie wymówił nawet w największym zaufaniu.

Przeszła wreszcie zima. W wigilię Zwiastowania Siemaszkowa siała rozsądę w ogrodzie. Było wyjątkowo ciepło tego dnia i bocian ledwie przybyły żerował nad stawem, a Kostuś z Marynią szukali po murawach świeżej trawki dla królików, gdy za płotem rozległ się głos coś przeciągle śpiewający.

Dzieci ciekawe tam pobiegły i wnet rozległy się ich radosne głosiki i ukazały się na dróżce ku inspektorowi wiodącej, rozprawiaj z kimś. Wyjrzała Siemaszkowa.

— Jak się macie, matko! — rzekła i ona życzliwie. — Zawędrowaliście znowu do nas z wiosną. Skądże idziecie?

— Z daleka. Cóż u was słyhać!

Żebraczka usiadła na pniaku starej gruszy. Powiodła wkoło oczami.

— Wczesna, piękna wiosna. Dzieci zdrowe, a pani wasza w zdrowiu trwa?

— Dzięki Bogu. Pisuje często. Bo to do Petersburga wyjęciu starać się o uwolnienie państwa Juriewiczów.

— Tatuś z mamusią w Tomsku. Babunia mówiła wyjeżdżając, że jesienią wrócą — zaszczębiotały dzieci.

— Wrócą, wszyscy wrócą. Byle w życiu zostali. Ot, wilgi wracają i słowiki, i skowronki! A jakże tu w waszej stronie, spokojnie?

— Ot, jak po dżumie. Kto wytrzymał, to się dźwiga. W Kozarach Żyd, dzierżawca generała, panią Horbaczewską wywieźli z naszego dworku; po majątkach, co zostały, ludzie siedzą cicho, chłopci już na najem chodzą, jakoś się gospodarka ładzi, nawet mój stary mówi, że lżej idzie jak za pańszczyzny.

— A wuj Staś, co był chory, już wyjechał, a dziadzio Ksawery w Warszawie — rzekła dziewczynka.

— A u pani Siemaszkowej jest mały chłopczyk, Marcinek! — dodał Kostuś.

Stara spojrzała na ekonomową.

— Ale! Dziecko ktoś nam podrzucił na jesieni. Za swoje chowamy.

Żebraczka pokiwała tylko głową.

— Od miasteczka idziecie?

— Nie.

— To nie wiecie, że księdza zmienili. Jeszcze na Gromniczną. Na pokutę zesłali, że to przeciw mieszanym małżeństwom był. Rozgrzeszenia takim nie dawał. Jakiś gałgan donos dał, mówią, że Bohuszewicz.

— A cóż Bohuszewicz?

— Ożenił się z tą swoją sługą, Ruską, u błahoczyznego w łaskach. Tego swego synka sierotę od organistów odebrał, organiści—na ze zgryzoty zmarła. Ksiądz, co teraz nastał, to z popem i pry—stawem pija i w karty gra. Już mało kto w kościele bywa.

— A cóż z ziemią w Krośnie! Kto trzyma?

— Nie wiecie. Pan Saturnin wrócił. Wiarę zmienił i swój folwarczek odebrał. Oddali mu podobno nawet więcej, jak miał. Budynki stawia. Reszta ziemi do błahoczyznego należy. Mówią, że Bohuszewicz w dzierżawę weźmie. Nie ma jak łajdakiem być.

— A widzieliście tych dwóch?

— A niechże mnie Matka Boska broni!

— A tak ci ich dolę zachwalacie!

— Ze złości, że to kary Boskiej nie ma.

— Jest, ino uważnie patrzcie! Ujrzycie, poczekajcie! Spojrzała ku słońcu, a Siemaszkowa zrozumiała.

— Głodniście, a ja gadam. Chodźmy. Już i dzieciom pora na podwieczorek!

Rozgościła się stara w oficynie u Siemaszków całe trzy dni. Nianczyła Marcinka, dzieciom pańskim rozповідаła bajki, starszym różne nowiny po drogach pozbierane. Zdawała się czegoś czekać, kogoś wyglądać, wstawiała w nocy, wychodziła na podwórze, nareszcie czwartego dnia obwiesiła się sakwami, obuła chodaki, wzięła kij i poszła w lasy.

Szła zygzakiem, szeroką drogą i ścieżkami wstępowała do chat gajowych, do smołami, do bud opuszczonych, do szopek chruścianych na łąkach, zaglądała we wszelkie kryjówki, wywroty, doły. Rozmawiała ze spotkanymi ludźmi, a gdy była sama w najdzikszych chaszczach, śpiewała na cały głos nabożne pieśni.

Nie wszędzie jednak dostać się mogła, bo mokradła i błota zatopione były i zalane wiosenną wodą, grząskie, niedostępne.

Tak po tygodniu bobrowania wydostała się na krośniańską płaszczynę.

Z zaścianków nie było już widocznych śladów. Cegłę, drzewa opalone rozkradli chłopci. Kościółek tylko stał i gdzie były osady, ruszały się woły — par kilkanaście, zaprzężone w sochy.

Opodal pod lasem białe nowe zręby folwarku i słyszał było łoskot siekier.

Tam poszła żebraczka.

Chlewy, stodołki stały już pod dachem. Kilku cieśli chłopów pracowało przy domu.

Pan Saturnin ciosał razem z nimi, ale od niechcienia, raczej żeby napędzać innych niż się samemu trudzić.

Stara zatrzymała się, podparła na kiju i patrzyła uparcie na niego.

— Czego ty, starucha? — zagadnął ją po rusińsku. Nie poznał jej.

— Ja sobie mandruję! — odparła w tym samym narzeczu. — Patrzę, nowa osada, myślę, jak się też nazywa.

— Krosna!

— Jakże? Krosna tam była, gdzie orzą. Tę nową trzeba nazwać Garnarczowa Rola.

— Czemu tak?

— Nazwijcie! Kiedyś zrozumiecie czemu. Chłopi przestali ciosać, zaciekawieni słuchali.

— Gliny tu nie ma na garnki.

— Nie ma. Wasz dom na piasku stoi. Mocy w nim nie będzie. Ale kto chce dobrze nazwać a sprawiedliwie: garnarczowa to rola! Pamiętajcie, ludzie, po siołach powiedźcie, od naczalstwa samego najwyższego ja mówię: garnarczowa to rola!

— Kręcona jakaś baba! — mruknął któryś chłop.

Pan Saturnin porwał się do niej.

— Pójdiesz won!

— Pójdę. Nie daj mi, Boże, chodzić po roli garnarczowej.

Zeszła na drogę, otrząsnęła swe nogi, jakby z nich pozbyć się chciała ziemi, po której stapała przed chwilą, i prędko poszła ku pługom. Chłopi odpoczywali kurząc fajki. Przysiadła obok gromady, dobyła chleba z sakw i jedząc poczęła gwarzyć.

— To dla siebie orzecie?

— Ni, dla błahoczynnego, za pokutę.

— Jak to.

— Przykazał na spowiedzi, żeby śladu po Lachach nie zostało. Każdy po dniu orze.

— A któż zasieje?

— Pewnie błahoczynny. Jemu naczalstwo podarowało Krośnę.

— Wy sąsiedzi?

— Nie. Kozarce sąsiedzi nie chcieli orać. Boją się.

— Czego?

— Bo jednego dzwon zadusił, jak zdejmowali.

Stara spojrzała ku dzwonnicy. Pusta była.

— A gdzie dzwony?

— Kazali zdjąć. Kozarców spędzili do roboty. Semen Łomaka podpity śpiewać zaczął, a tu dzwon go w łeb i na miejscu został. Teraz i siłą żadnego z Kozar nie wygnąć.

— A wam to nie straszno?

— Błahoczynny był, święcił ziemię, a przy tym na nas nic nie spadnie. Kościoła nie ruszamy.

— Nu, żeby co na bydło nie przyszło.

— Jak mówisz?

— Niezdrowa taka rola. Wiadomo, chaty stały, różne bywają chat założenia. Żyją w nich ludzie, a żyją i różne domowiki*. Ludzi wysiedlili, a domowiki błąkają się, niewidoczne! Chowa się to pod kamienie węgielne, nie lubi, jak płoszą.

Głazów leżało dużo na szczątkach osad. Chłopi poczęli na nie podejrzliwie poglądać, a jeden rzekł:

— Kozarce chytne. Oni dużo stąd cegły powywozili i kamieni, a podobno zimą dzieci po ospie mało co zostało. Dlatego to oni orać nie chcieli, mieli praktykę. Oho!

— Że to my ich nie rozpytali się! Szelmy milczą!

— A ich co nasze woły obchodzą? Żebraczka wstała, zawróciła ku borom.

Gdy się obejrzała, chłopi wszyscy zarzucili sochy na karki rogalom i wędrowali do domu. Stara w las wszedłszy, zadumała, co dalej czynić. Oto tydzień szukała tych dwojga nieszczęśliwych, na próżno. Czyżby zginęli. Czyżby przyszła za późno. Znękana powlekła się do straży rządowego leśnika Deremera. Był to wuj Marcelki, temu może śmiało ich nazwać.

Leśniczówka leżała na skraju puszczy. Dotarła do niej dopiero drugiego dnia o zmroku i swoim obyczajem wprosiła się do kuchni, i nic nie mówiąc spoczęła u progu na ławie.

* d o m o w i k (z ros.) — skrzat, duszek opiekuńczy.

Leśniczy żonaty był i dietny. Obserwowała ludzi, słuchała rozmów, przeczekała wieczerzę i dopiero gdy rodzina spać poszła, a leśniczy wyszedł przed chatę, by przed nocą obejść zagrodę, wysunęła się za nim.

— Nie zanocujesz, stara? — spytał.

— Nie. Mnie pilno. Ja szukam po lasach dwojga ludzi, co się kryją. Nie widzieliście ich, panie, w tych czasach?

— Nic nie wiem o żadnych ludziach. Ja nie policja.

— Policji nie pytam, ino was, boście krewni!

— Ja! Oszalałaś! Ja rządowy urzędnik, nijakiego pokrewieństwa ze zbiegami nie mam! Nie słyszałem o nikim podobnym!

— No, nie, to nie. Szukam ich już dwa tygodnie. Może pomarli! A ja im właśnie papiery przyniosłam z zagranicy i przeprowadzę bezpiecznie. Teraz do Grel pójde, będę już tam na nich czekać, jak żyją, to przyjść powinni.

— Nie moja sprawa, nic nie wiem! Ja urzędnik. Żeby takich spotkał, tobym przystawowi doniósł, gdzie są. Zakon* szanować trzeba i co naczałstwo przykazuje — święte.

Stara nie powiedziała słowa więcej, zginęła w mroku jak widmo. Deremer wrócił do chaty, rozbudził żonę.

— Głuszec tokuje. Spróbuję, może podejdę — rzekł biorąc strzelbę i torbę.

Kobieta była zwyczajna tym wyprawom.

— Obuj chodaki, bo buty zniszczysz! — mruknęła tylko półsennie.

Żebraczka ruszyła ku Grelom, pełna lepszej otuchy. Znowu rozkwaterowała się w oficynie u Siemaszków; siedziała spokojnie w dzień, przed wieczorem szła jakoby na żebry, do wsi.

— Ot, natura już wołokity* — mówiła Siemaszkowa. — Toć syta, w ciepłe, posłanie ma! Wlecze się to z nałogu, lichu wie po co!

Ale stara niedaleko szła. Na skraj zarośli tylko i tam siadywała nieruchomo, bezsenna noc całą nasłuchując, czekając.

Nareszcie pewnej nocy posłyszała w chaszczach szmer, jakby zwierz szedł, muskając ledwie krzaki. Zwróciła oczy w tym kierunku, czekała. Na haliznę wyszedł człowiek, stanął, na budynki patrzył, rozważając jak iść dalej.

Cicho jak szmer zawołała nań:

— Wiktor!

Instynktownie się cofnął, a potem jednym skokiem był przy niej.

— Gdzie Marcelka? — szepnęła.

— Jest. Matko! Przyszliście! — wyjąkał.

— Strach miałam, żeście nie wytrzymali. Deremer powiedział?

— On. My byli za takim oblewem, że nie można było zgruntować. Czekaliśmy, żeby choć trochę woda spadła. Onegdaj on się dobrał, po pachy w wodzie. Powiada, idźcie do Grel albo gdzie chcecie, tu wam nie być w mojej części. Jakaś stara was szuka, może ją policja nastąpiła, żeby mnie zgubić. Gada, że jakieś papiery dla was ma, ciągnęła za język, nieczysta sprawa. Wynoście się do diabła, a to jeszcze ja przez was zginę!

— Taki on, no, wszystko jedno! Zrobił co trzeba.

— My jakby skrzydeł dostali. Po szyję byli w wodzie i grzęzli, i płynęli. O Jezu! Przyszliście.

— Gdzież Marcelka. Chodźmy do niej — i w drogę. Wszystko gotowe.

— Ona tu, niedaleko. Ale jakże teraz będzie. Ona wcale już nie chce stąd iść i ja bez niej nie pójde.

— Co wam?

— Matko! W Grelach synek nasz.

— Tak mi się zdawało — zamruczała idąc za nim w gąszczu.

* z a k o n (ros.) — prawo.

* v o l o k i t a (ros.) — tu: przyzwyczajenie.

Po chwili Wiktor z cicha się odezwał, naśladowując wabienie dzikich kaczek, a na to zaszeleściały krzaki i Marcelka rzuciła się do starej bez dźwięku, bez słowa obejmując jej kolana.

— Przyszliście, matko, przyszli! — wyjąkała wreszcie. — O Jezu, żyli my tym czekaniem. Powiedzieliście: jak będą liście! Całe lato czekali. Jak opadały liście, to i my zamierali. Myśleli, nie ma was, nie będzie.

— Ciężko było takie papiery dostać.

— A teraz, matko, jakże nam odejść! Wiecie?

— Wiem. Jakem do Grel przyszła i opowiedzieli, że ktoś dziecko podrzucił, o was pomyślałam. Niańczyłam chłopaka, dobrze mu tam będzie, bezpieczny się uchowa, aż wrócicie.

— Matko, i tak go tu zostawić. Nie zmożę.

— Toć musicie. Nie dacie rady. Uchodźcie wam trzeba, tułać się, przekradać. Czego się boisz? Dał ci go Bóg, to i uchowa.

— Żebyście wiedzieli, com przecierpiała, żeby tam zanieść i rzucić. Jesień była, taki ziąb, taka plucha, a z głodu mleka ani kropli nie miałam i pod wykrotem leżałam, cud, że nas wtedy nie znaleźli, w czystym borze! Co się dźwignę, żeby lepszą kryjówkę znaleźć, to się z nóg wałę. Poszedł on pod wieś, do komory się podkopał, chciał ukraść co zjeść, psy zwęszyły, opadły, ledwie umknął, wrócił z trochę ziarna, co ze stertki naskubał. Żułam z plewą razem, a co dziecku dać. Widzimy, że umrze, a nas wezmą lada dzień. Nie było ratunku, przed nami zima! Wydarliśmy papieru z *Ottarzyka*, nakłuł on rękę, patykiem krwią napisali, jak mogli, owinęli w ostatnią szmatę i poniósł. Myślałam, że z żalu już zamrę, a potem ze strachu, czy żyje. I moc się znalazła iść tam po kilku dniach choć pod ścianę posłuchać, i głodu nie czuli, i całą zimą czasem milami szli, żeby się dowiedzieć. A jak teraz odejdziemy, tak całkiem. Matko, nie wytrzymam!

— A jak zostanieie, to co! Trzeba odejść, śmiało między ludzi stanąć, imię mieć, swobodę, żeby wrócić bez strachu, w dzień przyjść do Grel.

— Jużci trzeba! — rzekł Wiktor. — Tam robota będzie. Tak żyć nie sposób, choćby dla niego.

— A przecie nigdy mu „synku” nie można będzie powiedzieć. On znajda, my nieślubni i za cudzym nazwiskiem. Oj dolo, dolo!

— A w Krośnie Saturnin się buduje! Matko, zanim pójdziemy, ja mu ten folwark podpalę!

— A po co? Jest Bóg. On was uchowa i synaczka waszego wam doprowadzi w zdrowiu, gdy wrócicie. On i Saturnina osądzi. Nie rusz go!

Milczeli zwiesiwszy głowy.

— Trzeba iść, Maryś! — szepnął Wiktor. Objęła głowę rękami ze stłumionym jękiem.

— Trzeba! — potwierdziła żebraczka. — Mam tu w sakwach trochę szmat dla was i jadło. W pobliżu gdzie się ukryjcie, posilcie zaśniejcie. Ja do Grel wrócę. Jak Siemaszkowa w ogrodzie się zajmie, wyniosę wam dziecko za stodołę, tam pusto, nikt nie chodzi, popatrzycie na nie, pożegnacie na jakiś czas. Wieczorem, jak zmierzchnie, ruszymy.

— Daleko do tej granicy, matko?

— Dziesięć dni dobrego chodu, bo to nałożyć drogi trzeba, jako że z Galicji my do Częstochowy szli i wracamy. Jak się uda cichaczem granicę przeskoczyć, to lepiej, a nie, papiery pokazem. Nie jedni będziemy, spotkamy unitów*, co na śluby i chrzest się przekradają. Dobra kompania, znają wychody! A tam doprowadzę was do takich, co robotę zaraz dadzą.

— Oj, robota, robota. Jakem jej rad! — westchnął Wiktor.

— Oj, żeby już wracać! — szepnęła Marcelka. Stara zaczęła swe sakwy wypróżniać.

* u n i c i — członkowie kościoła obrządku greckiego, połączonego z kościołem katolickim na mocy Unii Brzeskiej z 1596 roku. Zachowali obrzęd wschodni, kalendarz juliański i prawo niższego kleru do zawierania małżeństw.

Wtedy tułacze poczuli głód przede wszystkim i zaczęli jeść łąpczywie chleb. Ogarnęło ich też straszne zmęczenie i wyczerpanie. Łachmany ich były mokre, szlamem oblepione, nogi bosa i pokrwawione. Ledwie zaspokoiwszy głód wsunęli się w krzaki, ukryli się z instynktem leśnego zwierza i zasnęli.

— Nie lękajcie się. Dopilnuję was, obudzę w porę! — rzekła stara zasiadając do całonocnego czuwania.

O południu, gdy Siemaszko przyszedł na obiad, zastał w domu rejwach.

Wszyscy mieszkańcy oficyny z żoną jego na czele obrzucali gradem wymysłów żebraczkę.

— Co się stało? — spytał ostro. — Ukradła co?

— Ale, chce dziecko ukraść! — zakrzyczano. Stara stała spokojnie. Spojrzała nań bystro.

— Jeśli je wam oddano, ja nie ukradnę. Powiedziałam, że taka pora przyszła, że ja je na godzinę wezmę. Odniosę.

— Gadaj to głupim! I krokiem z domu dziecka nie dam — zacięła się ekonomowa.

Żebraczka podeszła do Siemaszki, wyprowadziła go na ganek, szeptała chwilę. Potem on do izby wszedł, fuknął na kobiety, żonę od kołyski odtrącił, wziął dziecko, dał je żebraczce i drzwi zamknął.

— Nie ruszać się, nie iść za nią. Odniesie! Dawaj obiad, Sabina. Ale ekonomowa dostała ataku łez, a potem złości, wszyscy obecni dolewali oliwy do ognia.

— Zabrała i tyle ją zobaczycie. Pewnie rodzice podkupili! Przepadło!

— Ach, żeby pani była. Miałbyś ty, miałbyś! Ale ja jej wszystko powiem! Ty cyganie, Herodzie, durniu! — krzyczała żona.

Siemaszko sam sobie z garnka nalał barszczu i niewzruszony zaczął jeść z wilczym apetytem. Potem fajkę zapalił i odpoczywał raz wraz zerkając w okno. Przeszła tak godzina. — A ot i wraca! — rzekł wreszcie.

Siemaszkowa rzuciła się do drzwi, naprzeciw żebraczki, porwała dziecko, wniosła w tryumfie do izby.

— Patrzcie! Mokry od rosy! Słyszane to dziecko po lesie nosić. Stara weszła, zaczęła nakładać swe sakwy, wzięła z kąta kij.

— Oj rosa, to rosa! Słona rosa i gorąca. Nie ścierajcie tej rosy jako święconej wody! Niechże wam się hoduje i rośnie zdrowo. I wy bywajcie zdrowi, dobre ludzie, i wy, lasy smutne, i strono spustoszona. Póki życia, co rok wstąpię zobaczyć, jako trwacie. Bywajcie zdrowi i nie zapominajcie, co w tych lasach było, nie zapominajcie, i dzieciom powiadajcie.

Zabrała się do drogi, w progu pokłoniła się, przeżegnała i odeszła, szybko niknąc w zaroślach. Patrzyli za nią wszyscy milcząco!

V.

Wysypali się chłopcy z gmachu gimnazjum. Zaroilo się, zakotłowało na ulicy, zawrzało od gwaru i powoli cichnąć i rozpraszać się poczęło na placu.

Szli jeszcze gromadkami, rozprawiając. Najmłodszy czubili się po trosze, łakomsi obstąpili przekupkę z koszem pierników, ci, co mieli daleki kurs, śpieszyli do żółtego omnibusu na rogu Nowego Świata, starsi palili papierosy i rozprawiali, gdzie spędzą wieczór.

Ostatni dwaj wyszli trochę później. Jeden miał historię, bo mu ktoś podarł czapkę, drugi był wzywany do gabinetu dyrektora.

Obadwa mieli po lat piętnaście, ale jeden był w piątej, drugi już w szóstej klasie. Jeden miał szynel* nowiutki, tornister elegancki i całą powagą naciągał rękawiczki, a patrzył na świat z lekkim odcieniem wyższości i pogardy. Szczupły był, delikatny, bardzo ładny, brunecik z kręconymi włosami.

Drugi nadmiernie wyrośnięty, niezgrabny, w wytartym szynelu, w czapce z oberwanym daszkiem, z twarzą urwisa, z bystrymi, zuchwałymi oczami.

Śpieszył, jeszcze przejęty awanturą z czapką, biegnąc dopinał sprzączki tornistra i na ganku wpadł na tamtego.

Spojrzeli na siebie. Brunet usunął się bez słowa, tamten rzucił niewyraźnie „przepraszam” i skrzył ku Hożej.

Za chwile już gwizdał niefrasobliwie.

Na rogu sekundę się zawahał, jakby miał ochotę posłuchać katarynki, ale poszedł dalej i w jednej z kamienic począł wbiegać na strome schody. Na trzecim piętrze do drzwi zadzwonił.

Był to widocznie znany i terminowy dzwonek, bo po chwili drzwi się otworzyły i już ubrana w paltocik i kapelusz wyszła dziewczyna smukła i szczupła o bladawej twarzyczce i takich jak on bystrych oczach, i poczęła schodzić na dół.

Dziewczyna miała w ręku spory koszyk, w którym brzęczało jakieś naczynie.

— Wyrwali cię? — spytała.

— Wyrwał Niemiec. Mam czwórkę.

— A mnie się dzisiaj stokrocie tak udały, że pani Szymczakowa obiecała mi od miesiąca piętnaście rubli. Coś ty znów zrobił z czapką?

— Ja myślę, że mi to urządził Ś winiarski, ale tamci nie chcieli go wydać. Ja mu się odpłacę. A wiesz, wychodząc omal nie przewróciłem hrabiczka. Popatrz na mnie jak wół na ser.

— E, tak ci się zdaje. On wcale nie pyszny.

— Rękawiczki, nosi, a na śniadanie je bułkę z kawiozem!

— Co ci to szkodzi? Czyś głodny?

— Phi, nie bardzo też syty, ale co mi tam!

— Co nam zresztą do niego! — Ruszyła ramionami. Przeszli w poprzek plac i weszli do podrzędnej restauracji. Chłopak został u drzwi, dziewczyna zbliżyła się do bufetu.

Gruba restauratorka skinęła jej przychylnie głową, wzięła różowy bilet i koszyki posłała do kuchni.

Dzieci czekały chwilę. Były głodne. Zapach jadła je drażnił, to jedno, to drugie przełykało nieznacznie ślinę, patrzyli na zakąski na bufecie. Po chwili koszyk wrócił z kuchni, cięższy. Teraz chłopak go wziął i ruszyli ku domowi. Mieszkali we troje z ojcem na Nowym Świecie w dwóch pokojach w oficynie, w kamienicy, której ojciec był rządcą.

Gdy weszli do domu, chłopak zdjął tornister i zaraz przykucnął u stolika, coś notując w zeszytcie, dziewczyna poczęła prędko nakrywać stół i wydobywać z koszyka obiad.

* s z y n e l — płaszcz.

Nie prowadzili w domu kuchni. W tym pierwszym pokoiku płyta kuchenna była okryta perkalem, w kącie stało łóżko dziewczynki. W drugim pokoju spał ojciec i syn.

Znać było wielkie ubóstwo, ale ludzie zdawali się tego nie odczuwać.

Na małym stoliku dziewczynka rozstawiała potrawy. Było ich cztery za całe pięćdziesiąt groszy.

— To ty dziś jesz zupę? — spytała brata.

— Nie, dziś moje mięso gotowane.

— Twoje? — zaśmiała się.

— A tak! — potwierdził. — Wczoraj miałem zupę.

Postawiła przed każdym nakryciem jedną potrawę. Deser, ciastko z serem, podzieliła na trzy części. W ten sposób w cztery dni zjadał każdy jeden obiad. Chleba było dosyć.

— Kostuś, skocz po ojca, pewnie jest u stróża.

Chłopak usłuchał. Ona postawiła karafkę z wodą i zapaliła ogień pod naftową maszynką do herbaty. Potem obejrzała swe kwiaty na oknie, parę wazoników fuksyj i geranium, i niezdolna próżnować ani chwili, zaczęła reparować czapkę brata.

Wszedł ojciec. Wysoki barczysty mężczyzna, szpakowaty, o otwartej pogodnej twarzy i wesołych błękitnych oczach.

Spojrzeli na siebie serdecznie, pogładził ją po głowie i rzekł:

— Wiesz, Marianna, że mi się dziś ktoś oświadczył o twoją rękę.

— Pewnie profesor! — zaśmiał się Kostuś. Zasiadli do jedzenia. Połykając zupę ojciec spytał:

— Nie ciekawaś kto?

— Nie! — odparła obojętnie.

— Bo to ojciec nie wie, że my oboje już zaręczeni — rzekł Kostuś.

— Nie, nie wiem, ale może kiedy powiecie? Co?

— Możem zaraz, jak ojciec chce.

— Owszem. Miło mi będzie poznać zięcia i synowę.

— Ona za męża weźmie Ducha, a ja za żonę Ziemię. Stary spojrzał po nich i rzekł poważnie:

— I będziecie oboje mieć po jednym dziecku — Zawód.

— Phi! — rzekł zuchwale Kostuś. — Będę myślał o dzieciach, jak dostanę żonę.

— No a ty co? Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Niech ojciec powie, kto się o mnie oświadczył?

— Nie byłaby to kobieta ciekawa? Powiem ci tylko, że jeśli przyjmiesz, będziesz mieć ziemi co niemiara.

— To już wiem! — zawołał Kostuś. — To wuj Staś.

— Takis dowcipny!

— Wielka sztuka. Przecie wczoraj był i oczy w nią wlepiął i ciastek tyle przyniósł. A niechby ona poszła!

— Bardzo dobra partia! — mruknął ojciec.

— Nam i tak dobrze! — rzekła dziewczyna.

Skończyli jeść, nie bardzo syci, ale zadowoleni. Ojciec zapalił papierosa i czekał na herbatę, dziewczyna zmywała statki, chłopak naciągał już znowu szynel.

— Już idziesz?

— Oho! Nim na Leszno zalecę, a potem na Mariensztat do pani Horbaczewskiej, a potem na Warecką. Jest parę kroków. Wieczorem ma tu do mnie przyjść Lisiecki! Mówił, że ma jakąś śliczną nowinę z Galicji.

Wyszedł z dobrą miną. Tych trzech korepetycyj zazdrościli mu koledzy, rachowali, że zarabia dwadzieścia cztery ruble miesięcznie. W rzeczywistości tylko ta na Lesznie u Rosenblatta była płatna, u pani Horbaczewskiej uczył darmo dwóch baków z Litwy, bardzo

biednych. Pani Horbaczewska miała na swej stacji specjalność — zbieranie Litwinów tępych i niezamożnych.

Na Wareckiej zaś mieszkał Rosjanin urzędnik, którego protekcji zawdzięczał wkręcenie do gimnazjum, wbrew polskiemu procentowaniu. Za to ojciec przepisywał mu darmo akta, syn mozolnie kuł lekcje z nieukiem Wołodią.

Gdy się znalazł na ulicy, przyszło mu do głowy wstąpić na Warecką i spróbować odrobić lekcje wcześniej. W ten sposób zabawiłby dłużej na Mariensztacie i porozmawiał z Korewą, siostrzeńcem pani Horbaczewskiej, medykiem z pierwszego kursu. Skreślił na Warecką, zadzwonił do drzwi Sergiusza Iwanowicza Baszłykina. Otworzył sam Wołodią.

— *Wot prekrasno!** Ojciec poszedł na karty, matka do generalszy* na czaj*. My by mogli też pohulać.

— Zadania trzeba odrobić! — rzekł po rusku Kostuś.

— *Eto wzdor. Pajdiom!**

— Gdzie?

— Ja zaprowadzę. Jest taka stara na Obożnej. Za rubla dostaniesz kart i herbaty z rumem. Dziewczyny usługują.

— To odrobim prędko i idźcie.

— A wy?

— Ja jeszcze mam dwie korepetycje.

— *Naplewat'!** To może wcale dziś nie róbmy.

— Aha, to i na trzeci rok zostanieie w trzeciej!

— *Czort waźmi!** Ja i z trzeciej dostanę tu dobre miejsce! Mnie na diabła klasy.

— No pewnie, ale Siergiej Iwanowicz mnie przykazał was uczyć, to muszę!

Coś mrużąc Wołodią usiadł za stołem, wydobyl brudne, zasmarowane zeszyty i ziewając wziął się do przypominania lekcji.

Sumiennie Kostuś kuł z nim przedmioty. Chłopak nie był nawet tępy, ale leniwy, niedbały, przekonany, że mu to wcale niepotrzebne. Robota korepetytora była ciężka i niewdzięczna, toteż chłopak odetchnął z ulgą, gdy się znalazł na ulicy. W bramie rozstali się z Wołodią, który pędził na Obożną z całą dumą szesnastoletniego dobrze odżywionego bydlęcia szukającego rozpusty.

Teraz Kostuś rozpuścił swe długie nogi i gnał na Leszno. Było zimno i padał śnieg z deszczem, wczesny zmrok końca listopada. Tak biegnąc chłopak rozmyślał, że dziś weźmie u Rosenblattów osiem rubli i co za nie sprawi. Przede wszystkim baszłyk i nowe przyszwycy do butów, potem ojcu cygar, Maryni ciepłe rękawiczki i na kolację przyniesie kieszki pasztetowej! Będzie bal, bo i Lisiecki będzie!

Ani się obejrzał, jak już był na Lesznie. Rosenblatt stary trudni się handlem grzebieni, żona handlowała pierzem, dzieci byk pięcioro. Kostuś uczył niby jednego trzecioklasistę, ale dwa młodszy uczyli się też przy tymże stole i tak się zdarzało, że każdy zwracał się do korepetytora Leosza, aż wreszcie przeszło to w stały zwyczaj.

Weszło też w zwyczaj, że Rosenblattowa wsuwała się podczas lekcji i uśmiechając się dobrodusznie, podsuwała chłopcu mały fajansowy talerzyk z trochę faszerowanej ryby.

Z początku odmawiał, dziękował, tłumaczył się, że dopiero co jadł obiad. Żydówka kiwała głową.

— Nu, nu, co to szkodzi. Pan taki duży, znajdzie się miejsce. Za młodu trzeba dużo jeść. To jest dobra ryba, szczupak. Jak my byli na wsi, to dziedzic moją rybę za specjał jadł.

* *Vot prekrasno!* (ros.) — No, wspaniale!

* *generalša* (ros.) — generałowa.

* *čaj* (ros.) — herbata.

* *Eto vzdor...* (ros.) — To głupstwo. Chodźmy!

* *Naplewat'!* (ros.) — Gwizdę (na to)!

* *Čort voz'mi!* (ros.) — Niech to diabli!

I zostawiała potrawę pieprzną i korzenną, której zapach drażnił zgłodniały żołądek chłopca. Czasem wytrzymał, czasem zjadł, ale w domu wstydził się do tego przyznać i ilekroć nie oparł się pokusie, miał straszne wyrzuty ambicji i strach, żeby się to nie odkryło! Dziś, jako w piątek, stary Rosenblatt asystował lekcji. Siedział pod piecem i zdawał się drzemać, ale czasem oczy jego bystro obejmowały chłopców i nauczyciela. Gdy zadania były odrobione, wstał i uklonił się.

— Bardzo panu dziękuję. Byłem dziś u dyrektora, ja tam czasem chodzę, bo to widzi pan, tego interesu szkolnego trzeba bardzo pilnować. Ja chcę, żeby te chłopcy uniwersytet pokończyli, żeby oni bankierami byli, nie takie proste Żydy jak ja. No, to ten dyrektor mówił, co Leosz bardzo zmądrzał, on dobre stopnie ma! Nu, to ja panu dziękuję i ja nie szkodując panu płacę.

— Icek — zawołał najmłodszego — weź tam na komodzie pieniądze i podaj panu. Pan wybaczy, ale dziś święto, nie godzi się pieniędzy tknąć dorosłemu. Niech panu dadzą dobry procent. Ja tego dyrektora i o pana pytałem, niech pana to nie obraża. Ja bym nie mógł mieć korepetytora, coby on był niespokojny! To on mówił, że pan w swojej klasie najpierwszy. Pi, pi, ja bardzo rad, że takiego dla Leosza dostałem. Czy pan tu w Warszawie urodzony?

— Nie.

— A pański ojciec co? Urzędnik?

— Skądże! Polacy jesteśmy.

— To jakże pan potrafił pierwszym w klasie być?

— Jakoś nie mogli mi dać rady! — zaśmiał się.

— A pański ojciec to Juriewicz!

— Tak.

— Miałem brata w Mińsku. Lasami handlował, to on raz interes miał z jednym Juriewiczem. On u niego dęby kupił, a tu raptem tego pana wywieźli i grubo brat łapówki dał, żeby te dęby wyrwać, bo majątek kazna* zabrała.

— To może nasz, bo rodzice byli dziesięć lat w Tomsku, a majątek zabrali, nie ma!

— Może być, może być. To jakże teraz takie panowie żyją?

— Matka umarła na Syberii. Nas dwoje z siostrą babka utrzymywała. Teraz z ojcem jesteśmy.

— No i jakże zarabia ojciec? Ma jaki interes?

— Administruje domami hrabiego Ossorii, za to mamy mieszkanie i piętnaście rubli miesięcznie pobiera. W gimnazjum za mnie babka płaci. Siostra już zarabia, ja też trochę! Nie ma biedy!

Stary Żyd głową trząsał.

— Żeby ja powiedział, nie ma biedy, nu! Ale dla takich państwa, takie życie! Aj, aj!

Chłopak zaśmiał się.

— My się nie smęcim. Może kiedy tam wrócim.

— Oj, ciężko! — szepnął Żyd i obejrzał się trwożnie. Kostuś schował pieniądze i zabierał się do wyjścia.

— Krejne! — zawołał Rosenblatt i szepnął żonie. Po chwili wniosła coś owinięte w papier.

— Niech pan do herbaty dla tatka zanieś! — rzekła. — To nasza szabasowa chała*.

Po chwili wahania Kostuś podziękował i zabrał dar.

Miał szczyry zamiar przyniesienia do domu, ale idąc na Mariensztat ułamał kawałek, zjadł, ułamał drugi i trzeci, i gdy wchodził na trzecie piętro do Horbaczewskiej, już wyrzucił pusty papier. Ale był syty, tak syty, jak dawno nie pamiętał. Horbaczewska zajmowała cztery pokoje, zwykle tak pełne ludzi, że w nocy zajęte były wszystkie łóżka, kanapy i zestawiano krzesła na prowizoryczne posłania.

* k a z n a (ros.) — skarb państwa. i.

* s z a b a s o w a c h a ł a — bułka pieczona specjalnie na sobotni dzień świąteczny (w religii żydowskiej)

Mieszkała właściwie sama i utrzymywała stancję dla uczniów, ale zajeżdżali do niej z Litwy krewni i znajomi, przesiadywali tygodniami bezdomni wygnańcy wracający z Syberii lub tacy, którzy nie mieli gdzie się podziać.

Oprócz tego stale miał u niej kwatery w pokoiku chłopców siostrzeniec Korewo, a w jej sypialni Ludka Borzobohata, daleka krewna kształcąca się w śpiewie i muzyce.

Horbaczewska nie miała żadnego funduszu, żyła literalnie z opatrności, niefrasobliwa, zawsze spokojna, rada każdemu pomóc, obyć się byle czym. Nie troszczyła się, gdy nie płacono za chłopców, nie odmówiła nigdy nikomu gościny. Sucha, siwa, ruchliwa, paliła papierosy, piła bezustannie herbatę i zawsze była zajęta cudzą troską i potrzebą, a znała z końca w koniec całą Litwę, stosunki, pokrewieństwa, interesy. Domem, kuchnią, rachunkami nie zajmowała się wcale. Od tego była „panna Duszka”, „ciocia Duszka” lub krótko „Duszka”. Była czyjaś tam z rodziny krewną, innych nauczycielką, wreszcie w powstaniu przygłęła do Horbaczewskiej i pozostała. Razem przebyły ruinę majątkową, razem śledztwo, więzienia, wygnanie, razem osiadły w Warszawie. Duszka za cały majątek posiadała kuferek, pościel, czeczotkową szkatułkę i kilka obrazów świętych. To wszystko mieściło się w kuchence za parawanem. Duszka gotowała jeść, sprzątała mieszkanie, doglądała prania, mustrowała chłopców i łątała ich ubranie, lokowała gości, łątała głowę nad finansami — była wszystkim.

Niekiedy miewała do pomocy służącą, częściej była sama. Była serdeczna, łagodna, wesoła, a już gdy chłopcy zanadto jej dokuczali, udawała gniew i mówiła:

— Nie wiedzieć co, duszko! A toż już patrzeć na was nie chce się, tak obrzydliście!

Duszka wstawiała ze świtem, szła spać ostatnia. Ale przed spoczynkiem modliła się jeszcze długo i zawsze tylko za umarłych.

W ciszy kuchenki, gdy wszyscy już spali, rozlegał się jej półgłosny szept: „Za duszę Anny, wieczne odpocznienie, za duszę Kazimierza i Józefa, za duszę Adama, za dusze ległych pod Horkami, za dusze zmarłych u dominikanów, za dusze powieszonych na Łuki szkach, wieczne odpoczywanie.” Za żywych nie modliła się, zapewne nikt z jej bliskich, własnych, serdecznych żyw nie został. Ale w dzień pracowała i myślała o żywych, nie żaliła się; ani wspominała swych grobów. U Horbaczewskiej było zawsze pełno, starsi zajęci bytem, walką o chleb, interesami garnęli się do gospodyni, rozprawiano o ziemi, o długach, o procesach, o kłopotach przeróżnych, politykowano nawet. Młodzi garnęli się do Duszki. Chłopcy ze stancji opowiadali jej swe utrapienia w szkołach. Korewo swe plany kariery, Ludka żaliła się na zawistne koleżanki i umizgi nauczycieli. Marynia Juriewicz i Kostuś przychodzili czasem w niedzielę, siadywali u jej łóżka, za parawanem na kufierku i rozpytywali „jak to było” albo przynosili jej różne przepisane wiersze, albo prosili o nutę jakiej pieśni, którą się śpiewało z cicha, przy zamkniętych drzwiach i oknach, żeby, broń Boże, nie zapomnieć! Duszka wtajemniczona była we wszystkie tajne stowarzyszenia tej „młodej Polski”. Wiedziała, gdzie i kiedy odbywały się lekcje polskiego języka i historii, gdzie się zbierała organizacja różnych związków, gdzie bywały odczyty i posiedzenia oświaty, jaką drogą dostawały się pisma i książki z zagranicy. Wiedziała wszystko, a umiała milczeć jak grób, a umiała zapalone głowy mitygować, śpiące ożywić. A mawiała zawsze nowym przybyszom z Litwy:

— To widzisz, duszko, tobie takie szczęście, że się tu wkręcił do Warszawy. Ty, duszko, ucz się, jakbyś się najadał na długi głód. Bo to jak tam do nas wrócisz albo do Petersburga na studenta pójdziesz, to tam już nic nie dostaniesz, nic nie posłyszysz, niczego takiego się nie nauczysz. A kto wie, może będziesz gdzie w Rosji służył, to jak nie nabierzesz mocy tu, to tam już całkiem przepadniesz, jakbyś zapomniął, kto ty taki! A to wszystko trzeba tak umieć jak „Ojciec nasz”, żeby cię ze snu zbudzili i spytali, żebyś każdą rzecz umiał i po porządku, i na wrywki. Ho, ho, to po katechizmie pierwsza nauka.

Z jej to natchnienia Kostuś zaczął dawać korepetycje dwom następnym lokatorom: Bułhakowi i Sarosiekowi. Dobre to były chłopaki, ale zahukane i oszołomione Warszawą.

Mieli przy tym okropny akcent, drwili z nich koledzy, zamiast się rozwijać, dziczeli i zamykali się urażeni. Rodzice borykali się z biedą w zrujnowanych majątkach, skąpo udzielali zasiłków.

— Ty, duszko, bogaty, według nich — mawiała Duszka. — Ty umiesz nie ucząc się, ty pierwszy w klasie, a, oni ostatni. Broń Boże, nie przejdą po egzaminie, to będzie hańba wam, tęgim Litwinom, żeście ich za łeb nie wyciągnęli!

Więc Kostuś kuł, aż potniał, z Sarosiekiem i Bułhakiem, wbijając im w głowę grażdanek^{*} i matematykę, historię „imperii” i katechizm po rusku.

Był tylko jeden Litwin, którego Duszka nie cierpiała. Nazywał się Lisiecki, znajomy Korewy. Właściwie studiował w Petersburgu, ale zjawiał się często w Warszawie i wtedy miewał z Korewą długie tajemnicze konszachty.

Od razu nie podobał się Duszce, bo nosił brodę i długie rozczochrane włosy, a pod mundurem wyzierała mu kolorowa koszula bez białego kołnierza.

— Jaki to kacap do was się przyplątał? — zaczęła wypytywać Kostusia.

— Żaden kacap, nasz, z Witebskiego, u technologów jest.

— Jakiś on, duszko, cudaczny. Jakieś ma nieczyste oczy. A po coż się za *sacharmarożnika*^{*} ustroił?

— Bo on jest w tamtej partii razem z nimi.

— Z nimi! Jezu Nazareński! To on chyba szpieg.

— Co też panna Duszka wygaduje. Oni dla siebie i dla nas wolność wywalczą.

— Dla nas, oni! Czyście się blekotu najedli! Chłopcy, rozum straciliście! Oni z nami, razem! To ojcowie wieszali, a synowie tak raptem się pokochali z nami! I wy w to wierzycie! To, duszko, jest największe głupstwo, jakie w życiu słyszałam, a to jest chytryść i jakaś nowa na was zasadzka, na to młode pokolenie, co dorasta. Wy się opamiętajcie, oni wam dusze pogubią, oni was nauczą swoich sposobów, a potem trzeba wam będzie ginać we wstydzie. Co my z nimi możemy mieć wspólnego!

— Jak to co? Krzywdę! I oni cierpią.

— Iii, duszko. To niech oni dochodzą swego, a my swego. A jak oni takie przyjaciele, to niech do nas przyjdą i na nasze się przerobią, a nie my na ich manier! A ten wasz Lisiecki brudas i wilkiem patrzy, wspomnicie moje słowa, że on jakąś nieczystą robotę prowadzi.

Chłopcy naturalnie nie słuchali Duszki, ale ona względem Lisieckiego zachowała nieufność i niechęć, i przestrogi swe powtarzała, jak mogła najczęściej. Wywiedziała się skądś o jego stosunkach i dogadywała przy każdej okazji.

— Jakże to? Ma kawałek ziemi w Witebskiem, starą matkę, siostrę, robotę, obowiązki i oto podobno ośm lat siedzi w Petersburgu i niby się uczy. Co to za nauka, kiedy się skończy? Nawet na wakacje do domu nie zajrzy, ale do Samarskiej guberni wyjeżdża, lud niby oświeca. A jemu co do Samarskiej guberni, to on nie ma u siebie kogo oświecać! To, duszko, nie żaden rozum ani robota, żeby nasi tam szli. A do nas to kto przyjdzie, syn obywatela z Samarskiej guberni? Co? To wieża Babel będzie z tego, a nie żadna wolność.

— Nie będzie wolności, aż cała ludzkość nie zrozumie krzywd i poniewierki słabych! — wyrecytowała Ludka, która się kochała w pięknym Korewie, i słuchała mało co rozumiejąc dysput studentów.

— Iii, nie plotłabyś, duszko! Tobie w głowie wąsy Korewy, a nie żadna ludzkość! Ty patrz, żebyś konserwatorium skończyła i kawałek chleba zarobiła muzyką, bo Korewa się z tobą nie ożeni. Ludzkość, kto widział z was ludzkość? A ja widziałam, jak na Łukiszkach ci naszych wieszali, ale o ludzkości to wtedy milczeli i nie myśleli jej stosować, tylko sznur i kule. A teraz za to taki Lisiecki im służy!

Tego dnia, gdy Kostuś, zjadłszy chałę, zjawił się do „wykuwania”, zastał Duskę w wielkiej alteracji^{*}, że zaś na schodach spotkał Lisieckiego, wiedział już, o czym będzie mowa.

^{*} g r a ż d a n k a — alfabet rosyjski.

^{*} s a c h a r m a r o ż n i k (ros.) — lodziarz.

Korewa siedział nad jakimiś ruskimi broszurami, ale wyglądał posepny. Duszka na rogu stołu prasowała bieliznę, pani Horbaczewska rozprawiała żywo z jakimiś dwoma przybyłymi z Litwy paniami, chłopcy byli wystraszeni. W powietrzu czuć było świeżo minioną burzę, bo i Ludka płakała w kącie.

— Słyszałeś, Wołodźko się zastrzelił! — powitała go Duszka.

— Brat panny Seweryny? Co mu się stało?

— A co? Spytaj się Lisieckiego. Toć koledzy. On przywiózł tę wiadomość i dowodzi, że spełnił czyn bohaterski. Dano mu jakiś rozkaz, nie chciał, czy nie mógł spełnić, i zabił się. Ładny musiał być rozkaz. Wołodźko, taki porządny chłopak! A teraz co? Matka i siostra z pracy rąk go kształciły, matka oślepla prawie od haftów, panna Seweryna resztkami sił goni, miał skończyć latem, myślały, że przy nim nareszcie wypoczną, i ot! A Lisiecki dowodzi, że tak musiał postąpić. Ale już i panią Horbaczewską z cierpliwości wyprowadził, zabroniła mu tu się pokazywać.

Kostuś spojrzął na Korewę, tamten ramionami ruszył i mruknął:

— Głupi interes. Ja z tego wychodzę!

— Zdaje się! — zawołała Duszka. — Toć Lisiecki śmiał dowodzić, że kto do wolności dąży, ten powinien poświęcać wiarę, kraj, rodzinę, powinien kraść, mordować, a jeśli do tego nie dorósł, to palić sobie w łeb. Dzięki Bogu, że przecie się wygadał, jak to ta wolność wygląda!

— Wołodźko się zabił! — powtórzył Kostuś jakby przez sen. — A Lisiecki do nas poszedł!

— Poszedł też do was pan Stanisław, wasz wuj, ten już waszego ojca poinformuje.

Korewa wstał, zgarnął broszury i wyszedł z nimi do kuchni. Wrócił po chwili i zaczął starannie przebierać papiery w swoim stoliku.

Kostuś wziął się z chłopcami do zadań, ale był wciąż roztargniony i spieszył.

Po chwili weszła do pokoju Horbaczewska.

— Ignas! — zainteresowała* Korewę — jeśli masz jakie listy lub wzmianki o tym Lisieckim, to zniszcz. Już ty mi wierz, będzie pasztet!

— To i robię! Niech ciocia będzie spokojna, dopilnuję się!

— Ot i korzyść, naszych chłopców tam posyłać. Zaraza, zguba! Teraz nie dam trzech groszy, że i Protasowicz, i Szyszko, i Rymwid przypadną, to wszystko jedna paczka. Już nie wiadomo, co lepiej, czy żeby niczego się nie uczyli, czy podlili się po tych przeklętych szkołach: Słyszałeś, Kostuś, że ten Hrabia Ossoria, waszej Hrehorowiczowej brat, szambelanem został. Możecie mieć plecy i protekcję.

— My! — poczerwieniał chłopak. — My się z nimi nie znamy prawie, a że ojciec ich domami administruje, toć chyba nie dla protekcji ani pochlebstwa. Byłby inną posadę znalazł, ale babka życzy sobie, byśmy tam byli. Żadnych łask od nich nie mamy.

— Ja wiem, ja wiem, ale czasem zółć się zburzy. Toć Hrehorowiczowa tam z nimi i syn! Jak ona wytrzyma. Ojciec wielkim łowczym dworu, brat szambelanem, a mąż w powstaniu zabity. Ja wiem, że wy inni! Ale to zgroza! Marszałkowa z Grel iluzje* ma, że w takim otoczeniu wnuk jej zostanie patriotą.

— No, jeden, niezawodnie! — rzekł hardo Kostuś.

— Pewnie, pewnie. Ale wy znowu z tą sympatią dla tych nihilistów*, Bóg wie, w co się możecie wplątać. Żebyż was przekonać, że teraz tylko cicho siedzieć trzeba.

— A was to przed sześćdziesiątym trzecim nie przekonywali, że trzeba cicho siedzieć, i posłuchaliście! — mruknął Korewa.

* alteracja — wzburzenie, niepokój.

* interpelować — żądać odpowiedzi.

* iluzje — złudzenia.

* nihilista — w Rosji określenie rewolucyjnego demokraty; człowiek odrzucający wszelkie normy, zasady, prawa.

— Łatwo wam mówić teraz. Fali kto się oprze!
— A to ciotka myśli, że teraz fali nie ma!
— No jest, jest, ale z tamtej strony, i straszna, i dzika. My cudzego nie chcieli, nie mordowali!

Korewa zabrał jakieś papiery i wyszedł z nimi do kuchni. Kostuś wziął się znów do grażdanki z Sarosiekiem.

Student rzucił papiery w ogień i zapatrzony w płomień, usiadł na zydelku. Wtem wszedł ktoś do kuchni — i postyszał głos Duszki:

— Wiesz, Kostusiu, że ten wasz wuj Staś na serio chce się żenić z Marynią?
— Mało czego się dziadowi zachciewa. Ona nie pójdzie.
— Jaki on tam dziad. Czterdzieści pięć lat, a ile on ma ziemi. A wiesz, że jego brat to się z jakąś pułkownikówną na Kaukazie ożenił i ma dzieci.
— No to co?
— Ano to, że jakby Stanisław się nie ożenił, to po nim te Saszki i Wołodzie wezmą Skarbowiec.

— Kto mu się broni żenić. Mało jest panien?
— On jeśli nie z waszą Marynią, to z nikim się nie ożeni.
— Ma się Marynia sprzedać za pieniądze?
— Uchowaj Boże, ale, duszko, Skarbowiec to ziemia ta nasza, ta święta ziemia litewska. Pięćset majątków po powstaniu przepadło, a teraz co rok tyle ginie. Słabe ręce wypuszczają, podle marnują. Tak topniejemy, znikamy. Pomyśl tylko, tyle krwi za to pociekło, tyle łez, i na darmo! Toć raz stracona ziemia u nas, to już nie odebrać. Toć z naszej Litwy cmentarz zostanie! Tylu was jest takich rozbitków, nie macie do czego wrócić, nie dostaniecie nawet u siebie posady, chleba kawałka. Skończycie nauki, to pójdziecie do Tuły, na Kaukaz, nad Białe czy Czarne morze, nigdy do siebie. Tyle jeszcze nas, ile tej ziemi naszej w rękę.

— Dlaczego panna Duszka mnie to mówi, a nie wujowi Stanisławowi?
— Bo ty wiesz, co jest z Marynią.
— Co?
— Kogo ona kocha.
— Marynia! Nikogo. Tylko idee nasze.
— I Lisieckiego.
— Nieprawda! — wybuchną chłopak czując okropny ból.
— Powiedz jej to, powiedz, że ja mówiłam!
— Powiem. Zaraz powiem!

Wybiegł prawie, hałaśliwie zatraskując drzwi. Przed Duszka stanął nagle Korewa. Przestraszyła się sekundę, ale wnet oprzytomniała.

— Co ty, duszko, tu robisz?
— Paliłem papiery i podsłuchiwałem.
— To ile, bo to zawsze się coś niemiłego podsłucha.
— Czy ciotce sam Hlebowicz mówił, że się chce żenić z Juriewiczówną?
— A mówił, duszko, mówił!
— A panna Maria mówiła, że kocha Lisieckiego?
— Co ty, duszko, taki ciekawy!
— Bo to niemożliwe. Zresztą on o niej nie myśli. Jemu to nie w głowie.
— To i dobrze, choć jedno robi. Grzech by był, żeby wiązał młodą dziewczynę, prawie dziecko, do swego szalonego życia. Nie godzi się zakładać gniazda takim, co sami nie mają nic, a służą ideom, za które każdy dzień grozi więzieniem lub kulą. To nieuczciwość, podłość taką nawet pokusę dziewczynie robić. To wstyd, duszko!

Korewa milczał, patrzył w ziemię, potem ramionami ruszył i wyszedł.

A Kostuś pędził do domu. Już w bramie swej potrafił kogoś — i poznał Lisieckiego.

— A wy od nas idziecie? — spytał zimno.

— Nie, czekałem na was.

— A byliście już u Wołodzikowej?

— Wiecie już! Nie, nie byłem. Dość było hecy u Horbaczewskiej. Całkiem jakby ja go ubił. Podlec był, tchórz! Dobrze, że nie zdradził, a ci jego żałują. To trudno, kto chce świat walić, ten mu: swoją robotę zadaną zrobić, a nie — „dałoj”^{*}.

— A teraz Wołodzkowej ślepej co robić?

— Albo to nasza rzecz. Takich Wołodzkowych jest tysiące może w całej Rosji, będzie jeszcze dziesiątki tysięcy, jak robota się rozwinie. Po pas w krwi będziem brodzić, ogłuchniem od jęków. Co robić! Musi to przejść, na to się nie można oglądać, to drobiazg.

— My z wami nie pójdziemy!

— Jak to? Tchórzycie?

— Nie tchórzymy, ale to dla nas wstrętne. Zresztą teraz, tutaj nie pora mówić, a u nas dziś są goście. Przyjdźcie jutro.

— Wyjeżdżam o dwunastej. Chciałem się z wami pożegnać i z waszą siostrą. Mam tu dla niej książkę.

— Oddam! Kiedyż znowu będziecie?

— Nie wiem, jak się uda! Ten dureń Wołodzko...

— Dajcie umarłemu spokój. Bywajcie zdrowi.

Odetchnął z ulgą, gdy Lisiecki zniknął za bramą na ulicy, obejrzał się, czy kto był świadkiem ich rozmowy i schowawszy książkę za szynel ruszył do oficyny.

Oświetlone były ich okna i gdy wszedł, zastał całe towarzystwo przy herbacie.

Czworo było. Juriewicz ojciec, profesor Przybylski, botanik, kolega Juriewicza ze szkół, wuj Stanisław i Marynia — zwykła kompania.

Rzadki był dzień, żeby profesor nie spędził z nimi wieczoru. Samotnik był i mieszkał o piętro niżej. Podróżował wiele po świecie i niewyczerpany był gawędziarzem o przyrodzie i ludach, Juriewicz w zamian miał humor zawsze pogodny i moc wspomnień i anegdot, przy tym wiecznie coś majstrował, zostało mu to z Syberii, gdzie by z głodu nie umrzeć, nauczył się różnych rzemiosł.

Profesor tedy rozповідаł, ojciec rozkładał warsztat ślusarsko-galanteryjny lub reparał zegarki i dorzucał raz po raz jakiś dowcip, dzieci tak do tych wieczorów przywykły, że nigdy prawie nie szukały młodszej kompanii.

Marynia szyła lub robiła kwiaty, Kostuś, odrobiwszy zadań pomagał ojcu.

Wokoło stołu siedzieli, a za stołem była stara ceratowa kanapa, a nad nią, wyżej, sztych^{*} Lituanii^{*} Grotgera, niżej dwa dagerotypy, te same, przed którymi dzieci w Grelach odmawiały swój pacierz. Teraz jeden z nich otaczał zeschnięty wianuszek kwiatów, jakichś obcych z grobu matczynego w tajdze syberyjskiej.

Wuj Stanisław bywał w Warszawie dość często i bawił po parę tygodni. Mało się zmienił przez te kilkanaście lat. Osiwiał wtedy przy tym krzyżowaniu chłopskim, potem przebył lat parę za granicą, wreszcie wrócił do swego Skarbowca. Został ziemię i niebo, wszystko zniszczone, zburzone, straszną pustką. Jednocześnie spadła nań sukcesja^{*} po stryju. Myślano, że majątki sprzeda i jako magnat osiadł za granicą. Ale on cały kapitał włożył w dźwignię majątków i stał się dobrodziejem chłopów. Juriewicz mawiał:

— Jakże chcecie, omal z niego nie zrobili Chrystusa. Wywdzięcza się! Nie domęczyli, bo widocznie Żydów nie mieli do pomocy.

Profesor Przybylski nie mógł nigdy zrozumieć, jak można uważać za swoich takich chłopów, którzy są prawosławni i Rusini.

^{*} d o ł o j (ros.) — precz!

^{*} s z t y c h — rycina odbita z płyty metalowej, najczęściej miedzianej.

^{*} L i t h u a n i a (łac.) — Litwa.

^{*} s u k c e s j a — spadek.

W chwili, gdy Kostuś wszedł, profesor opowiadał:

— Tam już znaleźliśmy tylko mchy i pełzające krzaczaste brzoźki, rósł też w szczelinach suchy żółty kwiatek, rodzaj arniki...

Juriewicz spojrział na wchodzącego syna i rzekł:

— Cóż, wypędzili trędowatego od Horbaczewskiej?

— Kogo?

— Ano, nihilistę.

— A Wołodźko się zabił! Wiecie?

— Wiemy. Księżę Panie Kochanku * powiedziałby, że to bardzo zacny człowiek, bo mógł zastrzelić ciebie albo mnie, a on na sobie poprzestał. Szkoda chłopca, paskudnie się zaplątał.

— A co będzie ze ślepą matką i siostrą?

— Byłem u nich! — rzekł Hlebowicz. — Byliśmy razem z Marynią. Zabiorę je do siebie.

Kostuś spojrział na siostrę. Szyła coś czarnego, oczy miała zaczerwienione.

— Z tymi kramolnikami * my się nigdy nie porozumiemy — rzekł Juriewicz. — Była ich cała paczka z nami w Barchańsku, przychodzili do mnie, gadali. Żeby jeden miał klepki w porządku. Żaden się do roboty nie brał, żaden ładu w głowie nie miał. Przynosili mi robotę, jakieś rysunki, modele albo ustnie tłumaczyli. Wszystko to miały być jakieś instrumenty, maszyny, sposoby mordowania, jedno rozrywało, jedno paliło, jedno truło; jakem zaczął kiedyś jednemu rachować, ile on swoją maszyną uśmierci, to coś wyszło na sto tysięcy. Cieszył się i ręce zacierał. Byli tacy, co pisali, smarowali papieru ryzy. I to znam, bo mi czasem do przepisywania przynosili. Wszystko było: „mierzość”*, i na wszystko „naplewat”, wszystko trzeba zniszczyć, wszystko „dałoj”. A już najciekawsza była kategoria mistyków, jakiego oni Pana Boga sobie komponowali, to już zdrowy rozum wcale pojąć nie mógł.

— To wódka ich otruła! — rzekł profesor. — Oni wszyscy są dziedziczni alkoholicy.

— Wołodźce może kazali popełnić mord! — rzekł Hlebowicz.

— Nie może być! To młodzi szlachetni ludzie! — przerwała Marynia.

— Może być! — gwałtownie wtrącił Kostuś. — Lisiecki dowodzi, że po pas we krwi trzeba brodzić.

— To, to, to! Jakbym słyszał Dochturowa — rzekł Juriewicz. — Był tam z matką. Dowodził, że trzeba wszystko bogatszym odebrać, a jak stara mówiła, że nie da swej pierzyny, to mówił: „To zarzną mamę, i słusznie!”

— To straszne! — rzekł profesor.

— Straszne, nie straszne — odparł Juriewicz. — Byliśmy mogli na to z boku patrzeć, a sami się różnić nie dali.

— Ba — wtrącił Hlebowicz — tylu naszych tam jest, w szkołach, na urzędach, w zarobku!

— Przyjdzie dziś tu Lisiecki? — spytał syna Juriewicz.

— Nie!

— Boisz się go? — spytał Hlebowicz.

— Ja! — zaśmiał się powstaniec. — Mój drogi, ja i strach. A cóż mnie już nastraszyć może? Turmy * znam, etapy znam, katorgę znam i „posielenie”*. Majątek wzięli, Stefkę wzięli, dzieci nie wezmą!

— Nie wezmą? — szepnął Hlebowicz.

— Nie. Upilnuje ich to!

Wskazał oczami sztych Lituanii i dagerotyp. Dzieci spojrzały mu prosto w oczy, poważnie.

* Księżę Panie Kochanku — Karol Stanisław Radziwiłł (1734–1790), uczestnik konfederacji barskiej.

* kramol'nik (ros.) — buntownik, mierzost' (ros.) — podłość, niegodziwość.

* mierzost' — podłość, niegodziwość.

* tur'ma (ros.) — więzienie.

* poselen'e (z ros.) — zesłanie.

— Rozmówiłem się z Lisieckim. Już on do nas nie przyjdzie — rzekł Kostuś. — Nie chcę być w takiej robocie. Ja się też nie lękam, ale nie mogę przyjaźnić się z takim.

— Musiałeś dziś dużo z Duszka rozmawiać! — rzekła Marynia.

— Tak jak Wołodźko skończyć nie myślę. Cóż to, tak ci żal, że Lisiecki nie przyjdzie?

Podniosła nań oczy zdumiona.

— Czegoś taki zły?

Burknął coś i odszedł do drugiego pokoju. Profesor zaczął się żegnać. Juriewicz zasiadł przy biurku i zajął się jakimiś meldunkami. Marynia i Hlebowicz zostali sami koło stołu, rozmawiali półgłosem.

Trwało to czas jakiś, potem i wuj Staś odszedł. Marynia posłała łóżko ojca i kanapę dla brata, chwilę się modliła przed matczynym wizerunkiem i przeszła do swego pokoiku.

Kostuś tam pisał. Wstał bez słowa i przeniósł swe zeszyty i książki do ojca, unikał wzroku siostry.

Ona zgasiła światło i ułożyła się do snu, po chwili i w drugim pokoju zapanowała ciemność. W jakiś czas potem Kostuś wstał, narzucił na siebie szynel i boso, ostrożnie wśliznął się do siostry.

— Maryniu! — szepnął.

— A co ci?

— Nie śpisz?

— Jeszcze nie.

Kostuś przykucnął u łóżka.

— Słuchaj! Czy wuj Staś ci się oświadczył?

— Tak. Dziś, przy ojcu.

— I ojciec co?

— Ojciec powiedział, że będzie tak, jak zechcę. No a ty?

— Ja prosiłam, żeby mi pozwolili się namyślić.

— No i myślisz o Lisieckim! — syknął.

— Nie, myślę o rojeniach naszych. Zapanowała chwila milczenia.

— Nie zapieraj się, że się w nim kochasz.

— I ty go kochasz.

— Już nie.

— Dlaczego!

— Tak. On tu łąził tylko dla ciebie.

— Mylisz się. Lisiecki nikogo nie kocha. On żyje tylko dla idei. Zgadaliśmy się z nim dotąd. Mieliśmy razem pracować.

— A dlaczego Wołodźko się zastrzelił? Ja się boję teraz takiej pracy. Tam coś jest nieczystego.

— Czyś mówił o tym z Korewą?

— Korewa popalił papiery. No i cóż myślisz? Pójdiesz za wuja Stasia?

— Nie kocham go i on taki bogaty. Mnie wstyd.

— Czego?

— Wiesz, u nas bieda, głodno, ojciec spracowany, tobie jeszcze tyle lat mozolić się w niedostatku. Jak pójdę, to jakbym was odstąpiła, zdradziła. W biedzie było nam przecie wesoło, swobodnie, a tak, to jakbym się sprzedała. Kto o mnie inaczej powie! Mnie wstyd. A on powiedział, że jeśli mu odmówię, to Skarbowiec sprzeda i z kraju się wyniesie. On mówił o tej ziemi, o tych ludziach, o tych stronach, nasze Rogale skonfiskowane stamtąd o miedzę, mnie tak smutno się zrobiło, tak ciężko. Nikt nie uwierzy, nikt nie pomyśli, że gdybym poszła, to nie dla tych dostatków, nie dla bogactw, nie dla szczęścia...

Przerwała, bo ją zdławiło wzruszenie.

— Ja uwierzę! — szepnął Kostuś. — Ja przecie poprzysiągłem także tam wrócić, na Litwę.

— Ty co innego. Ty będziesz walczyć, zdobywać, ty się nie sprzedasz. Tobie każdy przyzna bohaterstwo, a ja...

— Tobie bo szkoda Lisieckiego.

— Nie. Mnie szkoda rojeń moich. Marzyłam, że będę razem z tobą i ojcem. Za dwa lata kończysz gimnazjum, pójdziesz na medycynę, ojciec ma obiecaną posadę nadleśnego u Radziwiłłów.

— Ojciec nie ma już zdrowia na taką służbę. Sybir go zjadł.

— A jakże wy będziecie beze mnie!

— Może wuj Staś ojca namówi do was.

— Jeśli u babki w Grelach nie chciał zostać i o to się poróżnili, tym bardziej do Skarbowca nie pojedzie. Co ja mam zrobić, jak postąpić.

— Słuchaj, ja jutro z wujem pomówię — rzekł chłopak. — A ty może się poradź kogo.

— Kogóż? Ojciec, pani Horbaczewska, Duszka, wszyscy myślą jedno: że mnie świetny los czeka. A ty, i ty mówisz, że mi wierzysz, że mi ta ziemia taka straszna pokusa.

— Jużci, rozumie się, toć Litwa! Mnie tam nie wolno i piędzi mieć. Może do babki napisz.

— Babka powie to, co tamci. Babce dawali trzykroć za Grele, a wiesz, w jakim niedostatku bywa, i ani słuchać chciała.

— Biedna babka, jak jej nie stanie, Grele będą Stefana, on je zaraz sprzeda.

Z drugiego pokoju rozległ się głos ojca: — Dzieci, czy to już rano?

— Nie, ojcie. Zagadaliśmy się — odparła Marynia.

— Będzie wam gadanie jutro w gimnazjum i u Szymczakowej!

— A czemu ojciec nie śpi?

— A tak, dla kompanii! — odparł po swojemu, wesoło.

Ale dzieci wiedziały, że go obudziły reumatyzmy syberyjskie, więzienne lub troska czy wspomnienia.

Kostuś objął siostrę za szyję, uściskał i cichutko odszedł. Zapanowało znowu milczenie, ale długo jeszcze oddechy nie miały miarowości snu.

Najpierwsza, jeszcze po ciemku wstała Marynia. Zapaliła lampkę, umyła się i ubrała, zbiegła na dół po chleb i masło, nastawiła naftową maszynkę do herbaty, stróż napalił w piecu. Dzień się robił wolny, późny, ponury dzień listopadowy. Wstali mężczyźni, ubierali się rozmawiając.

— Dostałem wczoraj ośm rubli za korepetycję. Weźmie ojciec? — spytał Kostuś.

— Spytaj Maryni, jak stoi z obiadami.

— Dziś mi płacą na Wareckiej.

— Magnat z ciebie.

— To może ojciec to weźmie?

— A mnie one po co? Ugolina* robisz ze mnie. Własne dzieci mam zjadać. Zarobiłeś, to twoje.

— Niechby ojciec sobie raz kupił jegerowskie ubranie* na ten reumatyzm.

— Patrzcie doktora. Już w gimnazjum zaczyna praktykować. Ot, spiesz się, bo wpół do dziewiątej.

Wyszli. Śniadanie spożyli w kuchence. Zastali już herbatę nalaną. Marynia smarowała chleb masłem dla brata na południe. Była jak zwykle serdecznie do nich uśmiechnięta. Oni obadwa przełknęli w milczeniu herbatę, potem Kostuś sięgnął po szynel, ojciec po palto, ucałowali ją i wyszli. Nie mówili do siebie nic na schodach, dopiero w bramie stary rzekł:

— Jak pomyślę, że ona od nas odejdzie, to nie mogę spojrzeć na nią z żalu. Ale nie godzi się okazać. Niech idzie, prawda? — Spojrzał na syna.

* Ugolino della Gherardesca — krwawy tyran Pizy skazany na śmierć głodową w 1289 roku wraz z synami i wnukami.

* jegierowskie ubranie — ciepła bielizna z trykotu wełnianego tkanego specjalnym sposobem pomysłu doktora G. Jägera (niemieckiego zoologa i higienisty).

— Czy jej tam lepiej będzie, myśli ojciec?

— U nas, na Litwie! Na wsi, na ziemi!

Była tak wielka tęsknota, umiłowanie w tych słowach, że Kostusia aż dreszcz przeszedł.

— Niech idzie — szepnął.

Juriewicz spojrział na frontowe okna pierwszego piętra i rzekł:

— Idę do gospodarza. A ten tyle ziemi tam ma, a tutaj siedzi. Ruszył ramionami i skreślił na schody, Kostuś poszedł do gimnazjum.

Hrabia Ossoria, właściciel kilku kamienic w Warszawie, wielkich dóbr na Wołyniu i w Królestwie, prezes różnych dobroczynnych instytucyj, szambelan dworu, wstawał bardzo rano i Juriewicz zastał go już przy biurze, w gabinecie.

Wdowiec od lat kilku mieszkał z córką, wdową po Stefanie Hrehorowiczu, wnuk się przy nim wychowywał.

Oprócz córki miał hrabia Ossoria syna już żonatego, osiadłego w dobrach koronnych i radcę w Towarzystwie.

Gdy Juriewicz wrócił przed kilku laty z Syberii, Horbaczevska, mająca wszędzie stosunki, wkręciła go na posadę rządcy do Ossorii. Wygnaniec dostał dużo roboty, małe wynagrodzenie, ale był z tego bardzo zadowolony i pracował z całym oddaniem. Poza tym nie było między frontem i oficyną żadnych stosunków, nigdy wzmianki o pokrewieństwie i prywatnych sprawach.

Juriewicz przyniósł z sobą kosztorys nowej oficyny w kamienicy na Elektorальной i o tym debatowali z chlebodawcą, gdy do gabinetu weszła Hrehorowiczowa. Była to kobieta czterdziestoletnia, jeszcze piękna, w eleganckim szlafroku, widocznie wzburzona.

— Proszę papy, Stefuś chrypi i chce iść do szkół.

— Doktor był? — spytał hrabia.

— Posłałam, ale Stefuś nie chce na niego czekać.

— Co to jest? Chce, nie chce! Przyszlij mi go tutaj. Zwrócił się do Juriewicza.

— Bardzo przykry czas dzisiaj?

— Deszcz ze śniegiem, jak w listopadzie.

We drzwiach stanął chłopak szczupły i smukły w mundurze gimnazysty, o twarzy delikatnej i smutnej.

— Chrypisz podobno? — zagadnął go hrabia.

— Prawie nic, proszę dziadka.

— Ale matka się trwoży, posłała po doktora. Jeśli doktor pozwoli, pójdiesz, inaczej nie.

— Ale ja jestem zdrowy. Mnie wstyd przed kolegami. W każdy zimny i słotny dzień mama mnie zatrzymuje.

— Bo cię kocha. Chyba ważniejsza matka jak jacyś tam koledzy, z którymi im mniej będziesz miał stosunków, tym lepiej. Nie rozumiem, że będąc w tym wieku, nie wstydzisz się dzieciennych uporów!

Chłopak wyszedł. Ossoria zaczął znowu mówić o interesach i po chwili uwolnił rządcę.

W przedpokoju Juriewicz spotkał wychodzącego doktora. Znali się, więc na schodach zaczęli rozmawiać.

— Czy chłopak naprawdę chory?

— Gdzie zaś. Matka wariatka, pieści jak pinczera.

— Dlaczegoż doktor nie puścił go do szkoły?

— Sprowadziłaby trzech kolegów i na swoim by postawiła.

— Wychowają raroga.

— Robią, co mogą ku temu, ale chłopak ma coś w oczach i ustach, co mi wygląda podejrzane. Jest w nim instynkt zachowawczy zdrowia. Żeby nie był diabelnie dobrze wychowany i wysoko urodzony, toby się może uratował.

Stefek Hrehorowicz siedział w swym pokoju nad książką, patrząc przez okno na szare niebo i strugi deszczu.

Pokój był jak buduar kobiety, meble stylowe, dywan na podłodze, obrazy na ścianach. Obok drugiego pokoju zajmował pan Jagodziński, student prawa, nieodstępny pedagog i korepetytor ukochanego jedynaka.

Matka przed chwilą wyszła, obstawiając swego pieścucha miksturkami i słodyczami, pan Jagodziński był także nieobecny.

Stefek patrząc na deszcz nasłuchiwał, co się dzieje w mieszkaniu. Słyszał, jak matka wyjeżdżała na mszę i wiedział, że stamtąd pojedzie do swych dobroczynnych instytucji, słyszał, jak dziadek wychodził, i wiedział, że wróci dopiero na drugie śniadanie.

Gdy się tedy rozjechali, Stefek wstał, poszedł do otomany, zagłębił za nią rękę i wyciągnął książkę, mocno podartą, i zaczął ją czytać.

Co by powiedział szambelan dworu, hrabia Ossoria, żeby mógł przypuścić, że w jego domu i jego wnuk czyta, a może się i uczy historii listopadowego powstania.

VI.

Co jesieni w okolicach Grel, jak to był zwyczaj, zjawiali się z zagranicy zgonniki po zakup trzody. Obchodzili wsie i osady, dwory i mieściny i przebywali w tych stronach aż do jarmarku na Pokrowę. Uzupełniali wtedy resztę zakupów i pędzili partie swego towaru do granicy.

Główną kwaterę mieli w miasteczku u Bohuszewicza, który z roku na rok bogaciał i z roku na rok bardziej się zapijał.

Zgonnicy co roku przychodzili ci sami. Byli to dwaj spółnicy, stary Adam Bujdo i Piotr Kafar, austriaccy poddani ze Śląska, i paru młodszych pomocników.

Tego roku przyszli jak zwykle w końcu sierpnia i pewnego wieczora zjawili się we czterech w kuchni Bohuszewicza.

Bohuszewicz miał teraz nowy dom, gontem kryty, z gankiem od ulicy, a za domem obszerne podwórze i budynki gospodarskie. Czterech drabów w krótkich kozuszkach zawałiło kuchnię i stary Adam Bujdo pozdrowił gospodynię:

— Niech będzie pochwalony! Kłaniamy pięknie i prosimy o gościnę.

Piękna niegdyś Tekla, teraz żółta i zeschła baba, spojrzała na nich niechętnie i odparła po rusku:

— Siadajcie, gospodarz poszedł do wołosti*, zaraz przyjdzie, jeśli w karty się nie zagra.

Zgonniki siedli za stołem, dobyli z torb słoninę, z kieszeni noży i zaczęli jeść.

Stary Adam zaczął rozmowę:

— Cóż dobrego słyhać, pani gospodyni? Jakże dziatki się hoduja, jaki był urodzaj?

— Żywe dzieci, licho ich nie bierze! A urodzaj, będzie miał za co pić! Tyle!

Wylała zacierkę na misę, postawiła w rogu stołu i krzyknęła przeze drzwi:

— Przyjdziecie jeść czy nie!

Do kuchni weszło dwoje dzieci, garbata dziewczyna i chłopak bardzo cienki i wąty, o głupkowatym wyrazie twarzy. Siedli nad misą i spode łba na obcych patrząc, jedli.

Jeden z przybyszy trącił łokciem Adama.

— To dzieci ich wszystkie? — szepnął.

Adam głową skinął, dobył z torby jedwabną chusteczkę i nożyk na pasiku z kolorowego rzemienia i podał dzieciom.

— Ot, macie gościńca z zagranicy.

Skrzywiona twarz Bohuszewiczowej trochę się rozchmurzyła. Położyła przed gośćmi bochen świeżego chleba i spytała:

— Może piwa postawić? Adam wydobyl rubla.

— Nie zaszkodziłoby słoninę i kurz przepłukać.

Kobieta posłała służącą po piwo i spojrzała uważniej po gościach.

— Nowego macie kompana — rzekła.

— Aha. Piotr rękę wykręcił, to syn jego warsztat musiał rzucić i za ojca z nami iść. Spółka to spółka, niech pilnuje ojcowskiej połowy. Te dwa to moje chłopcy, Józiek i Felek, a Piotrów, Franciszek, kowalstwem zarabia.

— Musiał i na wojnie być!

Człek siedzący obok Adama miał twarz pełną blizn i szwów, przy tym jakby cętkowaną czarno.

— Nie z wojny to, a z rzemiosła — odparł. — Strzelbę mi do reparacji przynieśli, wypalił proch w twarz, z przypadku poznażyło.

Służąca wróciła z piwem, a wnet za nią wszedł z podwórza chłopak w bluzie czarnej i w czapce z żółtą wypustką i znaczkiem. Nie przywitał nikogo ani zdjął czapki.

* volost' (ros.) — gmina.

- *Stasik doma?** — spytał.
— *Nietu** — odburknęła Bohuszewiczowa.
— *Kuda czort ponios?**
— *Mnie czto za dielo! Iszchi!**

Chłopak zawrócił i wyszedł gwizdząc.

— Urósł Iwan! — rzekł stary Adam.

— Czynownik*, sobacze mięso! — burknęła kobieta z nie dającą się wyrazić nienawiścią.

Mężczyźni pili piwo, palili fajki i ziewali. Po jakimś czasie rzekł Adam:

— Zmachali my się mocno, pójdziemy spać na siano, jutro rozmówim się z gospodarzem.

— I pewnie, on nad ranem czasem wraca, pijanica. Tam idźcie spać, gdzie zawsze, tylko fajki zostawcie.

Wyszli, trafili do odryny i legli trzej. Franciszek Kafar rzekł do Adama.

— Pójdę.

— Idź, w niedzielę wróć! Wszędzie o trzodę pytaj. Człowiek tylko głową skinął i wysunął się na ulicę. Ku borom ruszył prędkim krokiem. Noc była jasna. Franciszek Kafar rozglądał się, czasem stawał i w dal patrzył, jakby dziwił się czemuś, to czegoś szukał, ale z pewnością nie błądził ani się wahał. Szedł, szedł bez śladu zmęczenia do boru, potem borem, potem skręcił ku byłym osadom krośnieńskim i już bez drogi, rżyskiem, ku czerniejącemu kościółkowi. Stał jeszcze, stała i dzwonnica bez dzwonów, tylko cmentarza i ogrodzenia nie było śladu. Człowiek ku drzwiom przyszedł, dotknął ręką kłódki i pieczęci, i odetchnął, że przecie innej wierze nie służył, a potem kapelusz filcowy zdjął i krzyżem u drzwi padł, jakby ramionami tę ziemię obejmował i do piersi garnał, i począł przejmującym szeptem odmawiać pacierze.

A ta ziemia, ten próg, te szerniałe ściany, te groby zielskiem porośłe poznały go pewnie pomimo twarzy zmienionej może umyślnie, pomimo austriackiego paszportu, cudzego imienia, pomimo piętnastu lat niebytności.

Wracał; przyszedł on jeden, może nie ostatni, może nie jedyny, ale pierwszy z pogromu — Wiktor, wnuk pana Kalasantego.

A gdy człowiek swe pacierze odmówił, wstał i począł po cmentarzu czegoś szukać, i odnalazł głąz ledwie z ziemi wyzierający i przy nim klęknął, i odmówił żałobne wieczne odpoczywanie za dziada, a potem na wzgórkę stanął i po polu się rozglądał.

Ta grusza to była na Marcelki podwórzu, a ta wierzba na moim, ot i grusza Feliksów się uchowała, i stary młyński kamień przed wrotkami naszymi co leżał, że go chłopci nie zabrali tyli czas — za ciężki! Boże wielki, zda się, wczoraj! Do Grel teraz, do Grel. Chłopakowi siedmnaście lat! Jezu, by go zobaczyć! Borem, bez drogi pójdę, pamiętam, oczy zamknę i trafię.

Zeszedł z pagórka i niestrudzony dalej ruszył. Nad ranem był w Grelach. Dwór był ten sam, ale jakby w ziemię wrósł, gospodarskie budynki podparte były i krzywe, strzechy omszone, znać było, że czasy były i zostały ciężkie, byt mozolny. Lasy tylko porośły i młynek wodny był odnowiony, i klekotał wesoło. Żywy to był dochód i stary Siemaszko pilnie go doglądał, bo Wiktor go spotkał wracającego z furą worków do dworu.

Stary zesiwiał, zmałał, zesechł, ale jeszcze szedł rażno przy furze i gderał parobka, że koń zatarty. Spojrzał na wędrowca i przystanął.

— Niech będzie pochwalony! — pozdrowił Wiktor.

— Na wieki, a co to? Zgonnik?

— Tak jest. Może jest co we dworze do zbycia.

* *Stasik doma?* (ros.) — Staszek w domu?

* *Netu!* (ros.) — Nie!

* *Kuda čert ponos?* (ros.) — Gdzie (go) diabli ponieśli?

* *Mne čto za delo! Ischi!* (ros.) — Co mnie to obchodzi? Szukaj!

* *czynownik* — urzędnik państwowy w Rosji carskiej.

— A wy to zawsze z tym łajdakiem Bohuszewiczem geszefty macie. Nie wstyd to wam!

— Na swoją rękę kupię.

— To dobrze. On mi się odgrażał zeszłego targu w miasteczku, że za nasze trzy sztuki żaden zgonnik i rubla nie postąpi od jego ceny. Powiedziałem: „Zdechniesz, a tobie nie sprzedam.” A wy to nowy. Pierwszy raz w tych stronach.

— Pierwszy raz po trzodę.

— No, wstąpcie do stacji, spocznicie, potem pokażę wieprze i pójdziem do pani. Ja zaraz idę, tylko mąkę do spichrza zamknę.

Wiktor nie pytał o drogę, wszedł do oficyny, spojrzął na ganek i na tym progu chciał uklęknąć, ale prędko drzwi otworzył, był pewny, że ujrzy chłopaka.

Ale w izbie u komina była sama Siemaszkowa. Obejrzała się i ofuknęła.

— A czego? A po co? A kto taki? Wiktor nie wytrzymał:

— Chłopaka nie ma? — zagadnął.

— Chłopaka? Jakiego? Co macie do chłopaka? Czy was Rebeszko przysyła? Jezus Maria, to jego nie ma u Rebeszki?

— To on u Rebeszki, w terminie! Ja tak spytałem — odetchną Wiktor.

— Jak to? Tak sobie? Kto wy? Co wam do chłopaka? Po co go szukacie? Skąd go znacie?

Wiktor drzwi zamknął, obejrzał się.

— Pani Siemaszkowa, ja myślałem, że zobaczę chłopaka, ja., ja... onże mój! Ja Wiktor!

Siemaszkowa oniemiała, rzuciła się do okna, rzuciła do drzwi, potem szeptem:

— Jezus Maria! Czyście oszaleli! Skąd wy? Co z was się zrobiło? Jakaście przyszli?

— Nie bójcie się! Paszport mam, ze zgonnikami znajomymi przyszedłem.

— Jakże, szukacie tu chłopaka, a zeszłego roku stara żebraczka list od was do pani przyniosła, żeby chłopca na naukę do mechanika oddać! Może to nie wy?

— Na paszporcie Franciszek Kafar. Prawda, poznać mnie teraz nie sposób. Rodzony ojciec by nie poznał. Żeby tu móc wrócić, umyślnie prochem się osmaliłem. Teraz bezpiecznie! Pani Siemaszkowa, jako że wam podziękuję, czym odpłacę!

Padł do nóg kobiety i obejmował jej kolana, ona odsunąć go chciała i płakała z wrażenia. Na to wszedł Siemaszko.

— Co to? — krzyknął.

— Cicho, cicho. Zamknij drzwi na zasuwkę. To Wiktor — powstrzymała go.

Wiktor do niego się rzucił, po rękach chciał całować, śmiał się i płakał.

— Cicho, cicho! Kto posłyszysz jeszcze. Opamiętaj się. Ludzie wstają, zaraz gumienny przyjdzie. Siądzie, gadaj o wieprzach, ja zaraz pastuszka pošlę wierzchem, na mojej kłaczy do Rebeszki, żeby Marcin przybiegł bieliznę zmienić. Wieczorem będzie. Tymczasem, żeby nikt czego nie przewąchał! Cicho.

Wszedł gumienny. Zgonnik siedział na ławie i śniadał. Potem poszedł obejrzyć trzodę i na targ do pani się udał. Pod wieczór rzekł do Siemaszkowej:

— Nie wytrzymam, pójdę na spotkanie.

— A trafisz?

— Każdą ścieżynę, każdy kamyk pamiętam.

— A on na prostki pójdzie i rozminiecie się. Czeka, czekałeś tyle, a Marcelka jeszcze dłużej ma wyglądać. Ot, powiadaj, jak żyjecie.

— Kuźnię mam, domek, kawałek ogrodu. Kował, wdowiec, wtedy nas przygarnął przez protekcję starej. Służyliśmy mu oboje sześć lat za strawę i moją naukę. Potem zaczął płacić, potem do spółki przyjął. Teraz już puścić nie chce.

— Więcej dzieci nie macie?

— Jest dziewczynka czternastolatka, Wikcia. Matce już pomaga.

— A papiery w porządku?

— Cudze, ale w porządku. Odsłużyłem za nie Kafarowi jeszcze dwa lata. Za syna mnie przyjął, który do Brazylii wyszedł. Stara to wszystko z nim naprzód urządziła, na gotoweśmy przyszli. Ona i dla Marcelki jakąś metrykę wyszukała. A ksiądz to prawdę posłyszał, ślub dał. Ano, Kafarowie my teraz.

— A Marcin — Krośniański. Nieboszczyk pan Ksawery z moim świadectwo dali i w papierach stoi.

— A natura u niego jaka? Dobry? Nie mieliście od niego wstydu i zgryzoty?

— Za oczy powiem, żeby się nie popsuł, ale udał się chłopak na dziwo! Ot taki — podniosła rękę pod sufit — jak jabłko czerwony i gładki, i wesół, i zdrów. Śpiewający wszystko robi, a posłuszny, a zawzięty do każdej roboty! Pani że go uczyła, to już wiadomo, ile 96

umie, i dokumentnie. A panicz Kostuś jak na wakacje przyjeżdża, to już zawsze i wszędzie z Marcinem.

— Mówiliście mu o nas?

— Jak do rozumu doszedł i do Rebeszki w termin miał iść, tośmy mu powiedzieli.

— Cóż rzekł?

— Że byle się czego nauczył, do was pójdzie. Powiadam: „Nie znajdziesz, nie poznasz!” Powiada: „Świat schodzę, a znajdę, raz spojrzę, a poznam!” Cicho, ot idzie, z moim gada! Siedźże cicho, ani mrugnij, bo robotniki idą po pieniądze.

Otworzyły się drzwi, za Siemaszką wszedł chłopak jak dąbczak, jasnowłosy, siwooki, opalony, w szarej samodziłowej kurcie i długich butach, z węzełkiem pod pachą.

Wszedł, pozdrowił Bożym Imieniem, Siemaszkową w rękę pocałował, obejrzał się na siedzącego w cieniu obcego.

— Kto to, matko? — spytał z cicha.

— Podróżny. Zanocuje. Jakże ci robota idzie?

— At, już nie psuję drzewa jak z początku.

— A paskiem nie dostałeś?

— Oho, czy ja cham.

— Jak warto, to i szlachcica pasek zmierzy.

— Toteż ja pilnuję się, żeby nie było warto. Jak Sydor po mnie przyjechał, to i sam się wybierałem do domu, bo na przyszły tydzień zabieramy się z panem Rebeszką do Kozar młocarnię reparować i miesiąc zabawim. To chciałem bielizny nabrać i buty połatać.

— No, spocznijże. Takiś zgrzany. Masz mleka, chlipnij przed wieczerzą. Dajże bieliznę!

Wyszła do alkierza. Siemaszko czeladź rozplącał, z polowym i gumienym się gniewał. Marcin usiadł na ławce z kubkiem mleka w garści i raz wraz na siedzącego w kącie obcego spozierał. Spotkali się oczami raz i drugi. Co on tak na mnie patrzy, jakby chciał zagadać, pomyślał Marcin i nagle wstał, kubek z garnka dopełnił i przed podróżnym postawił.

— Może wam gardło zaschło. Proszę, pijcie — rzekł. — Pewnieście z daleka, nie tutejszy.

— Z Galicji.

— Z Galicji! — powtórzył Marcin. — Ile dni tam iść trzeba?

— Wybierasz się tam?

— Ptakiem bym poleciał.

— A po co?

Chłopak się pohamował, stał się ostrożny.

— W Krakowie być, w stolicy, na Wawelu!

— A swoich tam nie masz? Bo to mnie jedna mówiła, że tu syna ma. Dała mi dla niego pamiątkę i pozdrowienie, i błogosławieństwo.

Marcin zapatrzył się w niego, słuchał.

A wtem Siemaszkowa wyszła z alkierza, Siemaszko za chłopami drzwi zamykał.

— Marcin! — rzekła ekonomowa. — Cóżeś ty mówił: „Raz spojrzę, a poznam...” No i co patrzysz!

— Ojciec! — wyjąkał chłopak.

A Wiktor za głowę go objął i wziął do piersi. Siemaszko nawet pociągnął nosem i rękawem po oczach przejechał. Siemaszkowa chlipała.

— A matka? — pierwsze spytał Marcin.

— Zdrowa.

— Czemu nie przyszła? Zabierzesz mnie z sobą, ojczy?

— Nie. Przyszedłem się obejrzeć, coś uradzić. My tam żyjemy tylko tym, żeby tu wrócić. Tylko o tym myślę we śnie i na jawie. Tu nam być i tobie.

— Powiadaj, ojczy, jaka matka? Do kogo podobna?

— Jakże ci się zda?

— Jak mnie zeszłego roku ci rodzice drudzy powiedzieli wszystko, to mi się ona jak żywa pokazała, taka jak na jednym obrazku, co mi panicz Kostuś pokazywał: taka kobieta zesłana do katorgi, co jej się Matka Boska pokazuje! A wiecie ojczy, z naszej Krośny wrócił jeden z Sybiru, Adam, na cmentarzu stróżem jest, on mi opowiadał wszystko. Och, żeby taka siła!

I zatrzęsł się cały i pięścią czemuś pogroził.

— Cicho! Czyś oszalał! — upomniała go Siemaszkowa.

— Trza milczeć, ale pamiętać! — rzekł Wiktor. — Pan Saturnin żyje, powodzi mu się?

— Ojoj, czemu nie, cegielnię postawił. Ożenił się z siostrą nowego gorzelnika z Kozar. Na spółkę z Abramem Papirnym generała okradają.

— Wuj Dereimer żyje?

— At, córkę za prawosławnego wydał, za pisarza włościańskiego, sam pije!

— A ksiądz jaki?

— Pozał się Boże. Po rusku śpiewać zaczął, przestali ludzie do kościoła chodzić, to niby przestał, ale o nic nie dba.

— To któż jest nasz i Boży?

— Któż by, nasza pani — rzekł Siemaszko.

— Wiecie, mało się zmieniała przez tyle lat.

— Święci Pańscy się nie zmieniają. Pobędą na świecie do pory i jako przyszli z nieba, tacy tam i wrócą.

— Prawdę mówicie. Jako zapamiętam stara, co nas stąd wyratowała, nie zmienia się, mocy nie traci.

— To żyje! Jak tej wiosny nie była, myśleliśmy, że zmarła.

— Żyje, na Podlasiu się kręci między unitami. Ona wszędy gdzie męka.

— Ale u nas już nie ma kogo ratować. Kto ostał, milczy i cierpi.

— A jakże reszta naszych parafian z Krośny. Były jeszcze dwie „okolice”, Pacholki i Sienna. Oniż zostali.

— At, między chłopami schłopieli. Zbiednieli, skapcanieli, do miasteczka do kościoła chodzą albo i wcale nie bywają. Zawzięte bardzo to te kilkanaście chat z Ozierny. Przypisali ich do kozarskiej cerkwi i do chłopów. Prawują się, upierają, ale zresztą złodzieje to leśne i kłusownicy, z nami graniczą, to utrapienie z nimi nieustanne. O każdą swoją sprawę do pani po radę idą, a las nam kradną już bez żadnego wstydu. Gorzej chłopów. Ci po wolności trochę zdurzeli, myśleli, nie trzeba robić. Ale jak przyszło wykup płacić i podatki, i podymne, i gminne, to zobaczyli, jaka to wola. Teraz to jak mi się przyśni pańszczyzna, to jęczę przez sen! To męka była z tym narodem i z taką robotą, teraz lepiej, lżej.

— Dzieci państwa Juriewiczów już porosły? A oni wrócili z Syberii?

— Pani tam zmarła, nie wytrzymała nieboga! Pan wrócił do Warszawy. Dzieci zabrał do nauki. Panienska Marynia tej wiosny za mąż poszła za tego siostrzeńca naszej pani, co go to

chłopi krzyżowali. Panicz Kostuś tego lata miał być, ale potem napisał, że za guwenera* gdzieś go wzięli, na wakacje. Nawet pani żal o to miała, bo ciężko jej tak samej.

— A pana Hrehorowicza syn żyw?

— Żyw, ale nie był u nas ani razu. Pani mówi, że on tu będzie, że dla niego to wszystko trzymamy, lasy hodujem, sami biedując, ale mnie się już wierzyć nie chce, żebyśmy go kiedy zobaczyli. Woleliby Kostusia, naszego hodowańca.

— To biedujecie! Na takim majątku.

— Spytaj się, co generał z Kozar ma, co je darmo dostał. A my ile kontrybucyj, sztrafów, pen i licho wie, jak to się nazywało, popłacili. Cud, że wytrzymali. Ile tu dworów było, a ile zostało, ot, nasze Grele, Ostrowy pana Białozora i Suhaki pani Ostaszewskiej. A reszta ruskie, w żydowskich rękach. Ot, w Horycach już piąty właściciel. Ten kraj to jak grabieżne dobro, kto się dorwie, to urwie, co może, i drugiemu rzuca. Strach, co to będzie za lat kilkanaście.

— Za lat kilkanaście przybędzie do nas!

— Ale, wczoraj przyszedłeś i dawne pamiętasz. Poczekaj, pochodzisz, popatrzysz, pogadasz, to zmilkniesz jak my!

— Ojcie! Kiedy ze wszystkim przyjdziecie? — spytał Marcin niespokojnie.

— Za parę lat.

— Za trzy lata do wojska mnie wezmą.

— Prawda! Ty Krośniański, ja Kafar! Prawda! — westchnął Wiktor.

— A gdzie myślicie osiąść? Jak?

— Myślałem w miasteczku! Ty byś mechaniką się trudnił, ja kowalstwem. Razem byśmy byli. Pani mi dziś obiecała we dworku mieszkanie i ogród, kuźnię by się postawiło przy rynku.

— We dworku teraz doktor mieszka, stary, z Syberii wrócił. Mało co praktyki ma, bo Żydy swego felczera mają, dworów mało, a chłopci po staremu znachorów tylko słuchają...

— Ojcie, a jaką mi matka przysłała pamiątkę? — zagadnął znów Marcin.

Uśmiechnął się Wiktor. Rozpiął kożuszek, rozciął nożykiem podszewkę kamizeli, wydobyl zwitek. Była książeczka pieśni, obrazków kilka i srebrny Orzeł z Pogonią na medaliku jednym, a Częstochowska z Ostrobramską na drugim, obydwie na łańcuszku.

— Pieśni ci kazała umieć na pamięć, na obrazki często patrzeć, a medaliki na szyi nosić. Naści!

— A schowaj dobrze pod koszulę! — upomniał ostrożny Siemaszko. — A pieśni to jakie?

— Czekajcie. Kolację trza zjeść, potem Marcin nam przeczyta! Ale Siemaszko okulary włożył i zajrzał do książki. Od pierwszego słowa książkę w zanadrze schował i poszedł zamykać okiennice, a potem i drzwi zasunął. Dopiero wtedy siadł spokojnie do wieczerzy.

Długo świeciło się u Siemaszków przez szczeliny okiennic. Pierwsze kury piałły, gdy światło zgasło i dwóch wyszło na podwórze. To Wiktor z synem szli spać do szopy na siano i tam jeszcze długo szepotali, nie mogąc się dość nagadać.

A gdy szli, przeprowadziły ich psy, łasząc się do chłopaka, a on mówił:

— Ten stary Obal to syn tej Służki, z tych, co to mnie lizały na ganku. Dopiero dwa lata jak zdechła. Aż mi wstyd było, ale jakem ją zakopywał na klombie pod lipą, to płakać się chciało! Powiadajcie, ojcie, powiadajcie, jakeście się to kryli. Pokażecie kiedy te miejsca.

— Pójdziemy wszędzie, a najpierw pokażę ci mego dziada mogiłę i to miejsce, gdzie stała chata.

— Postawim znowu w tym miejscu, kiedyś!

— Jakże by! A po cóż byśmy byli i zostali!

Nazajutrz rankiem zgonnik sam szedł drogą ku innym dworom i osadom. Wybierał takie, gdzie kogo szukał. Odwiedził Deremera leśniczówkę i Oziernę opornej szlachty, wstąpił do pana Saturnina. Nikt go nie poznał, ale i on nie odnajdywał dawnych ludzi. Spodleli jedni,

* g u w e r n e r — domowy wychowawca dzieci w zamożniejszych domach.

zruszczeli drudzy, a wszyscy jakby nie pamiętali krzywd, jakby zgodzili się z losem. Nawet Ozierańscy dzicy jacyś byli, ciemni, rozpróżniaczeni pieniactwem i znikczemnieli niedostatkiem.

Nie, dla ludzi nie wróciłby tutaj, wstrętni mu byli, ale gdy zostawał sam, na drodze wśród pól, lasów, sennych moczarów taką radość czuł, tak odnajdywał wszystko swoje, własne i nie zmienione, że już o ludziach nie myślał, a tylko wiedział, że żyć tu musi, że już gdzie indziej nie wytrzyma!

Przed niedzielą, wracając do miasteczka, do kolegów, przechodził u cmentarza i widząc siedzącego przed chatą stróża, przystanął. Poznał sąsiada z Krośny, Adama przezywanego Prorokiem, bo wróżył pogodę lub deszcz z różnych znaków niebieskich.

Człek sterany był, przygarbiony, bezzębny starzec. Wiktor pozdrowił go i o wodę poprosił, a potem na ławeczce obok przysiadł i zaczęli gawędzić.

— Dawno już mogli pilnujecie, panie?

— Niedawno, dwa lata. Jakem z Sybiru, głupi, wrócił.

— Toście zesłani byli. Za powstanie?

— A jakże? Cały zaścianek wywieźli.

— Jakże tam było?

— At, kto wytrzymał drogę i początek, to potem nieźle było. Wzięli się za robotę. To za handel, to za rzemiosło, to za służbę. Niczego sobie była. Moich synów tam dwóch zostało, jeden stolarnię ma, drugi u kupca, za przykaczyka*. Jak manifest przyszedł, to nie zechcieli wracać! „Do czego!” mówią. A ja, głupi, się uparł! „Pojadę,” mówię, „do swoich stron, choć żebrać będę, a wrócę!” Miałem kramik, już trochę grosza, zmarnowałem wszystko, wróciłem, myślę, do swoich stron! Oj dureń był, dureń! Jakież te strony, kogo ja znalazł, co tu jest? Ja i sam nie rozumiem, gdzie się wszystko dawne podziało. Panów nie ma, szlachty nie ma i chłopów nawet dawnych nie ma. Szarańczy żydowskiej się nahodowało, jakiejś hałustry surdutowej. Wilkiem brat na brata patrzy, mowy zapomnieli, wiary zapomnieli, nikt mnie i nie rozumie, nikt nie dba! Byłem pozbawiony praw, potem drugi manifest przyszedł, wrócili prawa! A jakie? Ziemi kupić nie można, stancji kazionnej zamiatać i do takiej służby nie dopuszczają, do kościoła pójść, to jakby ukradkiem do Boga wolno się odezwać. Chcesz wypowiadać się, ksiądz o pasport pyta, zagadasz do kogo po polsku, odpowie ci po kacapsku, a broń Boże po naszymu odezwiesz się w urzędzie, to protokół napiszą: sztraf albo koza cię nie minie. Do jakichże mnie praw ten manifest wrócił? Kto ja tutaj, ja, Adam Krośniański, cośmy papiery mieli, żeśmy od trzech wieków w zaścianku dziedziczy byli! Po co ja tu wrócił? Do kogo? Do czego? Ziemię moją błahoczynny dostał, zaścianka i śladu nie zostało, spalony, zaorany. Jakem przyszedł, poszedłem na to miejsce popatrzeć, jeszcze znalazłem krzyż, com go ufundował, kiedy mi się pierwszy syn urodził. Na ziemi leżał. Podniosłem go i postawiłem na nowo, ramę świekiem przytwierdziłem. To wiecie, śledztwo o to było, był taki, co do policji doniósł, że mnie widział, pociągnęli do przystawa jak złodzieja! To mi przystaw pięściami groził, od ostatnich łajał: *Kok śmiejesz, nielzia, ty brodiaga, ty miateżnik!** To jednym wolno krzyże z zaściankami palić, a drugiemu Bożą Mękę z ziemi podnieść, to za to kara! Tydzień trzymali w areszcie! To nasze prawo? Pół roku tułałem się, Żydom wodę nosiłem, nareszcie pani marszałkowa z Grel mną się zajęła, u niej w dworku przezimowałem, a z wiosną, jak stróż tutaj umarł, wprosiłem się u księdza, za darmo, byle tu z umarłymi być, a na żywych nie patrzeć. Synom to i wieści nie dałem o sobie.

— A ileż tam żyje jeszcze z naszego zaścianka?

— Nie wiem, nie razem byliśmy, nie wiedzieli o sobie. O jednym wiem, młody chłopak był, Andrzej, z matką i bratem był. Matka w drodze pomarła, brat utonął z przypadku, on u kupca służył i ożenił się z jedynaczką swego pana. Ten z bogacją, a jakem odjeżdżał, to mi mówił, że i on tu wróci! Ot, bajął. O reszcie naszych nie słyszałem!

* p r i k a z c i k (ros.) — subiekt, sprzedawca

* K a k s m e e ś' ... (ros.) — Jak śmiesz, nie wolno, ty włóczęgo, ty buntowniku!

— A przecie, jakem za trzodą chodził, to byłem w Krośnie u szlachcica. Toć ten ostał, ziemię ma.

— A ma, czemu nie? I prawa ma, ojoj, i synów wychowuje na rządowym koszcie, i też z bogaciał. Tylko nie szlachcic on, a przechrzta, perekińczyk, pies, on to na mnie za ten krzyż donos dał. Takich wielu teraz jest, tacy tu u siebie, a nie my! Ot, czego się panowie po lasach dowojowali! Dla takich panowania!

Wstał stary, spojrzął na słońce, wszedł na cmentarz do grzebalnej kapliczki, odmotął sznur w dzwonnicy i począł odmawiać wieczorny Anioł Pański. Wszedł za nim Wiktor i napisy na pomnikach odczytywał. Zastanowiła go jedna mogiła. Leżał na niej głaz polny, bez napisu, stał krzyż dębowy i młody silny dębczak rósł u krzyża, strzelając zuchwale ku górze. Całą mogiłę pokrywały kwiaty.

— Czyj to grób? — spytał Wiktor.

— Widać, zes nie tutejszy. Nie wiesz kto pani z Grel.

— Byłem w Grelach. Pani żyje.

— Ale to jej grób. Ona tu kamień położyła, ten dąb zasadziła, tych kwiatów pilnuje. Co niedzieli tu bywa. Syn jej tu leży, naczelnikiem partii był, rozstrzelany w miasteczku! Jedyny syn!

Wiktor ukląkł i począł się modlić, potem się schylił i ten głaz pocałował.

Stary dzwonił, dźwięk szedł daleko, po pustych już łąkach, aż o lasy się obijał.

Nagle w miasteczku rozległy się prędkie, kołaczące hałaśliwie, urywanie inne dzwony, kilka naraz. Stary przerwał i umocowując sznur rzekł posepnie:

— To w cerkwiach na wieczere biją. Myślałby, że kto z tego bydła pójdzie. Po co im się modlić, i tak wszystko mają!

Posunął się ciężko do swej chaty, a Wiktor pozostał, nie mogąc się od tej mogiły oderwać.

VII.

Pan Jagodziński, jurysta, pedagog, korepetytor i mentor młodego Stefana Hrehorowicza, został wybrany na tę zaszczytną posadę po gruntownym badaniu jego usposobień, charakteru, obyczajów, zdolności, sympatyj i zapatrywań politycznych i społecznych.

Pani Oktawia Hrehorowiczowa, matka, badała jego moralność, maniery i religijność, wuj—radca jego poglądy o przywilejach pewnych warstw, a o obowiązkach innych, dziad—prezes rubrykę „błagonadiożności”^{*}.

Zbierano wiadomości w Radomiu, skąd był rodem i gdzie ojciec jego miał aptekę, w gimnazjum w Siedlcach, gdzie jakoś zdobył wakans chociaż Polak, w uniwersytecie, w kamienicy, gdzie mieszkał, nawet w cyrkule^{*}. Ponieważ informacje zewsząd były pochlebne lub żadne, został przyjęty i zajmował się swym pupilem już od lat trzech ku ogólnemu zadowoleniu. Ani między nim a uczniem, ani między nim a domowymi nie było nigdy najmniejszego zatargu i nieporozumienia. Stefan zdawał świetnie egzaminy, w ciągu roku był pierwszym uczniem, wieczory spędzał przykładowo w domu, w święta chadzał na spacer z panem Jagodzińskim, żadnych znajomości z kolegami nie miał, ochroniony był od złych wpływów i stosunków. Rozstawali się tylko na wakacje, które pan Jagodziński spędzał u rodziny, Stefan z matką za granicą, w górach lub nad morzem.

Troska o zdrowie jedynaka była manią pani Oktawii, obwoziła go po wszelkich stacjach klimatycznych i kąpielach, wiecznie desperując, że jest wyczerpany i zmęczony naukami.

Gdy pan Jagodziński starał się o posadę u hrabiego Ossorii, wiedział, u kogo ma być, i wiedział, jakim ma być. Jakim zaś był w duszy pan Jagodziński, o tym wiedział on tylko sam. Gdy wszedł w dom, nie doznał zrazu niespodzianek. Pani Oktawia była przeczuloną, nerwową, małostkową i niezaradną kobietą, prezes był karierowiczem, tchórzem i pyszałkiem, radca materialistą, czcicielem potęgi i narodu, a chciwym sławy i rozgłosu, ludzie, którzy bywali, krewni i znajomi, byli naturalnie do nich podobni lub pochlebcy.

Ucznia swego ocenił pan Jagodziński jako nicość, słabość, bez—wolność. Stworzenie wychowane w tej atmosferze i do niej przystosowane, zapewne tępe i nieprzywykłe ani myśleć, ani pracować samodzielnie, a zarazem próżne i pyszne ze swego położenia i zepsute pieścizkami matki.

Otóż tu się zaczęły niespodzianki pana Jagodzińskiego. Po pierwsze chłopak aż go żenował swą grzecznością i delikatnymi formami. Otrzymał rozkaz matki uczenia się lekcji w pokoju pedagoga i udawania się doń o pomoc i wskazówki. Zaraz pierwszego dnia zapukał do drzwi i wszedł na wezwanie, niosąc swe książki i zeszyty. Spytał, gdzie mu wolno usiąść, i natychmiast wziął się do nauki.

— Może pan czego nie rozumie, może pomóc? Służę!

— Dziękuję panu, spytam w razie trudności!

Obiecał, podziękował i na tym się skończyło. Robił wszystko sam, poważnie, z zajęciem i uwagą.

— Może mi pan wyda? — proponował Jagodziński.

— Jeśli pan tak łaskaw, proszę. I wydawał bez zająknięcia.

Było tak dzień, dwa, tydzień. To samo pukanie do drzwi, cicha nauka, grzeczny ukłon na dobranoc i cisza. Po tygodniu Jagodziński się zniecierpliwił.

— Właściwie nie widzę potrzeby, żeby pan miał korepetytora! — ofuknął ucznia.

Stefek spojrzał na niego i rzekł:

— Zawsze miałem.

— I tyle mieli roboty co ja?

^{*} b l a g o n a d e ż n o s t' (ros.) — prawomyślność.

^{*} c y r k u ł — biuro policyjne, komisariat.

— Tak, panie. Staram się.

— A dlaczegoż tamtych zmieniano?

— Pan Jóźwicki umarł, a pan Dmochowski wyjechał do Petersburga.

— No ale przecie czymże mogę panu pomóc?

Zdawało się, że chłopak coś powie, ale po namyśle uśmiechnął się tylko i podał książkę.

— Może pan wysłucha historii Rosji!

Pan Jagodziński miał tedy niespodziankę. Posada była synekurą. Dobrze płatny, wykwiłtnie żywiony, grzecznie traktowany, obsłużony, oprany — i bez roboty. Zrazu żenowało go to, ale wreszcie z losem się zgodził i zaczął badać swego ucznia, wprost dla przepędzenia czasu. Była to trudna robota. Chłopak zdawał się nie mieć nic skrytego ani myśleć coś więcej nad szkolne przedmioty. Nie interesowało go nic, nie zdradzał młodzieńczych porywów, żądz, ciekawości, buntów. Był taki wzorowy, z książki, chłopczyk: grzeczny, posłuszny, dobrze wychowany. Nigdy żywszego ruchu, głośniejszego słowa, zapomnienia form i przepisów swego świata, nigdy krytyki, zdania, sądu o obowiązkach i rozkazach. Była w nim nad wiek sztywność, powaga i zamyślenie, nie czuć było życia.

W domu mówił tylko po francusku i po angielsku, w szkole uczył się po rosyjsku; z początku uważał pan Jagodziński, że po polsku mówił z trudem, i dowiedział się, że dzieciństwo spędził z matką w Dreźnie i Szwajcarii, i od trzech lat dopiero był w Warszawie, od razu w gimnazjum, a poprzedni korepetytorowie obowiązkowo mówili z nim tylko po rosyjsku. Że zaś z kolegami nie miał żadnych stosunków, po polsku mówił tylko słów parę ze służbą. Bo i goście bywający w domu przeważnie mówili po francusku, i książki, które mu matka dawała do czytania, były cudzoziemskie.

— A na wsi, w majątkach hrabiego albo swoich nie był pan nigdy? — spytał pan Jagodziński.

— U dziadka nigdy nie bywamy. Po egzaminach wyjeżdżamy zaraz z mamą za granicę. Mama majątków nie ma, ojciec stracił. Mama kapitały ma.

— A ojca pan nie pamięta?

— Nie. Miałem kilka miesięcy, jak umarł.

— A po skończeniu gimnazjum co pan zamierza robić?

— Mama i dziadek chcą, żebym wstąpił do liceum w Petersburgu.

— A panu się ta kariera podoba?

— Zapewne. Mama tak chce — odparł poważnie.

W pierwszym roku znajomość i zaufanie nie postąpiło o wiele. Jagodziński się nudził, często ziewał, chodził z kąta w kąt po pokoju, drażnił go ten malec wiecznie ślęczący nad nauką, wymustrowany, sztywny jak automat, a elegancki jak saska figurynka.

Zdawało się, że Stefek czuł, że zawadza. Czasami podnosił na nauczyciela oczy pytające, jakby przepraszając, że mu zawadza.

Wreszcie raz się ośmielił:

— Pan nigdy nie wychodzi wieczorem! — rzekł. — Panu się przykrzy samemu. Dlaczego pan nie wyjdzie? Pan Dmochowski rzadko kiedy bywał.

— Umówiłem się, że będę siedział, to muszę. Za to niby biorę pieniądze, bo zresztą nie wiem za co!

Chłopak, jakby zawstydzony, głowę spuścił:

— Ja mówiłem mamie, że dam sobie sam radę, ale mama mówi, że będzie się niepokoić. A mama, jak się zmartwi lub niepokoi, dostaje sercowego ataku.

— No a pan nigdy się nie zleni, nie zabawi?

— Co bym robił? Jakże zlenić się — wstyd! A bawić się nie umiem. Zresztą taki już duży jestem.

— Jak to, nic pana nie bawi?

— Czytałbym i czytał. Ale mama nie pozwala dużo, mówi, że to niezdrowo. Daje jedną książkę na tydzień.

— A biegać na łyżwach, gimnastykować się, jeździć na rowerze?

— Za granicą mama mi pozwala. O, lubię! I wiosłuję na morzu, i po górach chodzę, i na rowerze jeżdżę! Tutaj mama nie chce, boi się.

— Czego się boi?

— Nie wiem! — szepnął chłopak i szczerwieniwał.

Pan Jagodziński poczuł, że wie, ale że to jakaś przykra tajemnica.

Co niedzielę Stefek jechał z matką do kościoła, potem oddawał z nią wizyty, wieczorem brała go z sobą do teatru. Oprócz Jagodzińskiego co dzień przychodził nauczyciel muzyki, ksiądz i nauczyciel gimnastyki.

W ten sposób, istotnie, kiedy miał Stefek bawić się i czytać? Zimą przybywały jeszcze lekcje tańca w doborowym szczupłym komplecie arystokratycznych kuzynków i kuzynek.

Rzecz dziwna, i od tych kuzynków trzymał się Stefek na uboczu, nie miał wśród nich towarzyszy i przyjaciół, nie odwiedzali się, nie bawili z własnej ochoty.

— Że też do pana nie przychodzą czasem na wieczór synowie hrabiego Leona albo baronowej Natalii? — dziwił się pan Jagodziński, który stosunki poznał przy obiadach.

Stefek znowu szczerwieniwał i coś tylko zamruczał.

Zaczęła go ta jakaś tajemniczość zaciekawiać, ale nie wiedział, gdzie by, u kogo rozpytać.

Tak przeszedł pierwszy rok. Oswoili się z sobą, ale ani poznali, ani żyli. Pan Jagodziński zaczął czytać i pisać swoje prawnicze przedmioty nie zważając na siedzącego naprzeciw chłopca, zaczął też czasem wychodzić do znajomych, a wreszcie ośmielił się przynieść z sobą okarynę, na której namiętnie lubił grywać.

Okazało się jednak, że Stefek po paru próbach umiał już więcej niż on po paru latach nauki.

Egzamin zdał Stefek jak zwykle świetnie, za co pani Oktawia podziękowała Jagodzińskiemu i ofiarowała mu złoty zegarek prosząc o dalszą nad jedynakiem opiekę.

— Tak się o niego lękam. Coraz starszy, coraz będę niespokojnie jszą, mam tak złe przecucie, tyle rzeczy mu grozi. Mam do pana całe zaufanie, że go pan ustrzeże od wszelkich pokus i niebezpieczeństw.

— Ależ proszę pani! Nie mam żadnej zasługi. Pan Stefan ma tak dobrą naturę, taki zdolny! Ja naprawdę nic mu nie pomagam! — jękał zawstydzony Jagodziński.

— Ach, panie, ja wiem, niestety, jaki on niepewny! Może moje modlitwy go ustrzeżą, życie temu poświęciłam. Tak się lękam!

Wariatka baba! pomyślał w duchu Jagodziński. Otrzymał też łaskawych słów kilka od hrabiego i został uwolniony na wakacje.

Na jesieni powitali się znowu uczeń z korepetytorem. Stefek urósł, zmężniał, opalił się, zwawiej się ruszał. Ale trwało to krótko. Zda się, z szynelem i tornistrem naciągał inną skórę, zda się, że nadęta wielkość dziada kładła mu pęta na duszę, a atmosfera uro—czysto—sztywna całego domu gasiła w nim życie. Po paru tygodniach stał się zwykłym automatem. W tym drugim roku zdarzyła się pierwsza awantura, a było to tak.

Co rano, gdy Stefek wyszedł do szkoły, pani Oktawia sama pilnowała sprzątaną pokój jedynaka. Rano też Jagodziński, odprowadziwszy pupila do gimnazjum, szedł za swoimi sprawami i wracał z nim równocześnie.

Otóż pewnego dnia zastał w domu popłoch, pani Oktawia miała atak, siedzieli nad nią trzech doktorów, hrabia kazał prosić pana Jagodzińskiego zaraz do swego gabinetu. Był cały wzburzony.

— Proszę pana, stała się niesłychana rzecz. Moja córka znalazła dziś u Stefana w stoliku schowane na samym spodzie to.

I pokazał zeszyt wierszy.

Jagodziński przejrzał; były tam przepisane wszystkie utwory zakazane Mickiewicza, „Boże coś Polskę”, „Z dymem pożarów”, „Gdy naród do boju wychodził z orężem” i tym podobne.

Hrabia aż się trząsał z alteracji:

— Skąd on to ma? Skąd dostał? Z kim on się w klasie zadaje?

Nie wie pan?

— Nie, nie wiem! Nie pokazywał mi tego, nie wspomniał.

— Trzeba się dowiedzieć. Trzeba pilnować. Niech pan zwróci baczna uwagę, aby to się nie powtórzyło. Na to pozwolić nie można, to doprowadzić może do najgorszych następstw. Ja nie zniosę, żeby takie rzeczy u mnie w domu były. Mnie to już dość kosztowało!

W tej chwili wszedł Stefan. Dowiedział się, że matka chora, wystraszony biegł do niej. Dziad go zatrzymał.

— Nie wolno ci iść do matki. Z twojej winy chora. Chodź tu, odpowiadaj! Skąd to jest u ciebie?

Stefan zbladł, skamieniał, tak się przeraził, że ani słowa nie mógł wymówić. Patrzył na zeszyt.

— Mów, kto ci to dał! Wiesz, że za to w więzieniu się siedzi i z gimnazjum można być wydalonym. Dowiemy się, jakie ty tam masz znajomości, co urzędzacie zamiast się uczyć.

Stefan oprzytomniał, zaciął usta, milczał.

— Kto ci to dał? Mów!

— Znalazłem na ulicy!

— Kłamiesz. Mów prawdę, bo będzie źle.

— Znalazłem na ulicy.

— Idź do swego pokoju. Jutro będzie o tym wiedział inspektor, po piśmie odkryją kto! Stefan wyszedł.

— Rozumie się, nie myślę zwracać się do inspektora. Ładna byłaby kompromitacja. Zresztą on matce wyzna. Ale proszę pana o zwrócenie bacznej uwagi, widocznie ma niebezpieczne stosunki. Trzeba temu zapobiec, bo inaczej przeniosę go do Petersburga, do internatu u „prawowiedów”. To był mój projekt pierwszy, córka nie miała serca z synem się rozstać, ot i mamy pasztet. Proszę, zniszcz pan to!

I z widoczną odrazą i wstrętem, końcem palców podał hrabia nieszczęsny zeszyt.

Jagodziński zastał Stefana leżącego na łóżku, nie płakał, ale trząsał się jak w febrze. Odmówił posiłku, nie odpowiadał, powtarzał jedno, że chce do matki. Wieczorem puszczono go do niej, wrócił zgnębiony, posepny, z jakimś tępym wyrazem wziął się do odrabiania lekcji.

— Hrabia mi oddał ten zeszyt. Niech go pan odniesie jutro koledze — rzekł Jagodziński.
— Ja to wszystko drukowane mam. To trzeba dobrze chować. Niech pan przestrzeże kolegę, żeby w gimnazjum nie trzymał. To istotnie niebezpieczne rzeczy!

Przez oczy chłopaka mignęło życie, radość.

— Odniosę! — szepnął. — Byle on nie miał z mojej racji przykrości. .

— Jak pan jakiej książki rzadkiej chce, proszę do mnie się zwrócić. Z kolegami ostrożnie, można ich skompromitować. W gimnazjum ostro śledzą.

— Dziękuję panu! — szepnął Stefek. — Będę uważał.

Kilka dni trwało przy obiadach przygnębiające usposobienie, ale pani Oktawia zauważyła, że syn nie ma apetytu, i zaniepokoiła się tym okropnie; o poprzednim wypadku matka już zapomniała, a hrabia zajął się też czymś innym i spokój wrócił.

Odtąd między uczniem a mentorem zapanował inny stosunek. Wprawdzie do zwierzeń ze strony Stefana nie doszło ani się na nic nie skarżył, ale ośmielił się prosić korepetytora. Prośby były dziwne: raz na przykład zachciało mu się jeść obiad w taniej kuchni, innym razem prosił o wskazanie, gdzie by mógł sprzedać zegarek, to znowu prosił o zaadresowanie

listu do jakiegoś Sikorskiego na Oboźnej. Zrazu Jagodziński miał na chłopca podejrzenie, że się łajdaczy, że wpadł w złe towarzystwo, i zaczął go śledzić. Ale wnet się uspokoił. Sikorski był wdowi syn, bardzo ubogi, pieniądze za zegarek zostały włożone w kopertę i odesłane przez posłańca na Oboźną. Stefan z gimnazjum wracał wprost do domu, z nikim się nie zaprzyjaźnił i w ogóle był niepopularny w klasie. „Hrabicz”, „purchawka”, „atłasik” przezywano go. Potem zaczął prosić Jagodzińskiego o książki: o wielkich ludziach, uczonych, bohaterach. Nie brał ich nigdy do swego pokoju, ale odrobiwszy lekcje czytywał siedząc naprzeciw mentora. Było już między nimi milczące porozumienie.

Pewnego razu zdarzył się znowu niefortunny wypadek. Po obiedzie Stefan wyszedł z Jagodzińskim na miasto, po jakieś podręczniki. Za powrotem pani Oktawia spotkała ich w przedpokoju cała wzburzona. Opowiedziała, że w czasie ich nieobecności był jakiś obdartus uczeń, chciał się widzieć ze Stefanem, dziękował za jakieś pieniądze na wpis i opowiadał zawiłą historię o liście, o posłańcu, o tajemnicy.

— Co to jest? Co to wszystko znaczy? Przecie ty nigdy nie masz pieniędzy? Skądże mu dałeś? Za co? Po co? To jakiś łobuz, ordynarny, prosty! Skąd go znasz?

— To, proszę pani, pomyłka! — rzekł spokojnie Jagodziński. — To ja mu pieniądze posłałem, a pan Stefan idąc do gimnazjum, list posłańcowi wręczył.

— Ach tak! A ja się tak złękłam! Coś taki blady, *mon cheri*?* Boże, jak cię te nauki wyczerpują! Chodź, weźmiesz miksturę przed herbatą. A może cię co boli? Jest doktor!

I pociągnęła go z sobą. Tego wieczora Stefan nie przychodził do odrabiania lekcyj, aż Jagodziński zajrzał do jego pokoju. Chłopak leżał na otomanie i płakał, aż cały się trząsał.

— Co się stało? Co panu takiego? Zerwał się Stefan, rękami oczy zakrył.

— Podły jestem, podły, nędznik. I będę potępiony, i to mi wstyd, hańba! Kłamię matce i pana doprowadziłem do grzechu.

— Co za brednie? Jaki grzech? Dajże pan pokój. Zegarek był pana, stopiłeś, dałeś pieniądze ubogiemu koledze, wszystko w porządku. A może matka pana byłaby temu nierada, po co jej było tę przykrość robić. Mam nie grzech, ale zrobiłem dobry uczynek, ją uspokoiwszy! Dajże pan spokój, każdy musi sobą być i wedle swych zasad postępować, a jeśli nie jest jeszcze niezależny, to musi milczeć, a często kłamać. Inaczej nie człowiekiem będzie, ale ciastem! Wstydz się pan, to jakieś babskie skrupuły, a wszystko co babskie, to dopiero grzech! Ot! chodź pan. Przyniosłem *Nędzników* Wiktora Hugo. Będzie co czytać!

I tak ani się spostrzegł Stefan, jak się pozbył skrupułów. Z zahukanego, pieszczotami przeczulonego dziecka począł się wyrabiać skryty, przemyślny w wykrętach charakter. Na jawny bunt nie miał jeszcze mocy, ale wśród domowych był cichym, stanowczym protestem i kontrastem.

Pewnego wieczoru przyszedł do Jagodzińskiego kolega Litwin po jakieś notatki.

Litwinisko było typowe, wielki, niezgrabny, towarzysko nieokrzesany. Zastał Stefana odrabiającego lekcje, stanął pod piecem i przyglądał się pracującym mówiąc:

— Kończajcie sobie, ja zmarzł, to się odgrzeję. Czy Stefek skończył i wychodził, spytał:

— A z jakich to Hrehorowiczów kolega?

— Nie wiem! — bąknął.

— Bo jeden Hrehorowicz naczelnikiem partii był. Ojciec mój pod nim służył. My to niewielkie panowie, ojciec gorzelanym był u hrabiów. W lesie i został, gdzieś pod sosną. Hrehorowicza rannego wzięli, wyleczyli, a jakże, a potem rozstrzelali. Ale że to nie w naszych stronach było, to i nie wiem, czy kto po nim został.

— A na imię jak mu było? — spytał chłopak.

— To nie wiem. Jeden był naczelnik Hrehorowicz, albo mu imię trzeba? Każdy wie, który! Zawsze kolega ma porządne nazwisko, pamiętkowe.

* *mon cheri* (fr.) — mój drogi.

— Stefku. Ubieraj się. Dziś lekcja tańca, *mon cheri* — rozległ się w dalszych apartamentach głos pani Oktawii.

Gdy chłopak znalazł się z nią w karecie, jadąc do hrabiostwa Kociów, gdzie się komplet taneczny zbierał, paliła go chęć spytać, czy ojciec był naczelnikiem partii, ale nie śmiał. Na każdą wzmiankę o tym ojcu matka dostawała ataku, a teraz była tak wesoła i ożywiona, tak szczebiotała swobodnie. Nie śmiał pytać matki, a więcej nie miał nikogo.

O ojcu wiedział tylko, że stracił fundusz, opuścił matkę i jego malutkiego lekkomyślnie, i całą rodzinę skompromitował. Był ten nieżyjący i jemu nie znaną istotą, o której w domu nikt nie mówił, o którym niemiłe było wspomnienie. Ile razy matka czyniła mu wymówki, zawsze tylko była wzmianka: *Ton malheureux pere qui a gaspille son bien et brise ma vie!**

Stefan wreszcie był przekonany, że za winy ojca on winien biednej matce zadośćuczynienie i pociechę. Wiedział też, że ojciec fundusz stracił, że matkę dziad ocalił, że są na jego łasce i utrzymaniu, a z rozmów i zachowania kuzynków–magnatów zrozumiał, że on, jako Hrehorowicz, do „towarzystwa” nie może być nigdy zaliczony, że go tylko tolerują, jako intruza, dla matki.

*Un Hrehorowicz quelconque** był w salonach; „hrabicz”, „atłasik” nazywali go koledzy. Tamci go lekceważyli, ci pogardzali, wszędzie był samotny.

Po tej rozmowie Litwina–studenta zaczęła go palić straszna ciekawość o ojca. Wiedział, kto by go objaśnił — rządca Juriewicz. Matka mu kiedyś powiedziała: *Ces gens la sont des parents de ton malheureux pere, des gueux que ton grand-pere a tires de la misere par pitie**. Nie powinienesz mieć z nimi żadnych stosunków, żadnych. Obiecuj mi to. Jeśli mnie kochasz, obiecuj.

I Stefan solennie obiecał i dotrzymywał. Znał Kostusia, szli razem, klasa po klasie, zawsze najpierwsi, ale nie mówili z sobą nigdy, nie widywali się poza szkołą, nie mogli się nigdy spotkać. Znał też z widzenia Marynię i raz u stołu posłyszał, jak dziad mówił do matki:

— Jednakże Juriewicz ma takt. Podobno wydaje córkę za męża. Myślałem, że mi o tym coś napomknie, ale się nie odzywa. Trzeba będzie może co dać!

Stefanowi nie wiadomo dlaczego zrobiło się gorąco. Krewni ojca nędzarze, także na łasce dziada, jak on. Czuł w gardle gorycz upokorzenia. Po paru dniach dziad rzekł po obiedzie:

— Okazuje się, że tych ludzi trzeba trzymać na dystansie. Zagadałem dziś do Juriewicza, ofiarowując gratyfikację z powodu ślubu córki. Odmówił tak stanowczo, jakbym go obraził. *Decidement** ta familia jest tak nie wychowana, że najlepiej być z nimi z daleka.

— *Qui epouse-t-elle donc?** — spytała pani Oktawia.

— Nie pytałem.

Stefan wiedział. Stróż mu oznajmił, że „rządcego” córka idzie za obywatela, bogaty, ale stary, Hlebowicz się nazywa. A ślub to będzie u świętego Aleksandra we wtorek, na piątą wieczór zamówiona kareta. W ów wtorek Kostuś nie przyszedł do gimnazjum, a Stefek zaczął przemyśliwać, jakby do kościoła się wymknąć. Po powrocie ze szkoły nie odchodził od okna i patrzył na oficynę.

— Co pan tak obserwuje naprzeciwno? Kanarki? — spytał go Jagodziński.

— Nie. Ślub będzie u Juriewiczów. Tak bym chciał do kościoła pójść, popatrzeć.

Mentor zdumiał.

— No proszę! Na ślub patrzeć! O to bym kolegi nie podejrzewał. Czy może być idiotyczniejsza ceremonia! Ślub, którego nikt nie dotrzymuje, a potem drugi akt: wesele, na

* *Ton malheureux pere...* (fr.) — Twój nieszczęsny ojciec, który roztrwonil swój majątek i zламаł mi życie!

* *Un Hrehorowicz quelconque* (fr.) — niejaki, jakiś Hrehorowicz.

* *Ces gens...* (fr.) — Ci ludzie są krewnymi twego nieszczęśliwego ojca, żebrakami, których twój dziadek z litości wydobył z nędzy.

* *Decidement* (fr.) — Bez wątpienia.

* *Qui epouse-t-elle donc?* (fr.) — Za kogo ona wychodzi za mąż?

którym wszyscy się nudzą, a aktorowie je potem oplakują i przeklinają! Widać, że pan jednak, ja, który jestem najmłodszy z siedmiorga rodzeństwa, już na te szopki nie chadzam.

— Ja też nie ciekawym ślubu. Na tyłu byłem. I mama by mi nie pozwoliła pójść. Zresztą i po co. Nie znam nikogo, nic się nie dowiem.

— A czegoż się pan chce dowiedzieć? Stefan nic nie odpowiedział, nie śmiał.

Przytulony do szyby, przestał nieruchomy aż do obiadu. Widział, jak zajechała karetą i parę dorożek. Mignęła mu biel ślubnej sukni i druga jasna szata drużki, widział Juriewicza i Kostusia, parę starszych pań, wyjechali.

Lokaj oznajmił obiad, Stefan odszedł od okna.

Późno wieczorem zajrzał znowu przez roletę. Okna oficyny słabo były oświetlone i nie zasłonięte. Państwo młodzi musieli już odjechać, u stołu przy lampie siedzieli ojciec z synem. Kostuś na splecionych ramionach ukrył twarz, stary na głowie trzymał jego rękę i coś mu przekładał. Stefan patrzył, patrzył, zaczęło mu bardzo bić serce, w głowie huczeć od napływu myśli i nagle zawrócił, jakby ciągnięty niezwalczonym musem, wszedł do pokoju Jagodzińskiego. Ten już leżał i czytał.

— Proszę pana, ja wyjdę na chwilę.

— Dokąd? Na ulicę?

— Nie, tam, do Juriewiczów. Chwilę zabawię. Drzwi nie zamknę za sobą, zaraz wrócę. Ja ich spytam, oni pewnie wiedzą, o tego naczelnika Hrehorowicza. Ja muszę wiedzieć, panie!

— Idźże pan, tylko ostrożnie, cicho! Lepiej weź pan mój szynel i czapkę. Ot tak! I klucz od zatrzasku przecie mam. Nie siedź pan długo.

Stefek wyśliznął się cichutko, na schodach było już ciemno, stróż w mieszkaniu. Bez tchu chłopak przebiegł podwórze, schody, zapukał, nikt nie odpowiadał, pocisnął klamkę i wszedł. Wtedy Juriewicz spojrział i zerwał się.

— A co tam? Pożar na froncie! — zawołał.

Podniósł też głowę Kostuś, twarz miał czerwoną i lśniącą od łez.

— Hrehorowicz! — wyrwało mu się ze zdumieniem.

— Przepraszam, przepraszam — bąkał Stefan. — Matka mi mówiła, że państwo krewni mego ojca, a ja tak w dzień nie mogłem przyjść. Zapytać chcę, w tych dniach jeden student mówił, że na Litwie był Hrehorowicz, naczelnik partii, w powstaniu, i rozstrzelany. Może państwo wiedzą, czy to jaki mój krewny?

— Chłopcze, czyś się chował u podrzutków, czy w antypodach! — wykrzyknął Juriewicz. — Jak to, ty nie wiesz, że to był twój ojciec, bohater!

Stefan jakby załkał, jakby zajęczał i rzucił się do piersi Juriewicza, ramionami za szyję go objął i zrazu trząsał się cały, niezdolny słowa rzec. Juriewicz objął go za głowę.

— Ojciec twój, mój szwagier. Naczelnikiem partii był, bił się jak bohater. Kiedy zobaczył, że sprawa przegrana, resztki partii rozpuścił, z kilku sobie podobnymi do ostatka walczył i dopiero go wzięto, gdy krwią pięciu ran tak spłynął, że jak trupa wzięto. Odratowano go, męczono śledztwem, sieczono — nikogo nie wydał, nic nie zdradził i rozstrzelano go. Takiegoś miał ojca, chłopcze.

— A matka wtedy co?

— Jak powstanie wybuchło i twój ojciec poszedł, tyś nie miał roku życia. Matka twoja wyjechała z majątku, ciebie wywiozła. Majątek rząd skonfiskował.

— Więc to nie ojciec go stracił!

— Kto ci takie brednie mówił! Stracił, jak stracił życie, jak ja straciłem, jak wszyscy prawie. Sześćset majątków tak stracono.

Za nimi skrzypnęły drzwi i wynurzył się Jagodziński.

— Panie Stefanie, wracajcie. Jutro przecie można się gdzie spotkać, a tak ryzyko.

— Już idę, panie, już idę. Wiem wszystko, żyć będę! Dziękuję

— rzekł podnosząc oczy na Juriewicza. — To pan ojca szwagier, to mnie wuj!

Pochylił się do jego ręki i pocałował, potem nieśmiało, wahająco do Kostusia podszedł:

— To my bracia, prawda?

— Jak chcesz, z całej duszy. Straciłem dziś siostrę, dostałem brata. — I zaśmiał się przez łzy.

— Idźcież, idźcie. Będzie bieda, broń Boże, panu Jagodzińskiemu. Już jakeśmy się zeszli, to się odnajdziemy! Dziękuję panu za dobroć dla chłopca.

— Proszę pana — odparł Jagodziński — jestem pedel, muszę wszystko wiedzieć, ale mówię, co wiem, tylko wtedy jak trzeba. Dobranoc panom.

I zabrał swego pupila troskliwy mentor.

Gdy wyszli, spojrzeli na siebie ojciec z synem i stary rzekł:

— Krwi nie zmienić, ducha nie zabić, prawdy nie zakopać. Ot, i wychowali po swojemu!

— Janie rozumiem, skąd to przyszło. Głowę bym dał, że on ich kopia. To babka wymodliła chyba. Boże, jaka ona będzie szczęśliwa, jak się dowie.

— Myślisz? Ona arii na chwilę nie wątpiła, że tak będzie. Ona wszystko wie. Dlatego o Marynię spokojny, bo ona mówiła, że będzie szczęśliwa.

Ten wielki dzień, ta epoka w życiu Stefana przeszła niepostrzeżenie dla matki i dziada.

Nie zmieniło się nic pozornie. Nie wiedział nikt, że Stefan i Kostuś siadywali teraz w klasie obok siebie, na pauzach rozmawiali i wychodzili razem do rogu placu, i wtedy ostrożnie się rozchodzili. U Juriewiczów Stefan nie bywał, ale spotykali się na mieście, spacerowali po bocznych ulicach. Ossoria syn, pan radca i szambelan, pierwszy zwrócił uwagę na siostrzeńca, gdy po dłuższym pobycie na wsi odwiedzał ojca i żonę, która dla córek karnawał spędzała w Warszawie.

— Ależ urósł twój syn, Oktusiu! — rzekł do siostry. — Wygląda na siedemnaście lat. I jakoś mu inaczej z oczu patrzy. Uważaj no na obyczaje panicza.

— Co ty mówisz, Eustachy, Stefek takie dziecko!

— Co to dziecko. Dla ciebie, ale nie dla panienek. Nie uważasz, jak mu się oczy świecą, jak się wyprostował, wyraźniał! Toć on jeszcze na jesieni niezgrabny był, nieśmiały, wylękły, smarkacz! Mówię ci, on raptem dojrzał.

— Nie, nie! Ja znam każdy jego krok i myśl. Zresztą mamy ideał korepetytora.

Podczas obiadu z nagłą wuj zagadał Stefana:

— Cóżś taki zamyślony. Może już zakochany?

Chłopak istotnie daleki był myślą, więc się na razie stropił i zawahał.

— Zakochany? W kim, wuju? — odparł.

— Tego nie wiem. Może w której z koleżanek z lekcji tańca?

— Tam nie ma mnie równych, same hrabianki.

— A dlaczegoż ci hrabianki nie równe?

— Bom tylko prosty szlachcic bez tytułu i majątku.

— Stefek, co ty wygadujesz? — zawołała pani Oktawia. — Przeze mnie jesteś wszystkim moim równy. Skądże ci takie fałszywe upokorzenia do głowy przychodzą!

— Kiedy ja się tym nie martwię, mamu, ani wstydzę. Ale wuj tak dziwnie spytał, ja tych lekcji tańców nie lubię. Dobrze, że się skończą i cieszę się na naukę fechtunku.

— Do baletu jeszcze nie masz zamiłowania?

— *Mon cher, ne l'agace pas le pauvre petit!** — szepnęła matka błagalnie.

— Nie radzę mu takich gustów, póki jest u mnie i na moim koszcie! — rzekł surowo prezes.

Stefan spuścił głowę zaczerwieniony. Jagodziński ośmielił się ująć za pupilem.

— Chyba nigdy tego kłopotu nie będzie z panem Stefanem, choćby się stał milionerem.

Jednakże pani Oktawia wieczorem wzięła syna na spytki, nagadała mu mnóstwo morałów, przestrzegając i straszając potępieniem.

* *Mon cher* ... (fr.) Mój drogi, nie denerwuj biednego maleństwa!

Rezultatem tego było, że Stefan rzekł do Jagodzińskiego:

— Mama myśli, że taki jak Leoś i Alfred. Mama to mnie nic nie zna, nic, nic. Mama mnie nigdy nie rozumie, a tak niby kocha! Mama tak i ojca kochała, i tak go zrozumiała.

— Romanse, kobiety, rozkosz! Co za głupota. Niech mnie pytają, co jest prawdy w tych czarach! Miałem w domu pięć siostr i dwie kuzynki. Wiem coś o tych urokach i miłościach! Kobieta robi się znośną od sześćdziesiątego roku swego życia. Do tej pory niech losy strzegą od każdej każdej.

Tak mówił Jagodziński, a że to zdanie powtarzał często i stale, a Stefek był naturą na wskroś subtelną i marzycielską, nauki mentora trafiały na grunt podatny. Stefan w lat szesnaście kobiet nie znał, nie poządał i lękał się. Posądzenie wuja było najzupełniej fałszywe. Pomimo najczujniejszej baczności pani Oktawii nigdy nie okazało się żadne przestępstwo, tylko w kwestii wakacyj zaszła znowu scena familijna. Stefek zaprotestował przeciw wyjazdowi za granicę.

— Jeśli mama potrzebuje kuracji i wyjeżdża z wujenką i dziećmi do Ems, ja bym prosił, żeby mi mama pozwoliła na lato przyjąć kondycję*.

— Co? Co to takiego?

— Chciałbym dostać korepetycję na wsi, pracować dla siebie.

— Ty! Po co? Na co?

— Żeby zarobić.

— *Grand Dieu!** Ty masz zarabiać! Ty, mój syn! W jakim świetle ty mnie przedstawiasz? Więc niedostatek znosisz, źle ci, brak ci czego!

— Syty jestem i odziany, mam, ale ja bym chciał już zacząć pracować na siebie. Funduszu nie mam, jesteśmy na łasce dziada. Póki byłem dzieckiem, uchodziło, teraz wstyd mi.

— Kto ci poddał takie myśli?

— Dziad tyle razy mówił, dawał wyraźnie do zrozumienia. Nie godzi mi się pasożytem być!

— *Mais il est fou! Cest de la demence** — zaczęła rozpacznie pani Oktawia i dostała ataku nerwowego, najstraszniejszej swej broni.

Naturalnie hrabia Ossoria dowiedział się wszystkiego i wezwał wnuka przed swój majestat. Nastąpiła gwałtowna scena. Pierwszy raz wszechwładny despota rodzinny spotkał się z oporem i czym? Dziecka.

Chłopak powtórzył swe życzenie i śmiało wyraził powód. Prezes tak się tym zalterował, że miał ochotę wygnać zuchwalca z domu, ale pohamował się przez wzgląd na córkę.

— Jeśli chcesz zabić matkę, zabij! Owszem, owszem, dogodź swym fanaberiom fałszywej próżności, przyjmij kondycję, owszem, skompromituj mnie, podaj na łup plotkom i obmowie, owszem, wywdzięcz się prawdziwie po demokratycznemu za opiekę i wychowanie. Że matkę do grobu wpędzisz, co to ciebie obchodzi, honor uchowasz! Winszuję ci, wzniosła, szczytna ambicja.

Smagany słowy, przerażony stanem zdrowia matki, Stefan się poddał, zmilkł, ustąpił. Jak zwykle wyjechali za granicę. Dziad odtąd ani spojrzął, ani przemówił do wnuka. Jeszcze raz, korzystając z dobrego humoru matki, chłopak zaproponował jej przed samym powrotem do Warszawy, żeby zamieszkali osobno! Natrafił na protest i łzy, i rozżalenie, znowu zamilkł. Czułość matki, jej troskliwość, pieszczoty były dlań strasznymi kajdanami, z takich pęt nie miał serca się wyzwolić. I dalej popłynęło życie jednakowym trybem. Przechodził ostatnią klasę gimnazjum. Zjawił się nieunikniony Jagodziński, przyszły lekcje na fortepianie, wieczorki w karnawale w gronie utytułowanych krewnych, przyjęcia w domu, dodatkowe lekcje z księdzem kapelanem, potajemne czytanie, schadzki z Kostusiem.

* kondycja — tu: posada nauczyciela domowego.

* *Grand Dieu* (fr.) — Wielki Boże!

* *Mais il est fou!*... (fr.) — Ależ on jest szalony! Czysty obłąd!

Kostuś już był sam i mieszkał na stacji u Horbaczewskiej, stary Juriewicz został na wsi, osiągnął cel swych marzeń, posadę nadleśnego w ordynacji* na swej ukochanej Litwie.

U Horbaczewskiej spotkał i poznał Stefek Misie Siewrukównę.

— To nasza krewna! — zaprezentował mu ją Kostuś.

Dziewczyna była prawie w ich wieku, sierota. Chodziła na pensję, kształciła się na nauczycielkę. Nosiła brązowy mundurek i czarny fartuch. Miała bystre siwe oczy i popielaty olbrzymi warkocz, i jeśli się nie uczyła, to spierała lub śmiała się. Była w niej pełnia życia, zdrowia i jakby tchnienie pól i słoneczny humor skowrończy.

Pełno jej było wszędzie. Pomagała Duszcze w gospodarstwie, młodszym chłopcom w naukach, biegała po sprawunki dla przybyłych z Litwy gości Horbaczewskiej, droczyła się z Korewą i jak dziecko bawiła się z Kostusiem, który pomimo dużego wzrostu i wielkiej nauki był pierwszy do figłów. W towarzystwie tym Stefan zrazu czuł się zażenowany i onieśmielony, ale prędko odczuł, że był tu na wyjątkowych prawach i stanowisku.

— To sierota po naczelniku Hrehorowiczu! — prezentowała go Horbaczewska, a na to imię każdy patrzył na chłopaka jakoś życzliwie i ciepło, traktowano go jak jakąś wspólną własność, przedmiot pamiątkowy.

Mógł bywać tylko rzadko, ukradkiem, ukradkiem też za rekomendacją Kostusia dawał lekcje bezpłatne bardzo ubogim dzieciom, ukradkiem też, może nawet przed samym sobą, zakochał się w Misi. Co prawda, nie on jeden. Misie kochali wszyscy chłopcy, nie wyłączając Kostusia, który ze zwykłą swą szczerością oświadczał to jej co dni parę.

— Misiu, słuchaj, ja się ożenię z tobą. Zobaczysz.

— Iii, co mi za łaska. Kiedy ja to zobaczę!

— Jak skończę uniwersytet. Przysięgam! Będziesz na mnie czekać?

— Ani myślę. Ja się brzydę doktorów. Trupy krają.

— Ale zbierają pieniądze. Ze mną o nic się nie będziesz troszczyć.

— Ja się i bez ciebie o nic nie troszczę.

— Misiu, czy ty mnie nie kochasz? Bo ja ciebie to okropnie!

— Pewnie, że i ja ciebie, ale żeby okropnie, to chyba nie. Pójdziemy na ślizgawkę? Dobrze?

Stefan nie pojmował, jak można tak bredzić. On też oświadczał się Misi, mówił jej rzeczy wzniosłe, ale w myśli, w marzeniu. Cały cykl marzeń snuł w głowie, gdy był sam, gdy był z nią, nawet nie śmiał na nią patrzeć.

Ona też miała dla niego pewien respekt i jakby obojętność czy sztywność.

Nawet Duszka zwróciła na to uwagę.

— Czemu ty, duszko, nie przyhołubisz Hrehorowicza? To niegrzecznie, nawet nie zagadasz, a z drugimi się bawisz, dokazujesz!

— Iii, on jakiś taki, jakby łaskę robił, że przyjdzie. Z góry patrzy, słowa cedzi.

— No, nie pleć! Grzeczny, dobrze wychowany, delikatny. Może i nieśmiały. Trzeba go ogłaskać.

— Nie chce mi się. Nie podoba mi się!

W owych czasach Stefan zaczął pilnie uczęszczać na ślizgawkę.

Matka tolerowała tę rozrywkę, polecając Jagodzińskiemu towarzyszyć chłopcu.

Naturalnie, Jagodzińskiemu ani się śniło tkwić na lodzie. Wychodzili razem. Mentor pozostawał w kawiarni, gdzie z kolegami grał w szachy. Stefan szedł na ślizgawkę, umawiali się o godzinę powrotu i spotykali się w bramie domu.

Tam, na lód przychodziła i Misia z koleżankami lub Kostusiem, a czasami i sama.

Łyżwowała jeszcze nie dość wprawnie, a Stefan był mistrzem w tym sporcie.

Jakoś się zdarzyło, że się przywitali, zagadali, on jej dał parę rad, pokazał sposób, ośmielił się podać rękę.

* ordynacja — majątek rodowy, który przechodził jako niepodzielny i niepozbywalny na jednego spadkobiercę.

Ale to się działo tylko wtedy, gdy nie było Kostusia lub koleżanek; gdy miała towarzystwo i opiekę, Stefan łyżwował osobno, wzbudzając zachwyt panien i zawiść chłopców.

„Holender!” nazywano go.

Pewnego dnia Misia przysła sama, spotkali się u wejścia i razem zaczęli zataczać koła. Dziewczynce szło niezdarne, podał jej rękę, podtrzymał i kierował.

— Gdzie się pan tak doskonale wyuczył? — spytała.

— W Szwecji, dzieckiem.

— To pan był w Szwecji?

— Ja tu przyjechałem mając lat dwanaście. Przedtem chowałem się za granicą. Całą Europę znam i wszystkie sporty umiem.

— Zazdroszczę panu.

— A ja pani.

— Czego?

— Zna pani coś więcej, coś piękniejszego.

— Co takiego?

— Litwę naszą.

— Ot, osobliwość! Może pan w każdej chwili poznać. To niedaleko.

— Mnie daleko.

— Iii, nie bardzo się panu chce.

— Albo to się ma, czego się chce!

— A zawsze, byle mocno chcieć! Poczzerwieniał i ukradkiem na nią spojrzął.

— Czy pani krewna mojej babki? — spytał po chwili.

— A jakże. Przecie to ona za mnie płaci na pensji.

— Pani u niej bywa?

— Bywam i tak strasznie ją kocham.

— Strasznie! Tak jak Kostuś panią?

— Albo on rozumie, co plecie?

— Mnie się zdaje, że kto kocha, to milczy.

— Albo chodzi smutny i poważny. U nas w klasie jest jedna, co ma narzeczonego. Wcale mi się nie podoba. Patrzy na nas z góry, a najgorsze ma stopnie. Ja bym się wstydziła.

— Czego?

— Najprzód przyznać się, że mam narzeczonego, a potem być ostatnią w dzienniku. Pewnie, że ten narzeczony o tym nie wie, boby z nią zerwał.

— Pani pewnie jest pierwszą?

— Nie, zwykle trzecią. Zawsze się obetnę na rosyjskim.

— Kostuś powinien pani pomóc. On pierwszy.

— Nieprawda. Pan pierwszy.

— To tylko dlatego, że on często nie uważa.

— Eee, dlatego że pan mądrzejszy. Przecie pan wygląda jak profesor.

— Taki stary pedant.

Zaczęli się oboje śmiać. Na ślizgawce czyniło się gwarniej, zjawił się Kostuś i dogonił ich.

— Ty, Misiu, dlaczego z nim łyżwujesz? — wołał z daleka. — Obiecałaś czekać na mnie.

— Nieprawda. Nic ci nie obiecywałam.

— Mówiłaś wczoraj, że sama łyżwować nie będziesz. Powiedziałem, że przyjdę.

— No, toś ty obiecał, nie ja. Nie było się spóźniać.

— O, pewnieście się za moimi plecami zmówili. Słuchaj, Stefan, to moja narzeczona. Wara ci od niej.

Stefan poczerwieniał.

— Jeśli mi panna Michalina potwierdzi, wtedy uwierzę.

— Oho, panna Michalina! Dlaczego jej nie mówisz po imieniu, a ty, Misiu, także!

— Bo nam się tak podoba i tyle.

— To i mnie mów „pan”!

— Jeszcze czego? Może „szanowny panie”?

— Tak! No, to żegnam państwa. Pamiętaj, Misiu, że między nami skończone!

Nadaşany zawrócił, odpiął łyżwy i znikł.

Misia straciła humor. Oglądała się, wyczekiwała i odechciało się jej zabawy.

Stefan wracał do domu z rozpaczą w sercu.

Nie kocha go, więc po co żyć? Miał najdramatyczniejsze postanowienia i zamiary, wir szalonych myśli i straszne, nerwowe podniecenie.

Gdy tak szedł z głową zwieszoną, posłyszał, że go ktoś dopędzą, wołając dyskretnie:

— Proszę jaśnie pana!

Obejrzał się. Sążnisty liberyjny drab stanął przed nim i uśmiejając się wygoloną gębą rzekł:

— Jaśnie pani hrabina prosi do karety.

Spojrzał na ulicę i ujrzał, że z karety stojącej opodal kiwała ku niemu rączka kobieca.

Zawrócił i podszedł. Lokaj otworzył drzwiczki.

Kobieta bardzo piękna, otulona w sobolową rotundę, zaśmiała się do niego karminem zmysłowych warg, pokazując zębki małe i ostre.

— Dokąd? — spytała po francusku.

— Do domu — odparł całując ją w rękę.

Była jego kuzynką po mężu, krewnym Ossoriów, ten mąż miał lat sześćdziesiąt, ona dwadzieścia kilka, uboga arystokratka, Francuzka.

Spędzała w Warszawie już drugą zimę i spotykali się na wieczorach u rodziny. Bywała też u nich, bo należała z panią Oktawią do różnych dobroczynnych instytucyj.

Od jesieni zaczęła go czasem żartobliwie, wybrała parę razy do tańca, dawała na balach drobne polecenia, a czego nie mówiła słowem, dopowiadała uśmiechem, spojrzeniem, pod którym robiło mu się gorąco i trwożnie.

— I ja do was jadę, tylko wstąpię do jubilera i ogrodnika. *Montez et amusez moi*.*

Był zanadto dobrze wychowany, żeby odmówić, a zarazem odczuł jakąś złośliwą radość, chęć odwetu nad Misia. Ona go nie kocha, pogardza nim, a oto ta piękna kuzynka patrzy nań tak wabnie.

Już się nie lękał, przeciwnie, czuł, że jest pożądanym, i było mu to przyjemne.

Gdy usiadł obok niej, nie usunęła się i nie przestała się do niego dziwnie uśmiewać.

— Pan wraca ze ślizgawki. Dużo tam panienek kuzynek bałamuci?

— Wcale, żadnej. Tam tak zimno! — uśmiejnął się.

— No, no. Na zziębniętego wcale nie wyglądamy. Wychyliła się z rotundy, dotknęła policzkiem jego twarzy.

— Prawda, zimna. *Faut vous rechauffer**.

I ogarnęła go rotundą. Poczł ciepło ciała, woń perfum i pulsowanie gwałtowne krwi.

Zakręciło mu się w głowie, jakby tuman przesłonił oczy, zrozumiał i odczuł szal.

Miał przy ustach jej szyję, pocałował.

Milcząc i dysząc poddawała się pieścizocie.

Wtem kareta stanęła.

Usunęła się z niecierpliwym syknięciem i ukazującemu się u drzwiczek lokajowi rzuciła zmienionym głosem:

— W Aleje, do Belwederu, a potem na Nowy Świat. Powóz ruszył, był zmrok i dość pusto w Alejach.

Gdy kareta z powrotem stanęła przed kamienicą Ossoriów, Stefan wysiadł sam.

* *Montez* ... (fr.) — Niech pan wsiądzie i zabawia mnie.

* *Faut vous* ... (fr.) — Trzeba pana rozgrzać.

— *A demain, chez les Jules!** — pożegnała go szeptem. Stefan zastał w domu wszystkich już przy herbacie. Matka była zaniepokojona, Jagodziński bacznie nań spojrzął, dziad niechętnie zamruczał.

Chłopak miał oczy pałające i jakiś zupełnie nowy uśmiech na ustach.

— Co się stało, gdzie byłeś? — spytała matka.

— Przepraszam za opóźnienie. Nosilem łyżwy do naprawy i tam mnie zatrzymano.

— Moje dziecko, czy nie za forsownie łyżwujesz? Taki wyglądasz zmęczony! — biadała pani Oktawia.

— Śpieszyłem, zgrzałem się.

— Jutro nie chodź na ślizgawkę. Jesteśmy zaproszeni na wieczór do Julków, pamiętasz?

— Pamiętam.

Pani Oktawia spodziewała się, że będzie się wymawiał i wypraszał, bo niechętnie bywał na tańcach, więc się bardzo ucieszyła nie słysząc protestu. Jagodziński, gdy się znaleźli u siebie, przede wszystkim obejrzał łyżwy, a potem rzekł:

— Niech no kolega będzie ostrożny. Bardzo to zabawne i ciekawe na razie, ale zdrowiem przypłacić można.

Stefan, który zamiast się uczyć leżał na otomanie, założywszy ręce pod głowę i patrząc w sufit, uśmiechnął się.

— Nic mi podobnego nie grozi!

— To bardzo szczęśliwie! A ona? Ma pewnie ze czterdzieści wiosen. Ja w kolegi wieku taką miałem. Tak wszyscy zaczynają.

— Ja zatem stanowię wyjątek.

I tak, leżąc beczynnie, wykolejony zupełnie, począł gwizdać piosnkę Fortunia.

Nazajutrz aż się zdziwiła i ucieszyła pani Oktawia, gdy po raz pierwszy okazał jakieś zajęcie balem i poprosił o wystąpienie nie w mundurze.

Naturalnie spełniła jego życzenie i Stefan pierwszy raz przywdział strój balowy.

— Jakiś ty piękny! Jaki elegancki! Jak ci w tym do twarzy! Doprawdy, prawdziwy już mężczyzna. *Mon Dieu*, jaka ja już stara! — rozgadała się. — *Tiens*, już masz puszek na wardze, a co za wzrost. Z góry patrzysz na mnie. Czekał, uperfumuję cię. Zawrócisz głowę niejednej. A pamiętaj tańczyć z księżniczką Renią, tą z Galicji.

Stefan miał inne zamiary i z zapałem młodzieńczym wprost zaprosił do tańca hrabinę Liili.

Spojrzała nań, sekundę zawahała się, wstała jakby niechętnie.

Gdy się znaleźli w wirze, rzekła:

— Więcej nie będziemy z sobą tańczyć. Rozumiesz?

— Nie. Z nikim innym nie będę.

— *Grand nigaud. Tu es fou.** Ja nie tańców chcę z tobą. *Quel magnifique gars que tu es!** Słuchaj. Przyniesiesz mi jutro, do mnie, paczkę od twojej matki.

— Jaką?

— Już ja to urządzę. Dostaniesz od niej paczkę i przyniesiesz. Tańczyć nie można, to kompromitujące. Tańcz z panienkami albo idź gdzie w kąt.

Chłopak usłuchał. Tańczył z panienkami, ale z daleka ją śledził. Wśród najżywszej zabawy dostrzegł, że mu daje znak wychodząc do mniejszych, ubocznych salonów. Poszedł. W jakimś półciemnym buduarze, w cieniu ciężkich fałd makat maskujących okna zamienili słów kilka szeptem, potem w milczeniu całowała go, uczyła pieszczot, roznamiętniała swą żądzą.

Wrócił do domu nieprzytomny, pijany, odurzony.

Jakim sprytem trafiła do pani Oktawii, nie rozumiał, ale gdy po obiedzie gorączkowo szukał pretekstu by wyjść, matka zawołała go i rzekła:

* *A demain ...* (fr.) — Do jutra, u Julków!

* *Grand nigaud ...* (fr.) — Wielki głuptas. Jesteś szalony.

* *Quel magnifique ...* (fr.) — Jaki wspaniały z ciebie chłopiec!!

— Moje dziecko, idąc na ślizgawkę wstąp do kuzynki Liii i wręcz jej tę paczkę. To są moje kolczyki, ona je chce mieć na model. Nie zgub, oddaj do rąk.

Kuzynka Liii była sama w domu, nikogo nie przyjmowała, bo mąż wyjechał do Petersburga. Że przyjęła Stefana Hrehorowicza, to się nie liczyło, dzieciuch, gimnazista, przyszedł z polecenia matki, to przecie nie wizyta.

Od tego czasu Stefan przestał rozmawiać i spotykać się z Kostusiem, bywać u Horbaczewskiej i na ślizgawce, przestał też uczyć się wzorowo jak dotąd.

Pan Jagodziński, zajęty swymi ostatnimi egzaminami, zresztą nawykły, że pupilowi pomoc była zawsze niepotrzebna, nie wglądał w te sprawy.

Stefan często wieczory spędzał poza domem, tłumacząc matce, że mu najdogodniej przygotowywać się do ostatecznych egzaminów z kilku kolegami. Ze studiów tych wracał wyczerpany i mało przytomny, zaczął mizernieć i chudnąć, i stale zdawał się żyć jak lunatyk, nie słyszał, co do niego mówiono, odpowiadał często opacznie.

Nareszcie zauważył to i zaniepokoił się sam Jagodziński.

— Kolego, jak się nie opamiętacie, nie zdacie matury, tej w gimnazjum.

— Zdam, od Wielkiejnocy zacznę kuć. Mam już dosyć tej sztuby*.

— No, no, żebyście nie odsiedzieli drugiego roku. Wybaczcie, ale jeśli nie weźmiecie się do roboty, będę musiał panią matkę ostrzec. Wiecie, ja muszę, za to mi płacą i ufają.

— Co pan mamie powie? — przeraził się Stefan.

— O, żadne denuncjacje*! Powiem, że kolega przemęczony i że wobec tego ja radzę z maturą się wstrzymać, aż stężeje i wzmocni się... organizm.

Stefan zaciął usta, zamyślił się.

— Zdam, muszę! — rzekł stanowczo.

Ale trud ten był nad jego siły. Przez dni kilka wziął się do nauki, ale po tygodniu znowu przestał. Był na pochyłości złej i zawrotnej, i dawał się porywać zawrotowi głowy.

Trwało tak do Wielkiejnocy. Wtedy dotknął go cios. Kuzynka Liii zaczęła niedomagać, grymasić, nudzić się i wyjechała za granicę.

Chłopak wpadł w nieznośną apatię i rozpacz, pisał wiersze, snuł się godzinami po ulicach, żył poza rzeczywistością i światem.

W takim stanie spotkał kiedyś Kostusia, który też wyglądał zbiedzony, obdarty, chudy i posepny. Spotkali się w antykwarni, gdzie Stefan szukał dla matki jakiegoś psalterza, a Juriewicz sprzedawał pakę książek.

— Nie chodzisz do gimnazjum? — spytał Stefan.

— Właśnie mi to w głowie, gdy taka bieda!

— A co?

— U Horbaczewskiej tyfus. Onegdaj ona sama umarła, dziś był pogrzeb. Strach, co się tam dzieje. Panna Duszka leży, mały Sarosiek i Misia!

— I Misia! — powtórzył Stefan czując przykry ból w duszy. Kostuś głową kiwnął, twarz miał śmiesznie wykrzywioną i usta mu drżały. Płakał.

— Ja już tydzień tak dniuję i nocuję! — mówił siłąc się opanować. — Telegrafowałem po siostrę, ale ona sama chora, a ojciec przyjechać też nie może, a tam w domu taka bieda, że na doktora nie ma. Na pogrzeb złożyli się znajomi Litwini! Nie ma Horbaczewskiej! Duszka nie wie, leży nieprzytomna. Ja już wszystko sprzedałem, ot i książki przyniosłem. Daje Żyd rubla. Cały ratunek w babce.

— W jakiej babce?

— W jakiejże? W naszej! Telegrafowała, że przyjedzie.

— Kiedy?

— Może dziś, może jutro.

* s z t u b a — w gwarze uczniowskiej szkoła.

* d e n u n c j a c j a — doniesienie do władzy, potajemne oskarżenie.

Wieść ta uczyniła na Stefanie głębokie wrażenie, wyrwała go z maniackiego zacierzwienia, obudził się jak ze snu, przypomniał wszystko, o czym od paru miesięcy nigdy nie myślał.

— Zobaczę babkę! — szepnął.

— Nie wiem — rzekł z namysłem Kostuś. — Ona pewnie nie pozwoli, żebyś tam przyszedł.

— Jak to? Nie zechce mnie widzieć? Dlaczego?

— No, bo tam tyfus? Troje leży. Niebezpiecznie.

— A ty?

— Ja blaszany. Mnie się nic nie ima. Zresztą ja nie Hrehorowicz. Nade mną nikt się nie rozpada.

— Głupstwo prawisz. Misia...

— Już ty milcz i nie drwij! — zaperzył się Kostuś. — Misia tyle o mnie dba, co i o resztę ludzi! Biedactwo, co o niej mówić! Pewnie umrze!

Chłopak prędko wyszedł kryjąc swą rozpacz. Dogonił go Stefan.

— Nie bądźże mazgajem. Życ będzie Misia, pobierzecie się, będziecie szczęśliwi.

— Odczep się ty ode mnie! Nie udawaj przynajmniej w żywe oczy. Zmarnował taką dziewczynę i jeszcze się natrzasa! Tfu, wstyd!

Splunął i poszedł. Stefan pozostał odurzony! Nazajutrz rano pobiegł na Mariensztat i rozpytał stróża.

Jakaś stara pani przyjechała późnym wieczorem, chorzy mieli się jednakowo.

Stefan zobowiązał cerbera, żeby się dowiedział, gdzie i kiedy stara pani będzie wychodzić na miasto, i poszedł do gimnazjum.

Od pewnego czasu pierwszy raz uważał na lekcjach i rozpytywał kolegów o „kucie” do egzaminów.

Naprawdę poczuł lęk, że nie da już rady, że zmarnował rok nauk.

Wieczorem był znowu na Mariensztacie. Stróż mu oznajmił, że stara pani była na mszy świętej u bernardynów i że z chorych mały pewnie nie wytrzyma.

Jakoż nazajutrz przeczytał Stefan w kurierku, że Sarosiek zmarł. Pogrzeb byłznaczony na dzień następny na ranną godzinę. Tej nocy nie mógł zasnąć i jednym z pierwszych był w kościele.

Mała czarna trumienka stała w środku, bez kwiatów i światła. W ławkach siedział wąsaty, ogorzały, niemodnie ubrany człowiek, patrzył na tę trumnę, oczami mrugał i ocierał pot z łysiny. Twarz jego była zresztą spokojna i jakby zgasała, osnuta jakąś pleśnią i martwością.

Był to stary Sarosiek. Przybył z głębi swej dziczy na wieść o chorobie syna, zapożyczył się na koszty, rzucił siewy i robotę, i trafił na pogrzeb. Pięć lat, odmawiając sobie wszystkiego, kształcił chłopaka, no i nie było syna.

Mgławie, jakby bezmyślne były oczy wpatrzone w trumnę.

Stefan u drzwi stanął i śledził wchodzących. Nagle drgnął i o krok postąpił. To ona była! Czarno ubrana kobieta, prosta, wysoka, a tak inna od wszystkich. Za nią szedł Kostuś.

— To ona! Babka. Matka ojca, bohatera!

Ale i ona go spostrzegła. Przez jej twarz pełną skupienia i łagodnej powagi poszło drżenie, blask, poruszyły się usta.

— Stefan. — Zrozumiał, że to rzekła, i już był przy niej, pochylony, rękę do ust tuląc.

Objęła go za głowę, pocałowała we włosy. A wtem dzwonek się rozległ u zakrystii, ksiądz wyszedł ze mszą żałobną.

Pani marszałkowa poszła ku trumience, usiadła obok Sarosieka, pogrzyżyła się w modlitwie, Stefan oczu od niej nie mógł oderwać.

Taka była, jaką sobie wyobrażał. Wysoka, ledwie trochę pochylona, szczupła. Białe włosy pozostały bujne i faliste, twarz zachowała ślady posągowej piękności, oczy były tak głębokie, tak jasne, tak mądre, takie, zda się, wszystko wiedzące, wszystko rozumiejące.

Ksiądz prędko mszę odprawił, jacyś ludzie urzędowi spiesźnie porwali trumnę na jednokonna karawan. Za nim ruszyło kilkanaście osób z litewskiej kolonii, domownicy Horbaczewskiej. Stefan szedł obok babki i po chwili ośmielił się szepnąć:

— Babuniu, proszę się na mnie oprzeć.

Wsunęła mu rękę pod ramię, uśmiechnęła się łzawo. On lewą ręką przyciskał do boku swą uczniowską czapkę, serce mu biło, był bardzo dumny, skupiony, uroczysty.

Co musiała doświadczać ona, która ośmnaście lat o wnuku tym, dziedzicu, myślała bezustannie i czekała milcząc na tę chwilę.

Szli nic do siebie nie mówiąc. Obok nich zgarbiony, utykając na kamieniach, włókł się Sarosiek tępo zapatrzony w karawan.

Kondukt kierował się ku Powązkom.

— Babunia się zmęczy. To bardzo daleko. Może wsiądzie w dorożkę? — szepnęła Stefan.

— Nie. Siły mam. Ale ty? Masz czas? Może wróc? Lekcje! — odparła.

— Za nic. Pójdę. Ja taki szczęśliwy.

Dotknęła ręką jego ramienia, wskazując oczami Sarosieka. Umilkł zawstydzony.

Na Powązkach prędko spuszczone trumnę w grób i zasypano ziemią. Mały orszak rozproszył się już w drodze, paru pozostałych panów zabrało Sarosieka do dorożki.

— Nie ma Kostusia? — zauważył dopiero Stefan.

— On musiał zostać przy tamtych.

— I Ijabunia tam wraca?

— Tak. Zawołaj dorożkę. Odprowadzisz mnie do bramy. Gdy wsiedli w jednokonkę, pochylił się do rąk jej z wybuchem szczęścia.

— Babunia mnie od razu poznała! Jak?

— Fotografii miałam od Juriewiczów, zresztą za bardzo jesteś do ojca podobny. Znałam cię, rok po roku, jakeś rósł. Zmieniłeś się w ostatnich czasach. Musiałeś mieć jakieś gwałtowne wrażenia. Zmieniłeś się. Możesz chorował?

— Nie, babuniu! — zająknął się, zawahał i dodał, jakby zmuszony jej wszystko opowiedzieć:

— Kocham. Strasznie kocham.

— Misie! — spytała ze współczuciem.

— Nie — odparł i nie śmiał dalej mówić. Raptem odczuł wstyd, zrozumiał, że stosunek z mężatką nie był honorem, że jej tym się nie może pochwalić.

Popatrzyła badawczo, długo i zrozumiała. Nie pytała dalej.

— Nie skończysz w tym roku gimnazjum?

— Boję się. Może.

— Szkoda. Jeszcze rok. Ale trudno. Różne ognie musi młodość przebywać. Ja wiem, że nie upadniesz bez powstania. Co robić! Jeszcze rok!

— Babunia by wołała, żebyś skończył teraz.

— Wiem, jakeś się uczył. Byłam z ciebie dumna. Te szkoły tu najcięższe. Myślałam, że już będziesz maturzystą, człowiekiem. Obmyślisz sobie karierę.

— Czym by babunia chciała, żebyś był?

— Żebyś szedł za swym powołaniem, obrał fach, do którego czujesz pociąg, mógł zarobić, na nikogo i na nic nie rachował. Po ojcu nic nie masz, wiesz, gdzie poszło. Ja ci uchowałam ziemi kawał, ale to nie dostatek i panowanie, długi są, ciężary, stosunki okropne, pustka, mozolna niewdzięczna służba i dola. Ale to twoje jest i będzie. Może ci się zdarzy praca szersza, łatwiejsza wyższa służba i lepsza pozycja. Niech cię to nie krępuje. Idź za

skłonnością. Gdziekolwiek i czymkolwiek będziesz, jestem pewna, że nie ustąpisz ojcu. Za bardzo do niego podobny!

Spojrzała nań i oczy jej zmętniały od łez.

— Matureę zdam, przysięgam babuni. I nie pojedę do Petersburga, jak chce prezes. Nie, za nic — wybuchnął Stefan. — Mnie dławią ich pieniądze, ich dostatki, ja im nie daruję tego, co mi wymawiali tyle lat! Żeby nie matka, dziś bym się od nich wyniósł. Matkę przekonam, pójdę do Galicji, na agronomię. Do babuni potem przyjdę, do ziemi, do naszej. Ja Hrehorowicz, ja wiem, czyj jestem syn! Położyła mu rękę na ramieniu.

— Dziecko, nie gorączkuj, nie przysięgaj, nie wygrażaj. Masz święte obowiązki dla matki i te spełnić powinienes. Tylko w burzach, które cię spotkają, w pokusach, w osłabieniu i w szale pamiętaj, że na mogile twego ojca rośnie dąb i leży głaz polny bez napisu, i czeka na ciebie. Na głazie tym pod spodem jest napis. Mnie za dni kilka tam do Grel wracać trzeba i może cię więcej w tym życiu nie zobaczę. Proszę cię, dziecko, tak żyj, tak czyn, żebyś mógł kiedyś ten głaz odwalić, na napis spojrzeć i te słowa, co tam są, czynem stwierdzić. A jeślibym jeszcze żyła, gdy będziesz mógł tam przybyć, to ci te bory pokażę i te mogiły, i wszystko opowiem. A tymczasem ucz się, pracuj, hartuj i tak żyj, byś się nikogo nie wstydził. Bo są rzeczy, co zdają się chluba, a są wstydem! I wiele jest korzyści, które są stratą, i zwycięstw, które są klęską. Ale ty się im nie dasz otumanić. Grele czekają na ciebie.

Dorożka stanęła pod kamienicą na Mariensztacie. Pani marszałkowa wysiadła, weszli w bramę.

— Misia będzie żyć i biedna Duszka także. Zabiorę je z sobą. Kiedyś opowiem ci także, kim była Horbaczevska. Tutaj nie możesz teraz przychodzić, ale co dzień będę na mszy u bernardynów, to się możemy spotkać.

Ucałowała go w czoło i poszła na górę. Stefan ruszył do gimnazjum i jakby odrodzony, porozumiał się z kolegami o „kucie”.

Od tego czasu rzucił się zajadle do nauk. Przestał zupełnie z domu wychodzić, przestał sypiać po nocach, nad ranem zadrzemał parę godzin, orzeźwiał się kąpielą i wychodził do gimnazjum. Z panem Jagodzińskim zapanowała znowu harmonia, nawet Kostuś, uszczęśliwiony wyzdrowieniem Misi, uspokojony, że Stefan nie jest rywalem ani winnym bałamuctwa, przejednał się dla kuzyna i mówił z podziwem:

— Byłem pewien, że się obetniesz, ale jakeś się zabrał, dalibóg, gotówes napędzić.

— Zdam, skończę! — mówił Stefan z jakimś zapamiętaniem, przez ściśnięte zęby.

I zdał. Dla matki nie była to niespodzianka, ale niespodzianką była, nowym ciosem dla całego domu awantura, jaka stała się po zdobyciu matury.

Cała paczka maturzystów urządziła pożegnalną składkową kolację, było ich dziewięciu Polaków, dwóch Rosjan, jeden Żyd. Gdy nie wrócili rano do domów, rodziny rozpoczęły poszukiwania. Byli wszyscy w cyrkule, oskarżeni o polityczną awanturę w restauracji.

Na domiar nieszczęścia hrabia Ossoria bawił w Petersburgu i pani Oktawia musiała osobiście zająć się losem syna.

Nie mogła dostać ataku i spędzić czasu pod opieką paru doktorów, ale zmuszona była udawać się do wysokich urzędników o protekcję. Opatrznością dla niej była hrabina Liii, która w sferach tych była mile widzianą i na szczęście przed paru dniami wróciła do Warszawy.

Obie panie ruszyły tedy w akcji ratunkowej i naturalnie otrzymały bardzo łatwo rozkaz do cyrkułu i pozwolenie zabrania stamtąd natychmiast syna marnotrawnego.

Hrabina Liii traktowała to jako zabawną „eskapadę” i była rzetelnie ubawiona. Udzieliło się to i pani Oktawii; nie brała wypadku arcytragicznie.

W cyrkule ich kareta, stroje, liberia służby zrobiły efekt. Natychmiast przyprowadzono Stefana. Wyglądał niezbyt elegancko po nocy spędzonej w areszcie, ale wcale nie zawstydzony ani zażenowany.

— *Etienne, tu n'a pas de coeur!** — wybuchnęła matka, porywając go w objęcia. — Od rana umieram ze strachu o ciebie. Jak mogłeś wpaść tutaj! Co za nieogłędność. *Remercie donc cette chere cousine Liii, qui a voulu m'aider a te ravoir, et partons! Quel air tu as!**

— Mamo, czy tamci też wolni? — spytał.

— A cóż mnie tamci obchodzą.

— Bo ja sam, bez nich, nie pójdę. Kolegów tu nie zostawię. Razem nas wzięto, razem niech wypuszczą.

— *Tu es fou!* Nie myślisz przecie, że będę prosić i używać moich stosunków dla gromady awanturników, *qui te debauchent!**

— Jak mama chce. Zostanę tedy z nimi. Dla mnie to nie awanturnicy i żadnego przestępstwa nie mamy na sumieniu. Nie jesteśmy też już sztubakami i dziećmi. To trudno, mamo, nie mogę inaczej postąpić. Nie wyjdę stąd sam!

Pani Oktawia chciała już dostać ataku, ale powstrzymał ją wybuch śmiechu hrabiny Liii.

— *Il est superbe! Ma chere**, jedźmy znowu do generała, jeśli chcemy go odzyskać. Co do mnie, *j'y tiens! Au revoir, cousin!**

Minęło znowu parę godzin, zanim odnalazły ekscelencję. Hrabina Liii mogła wszystko, co chciała, wróciły z rozkazem uwolnienia wszystkich dziewczęciu.

Tym razem pani Oktawia była zupełnie oburzona na syna i zostawiwszy kuzynkę w cyrkule, odjechała do domu.

Nadszedł wieczór i minął. Stefana nie było. Czekala go do północy, wreszcie zmęczona tylu wrazeniami, spłakana, rozspazmowana, zasnęła.

Nazajutrz nie czas było na wymówki i ataki. Stefan, który wrócił nad ranem, nie przyszedł na śniadanie, leżał w gorączce.

Po paru dniach doktorowie zdecydowali tyfus. Nastaly ciężkie czasy w pałacu Ossoriów.

Prezes na wieść o „takiej” chorobie wnuka zemknął za granicę, wuj radca wcale ze swych dóbr nie przyjechał, krewni i znajomi poginęli jak czarem, pani Oktawia po paru nocach spędzonych nad chorym straciła siły. Płakała i modliła się na przemian, sama potrzebowała obsługi i starania, była kompletnie bezradna. Nad Stefanem, zawiadomiony przez Jagodzińskiego, zasiadł Kostuś.

Czuwał dzień i noc, chwilowo wyręczał go kolega Sikorski z Tamki, pomagał Jagodziński; we trzech z największą troskliwością doglądali chorego całe długie dwa tygodnie.

Pani Oktawia zjawiała się na chwilę i już nawet nie pytała, kto są te dwa chłopaki. Dla niej byli opatrnością.

Dopiero po dwóch tygodniach, gdy kryzys minął i Stefan pierwszy raz zdrowo zasnął, ze łzami wdzięczności wyciągnęła obie ręce do Kostusia, który tę noc czuwał.

— On panom może życie zawdzięcza. Nie dałabym rady bez waszej takiej ofiarnej pomocy. Proszę, jak pańskie nazwisko. Może kiedy będę mogła czym się odwzajemnić, okazać mą wdzięczność.

— Nie ma o czym mówić, proszę pani! Każdy by to zrobił dla kolegi. Moje nazwisko może pani zrobić przykrość. Nie warto mówić. Ot, kolega i tyle — odparł Kostuś i od tej nocy wcale się nie pokazał.

Zapytany o niego Jagodziński udał, że zapomniał nazwiska, a wreszcie pani Oktawia, zajęta rekonwalescencją syna, nie nalegała. Stefan dźwignął się prędko i wyjechał za granicę.

* *Etienne* ... (fr.) — Stefanie, jesteś bez serca!

* *Remercie* ... (fr.) — Podziękuj więc kochanej kuzynce Liii, która mi pomogła wydostać cię i chodźmy! Która godzina?

* *qui te debauchent* (fr.) — którzy ciebie sprowadzają na złą drogę!

* *Il est superbe!*... (fr.) — Jest wspaniały! Moja droga...

* *j'y tiens! Au revoir, cousin!* (fr.) — nalegam na to. Do widzenia, kuzynie!

Lato spędzali w Bretanii i jakoś się tak złożyło, że tę ustronną „plażę” upodobała sobie i hrabina Liii. Pani Oktawia namówiła ją, by zajęli jedną willę i urządzili się tam *en familie**. Zresztą nie było tam nikogo z kraju i żadnych rozrywek.

Ona tu, ta kochana Liii, i tygodnia nie wytrzyma, myślała litościwie pani Oktawia i bezustannie namawiała Stefana, by kuzynce towarzyszył, sama niewielka amatorka spacerów i wycieczek.

— *Amusez-vous, mes enfants!** — powtarzała.

„Dzieci” bawiły się też, po całych dniach i wieczorach. Stefan stał się rozmowny i uprzejmy, dowcipny i elegancki. Cieszyło to matkę.

Po paru tygodniach pobytu przybyło im sąsiedztwo. Sąsiednią willę zajęli jacyś państwo. On był człek już niemłody, siwy, krzepki, ona wątła i młodziutka — małżeństwo. Spotykali się na wybrzeżu na spacerach, nie zapoznając się bliżej. Wiedziano, że są „z kraju” i właśnie dlatego pani Oktawia unikała stosunków.

Nagle tę rozkoszną idyllę rozbił grom. Hrabina Liii otrzymała depeszę od męża wzywającą ją do Karlsbadu i musiała wyjechać. Że zaś utyskiwała na niewygody imaginacyjne drogi do Paryża, pani Oktawia poleciła synowi odwiedzić tam kuzynkę.

Na trzeci dzień Stefan wrócił oswiały i zgnębiony. Przez kilka dni nie można go było namówić do żadnej rozrywki i ruchu. Leżał na werandzie i czytał. Wreszcie ulegając matce, zaczął chodzić z książką na wybrzeże. Wynajdywał cichy zakątek, kładł się i niby czytając, marzył i cierpiał.

Nie opodal z masą gazet siadywał stary sąsiad, patrząc niekiedy na kąpiącą się żonę.

Jakoś raz zamienili słów parę zdawkowej uprzejmości, zaczęli się sobie kłaniać i ani się spostrzegł Stefan, jak się zawiązała znajomość.

— Hrabina Podhorska już wyjechała! — rzekł raz stary pan.

— Tak. Pan zna hrabiostwa?

— Sąsiadujemy na Litwie, ale oni w majątkach teraz nie mieszkają. Póki hrabia był kawalerem, polowaliśmy często ze sobą. Są tam jeszcze w Podhorcach przepyszne lasy. Mój teść Juriewicz, jest tam łowczym teraz.

— Juriewicz? Mam kolegę tego nazwiska.

— Właśnie, ojciec Kostusia.

— Pan pozwoli się przedstawić. Jestem Hrehorowicz.

— Wiem przecie i dlatego mówię z panem. Nie lubię przygodnych znajomości, ale gdy traf nas zbliżył, należy zeń korzystać. Ja jestem Hlebowicz Stanisław, ze Skarbowca. Pisała moja żona do ciotki marszałkowej z Grel, że pan tu jest i zdrowy. Była w Warszawie, gdy pan leżał na tyfus.

— Była!

— Co się dziwić! Jej wszystkie myśli i nadzieje, wiara i miłość w panu.

Stefan głowę spuścił, rozmyślał nad czymś.

— Czy do Grel daleko z Podhorzec? — spytał. Hlebowicz uśmiechnął się dziwnie.

— O, bardzo daleko! Wcale nie po drodze. Ale Stefan myśli jego nie zrozumiał i rzekł:

— Na przyszlą wiosnę będę na polowaniu na głuszce w Podhorcach, chciałem być i w Grelach. Dotychczas jeszcze nie mogłem.

— A pan na jaki fakultet myśli wstąpić?

— Nie wiem jeszcze. Może rok spauzuję.

— Szkoda. Pamiętam z moich czasów szkolnych, że taki rok strasznie trudno potem dopędzić. Kostuś idzie na medycynę w Warszawie.

— Ja zapewne prawo wybiorę.

— Może w Petersburgu?

— Nie. Jeśli nie w Warszawie, to w Galicji.

* *en familie* (fr.) — jak w rodzinie.

* *Amusez-vous, mes enfants!* (fr.) — Bawcie się, moje dzieci!

Od „plaży” zbliżyła się do nich Hlebowiczowa. Stefan powstał na jej spotkanie.

— Kuzynka tak do Kostusia niepodobna, że nie przeczuł, z kim sąsiaduję i co dzień się spotykam — rzekł całując ją w rękę.

— O, ja kuzyna znam od tylu lat! — odparła serdecznie. — Tylko się zmienił chłopak na mężczyznę. Prawda, że i Kostusiowi wąsy rosną i też się kocha na zabój.

Stefan poczerwieniał na to „też”.

Poszli ku domowi rozmawiając coraz serdeczniej. Niedaleko willi Hlebowicz się zatrzymał.

— Żeby nie zaniepokoić matki pana, wracajmy osobno.

— Cóż znowu! — oburzył się.

— Lepiej tak, wierz mi pan. Ciotka marszałkowa ma większe prawa, a trzyma się na uboczu. Idź pan osobno, matka — świętość!

— Odnajdziemy się! — uśmiechnęła się doń Hlebowiczowa serdecznie.

Od tego dnia Stefan zaczął znowu używać wycieczek i otrząsnął się z apatii.

Pewnego dnia po śniadaniu, siedząc z matką na werandzie, rzekł:

— Mamo, czas nam wracać do Warszawy.

— Po co? Przecie nareszcie skończone te wstrętne szkoły. Musisz odpocząć. Jesteś wyczerpany, wybujały, wątpy.

— Nic z tego! Tak się mamie zdaje. Mnie już pilno do dalszych nauk i jestem zdecydowany na fakultet. Pójdę na prawo w Warszawie.

— Moje dziecko, trzeba spytać, czego dziad sobie życzy. Nie możesz bez niego decydować. *Cela ne corvient pas!**

— Mamo, ja wiem, że dziad chce mię wysłać do Petersburga, i ja go nie usłucham. Te kariery, te stanowiska może stosowne dla hrabiów i książąt, a ja Hrehorowicz, mammo! Mnie się nie godzi tą drogą iść.

— Jak to! Dlaczego? — przeraziła się pani Oktawia.

— Bo ja, mammo, nie pójdę w służbę do tych, co mego ojca rozstrzelali.

— *Qu'est-ce que tu racontes, malheureux! Tu veux te perdre!** Ach, żeby dziad to słyszał.

— Cóż by było, mammo! Nie jestem jego dziedzicem. Z łaski przyjętym i znoszonym sierotą. Mamo, mnie ten chleb i łaska od dawna dławi, ja zań zapłacę, ale pieniędzmi, gdy będę mógł zarobić, ale nie życiem i zaprzędaniem duszy. Milczałem dotąd, mammo, ale ja znam swe pochodzenie i obowiązki, ja wszystko wiem. Mamo, ja odtąd nie chcę na łasce dziada być. Potrafię już zarobić na swe nauki i utrzymanie. Dostanę korepetycje, będę żyć jak inni ubodzy studenci. Niech mama mnie podtrzyma, zrozumie moje położenie i dziada przekona. Dotąd ustępowałem, dzieckiem byłem, teraz ustąpić nie mogę.

— Ależ to niemożliwe, to szaleństwo! Trzeba dziada słuchać, my mu wszystko zawdzięczamy. Żeby nie on, co by z nas było. Nędzarze! Twój nieszczęsny ojciec wszystko stracił.

— Mamo, nie! Ojciec zostawił mi klejnot bezcenny, swój bój i śmierć bohaterską. Ja go za to błogosławię jak za magnacką spuściznę. Mnie nic więcej nie trzeba. I innej kariery, jak jego, nie pożądam.

— Więc chcesz, nieszczęsny, czego? Być szaleńcem i utopistą?

— Tymczasem, mammo, chcę studiować prawo w Warszawie i żyć ze swoimi, z równymi!

— Ja tego dziadkowi nie powiem! Nie pojmuję, jak ty się ośmielisz wymówić takie zuchwalstwo, po tylu jego dobrodziejstwach! Oh, Etienne, obrażasz Boga i mnie serce zakrwawiasz.

Pani Oktawia zaczęła płakać. Stefan przykląkł u jej kolan i począł sjać dziecko tulić i pieścić. Po chwili uspokoiła się, objęła go za głowę, obsypała pocałunkami.

* *Cela ne convient pas!* (fr.) — Nie wypada!

* *Qu'est-ce que tu racontes...* (fr.) — Co ty opowiadasz, nieszczęśniku! Chcesz zginąć?

— *Mon cheri, mon petit, mon amour. Tiens, tu as deja un soupcon de moustache. Que tu es grand, et joli! Tu aimes un peu ta vieille mamon. Dis? Attends donc! Nous tacherons d'arranger l'affaire!** Może się dziad ubłaga! Myślisz, ja bym wołała, żebyś był w Warszawie. Ja bym się rozchorowała z niepokoju, jakbyś był sam daleko. Tylko mnie nie strasz! Nie będziesz się zadawał z byle kim! Dobrze? Ty nie występuj sam, ani tak zuchwale! *Embrasse moi, et n'en parlons plus!** Nudzisz się tutaj, może byś chciał pojechać gdzie indziej? Zabawić się?

— Nie, mammo, zostanmy jeszcze dni kilka i wracajmy do Warszawy.

— Poczekaj, dziad bawi w Karlsbadzie, nie przeżyje. Ach, żeby dziad słyszał, coś ty mówił przedtem.

— Dziadowi nigdy nie powiem. Po co? On by mnie nie zrozumiał. A mamie powiedzieć muszę. Prawda, mama wiedzieć musi — dodał pieszczotliwie, serdecznie.

— *Mon pauvre petit**, dobrze, dobrze, jakoś to się urządzi. *Allons faire un tour**. Za parę lat wszystkie *dueryery* będą mi pochlebiać. *Grand beta**, będziesz w księżniczkach przebierał, choć niby tylko Hrehorowicz. *Attends venir!**

I już rozweselona, ubawiona, roiała o świetnych planach matrymonialnych dla pięknego jedynaka i była z niego dumna, i o przyszłość jego świetną spokojna i pewna!

* *Mon cheri*... (fr.) — Mój drogi, mój malutki, mój kochany. Patrz, wąż zaczyna ci się sypać. Jaki ty jesteś duży i ładny! Powiedz, że kochasz choć trochę swoją starą mamusię. Poczekaj więc! Spróbujemy to jakoś załatwić!

* *Embrasse moi*... (fr.) — Obejmij mnie i nie mówmy już o tym!

* *Mon pauvre petit* (fr.) — Moje biedne maleństwo!

* *Allons faire un tour* (fr.) — Lepiej wyjeżdżamy.

* *Grand beta* (fr.) — Głuptasie.

* *Attends venir!* (fr.) — Poczekaj tylko!

VIII.

Pewnej wiosny w dworku Hrehorowiczów na rogu rynku powstała kuźnia.

Kowal, Franciszek Kafar, austriacki poddany, papiery swe w policji złożył, łapówki różne popłacił i warsztat założył.

Był zrazu sam i mieszkał u Bohuszewicza, potem wynajął oficynkę od dworku, kęs ogrodu i w sierpniu sprowadził z Galicji rodzinę. Zobaczono ich zaraz wszystkich w niedzielę pod kościołem.

Kościół był zwykle pusty, bo mało zostało katolików w okolicy, ale przed kościołem, w cieniu starych lip, zbierali się mieszczanie na gawędę, a pod murem, co niedziela, był najżywszy targ. Wśród tej próżniaczej gawiedzi i bandy młodych chłopców ukazanie się Kafarów sprawiło wielkie wrażenie. Majster szedł widocznie z żoną. Kobieta była wysoka, dostatnio ubrana, z twarzą poważną i pomimo lat dojrzałych jeszcze urodziwą.

Ale za nimi szła córka, dziewczyna tak hoża, smukła i piękna, że stojący wśród grona kolegów kawalerów Iwan Bohuszewicz, w mundurze pocztowego urzędnika, zaklął siarczyście po rusku. — *Wot krasawica. Prosta prelest' nie dziewczka!** Dziewczyna, idąca ze spuszczoneymi oczami i nasuniętą na czoło jasną chusteczką, podniosła wzrok na ten wykrzyk i obrzuciła bandę młodzieży śmiałym a obojętnym spojrzeniem.

Obejrzał się też Kafar i córkę przed siebie puścił, jakby bojąc się napaści.

Młodzież przeczekwała całe nabożeństwo i gdy ludzie wychodzić poczęli z kościoła, Bohuszewicz junior przyłączył się do Kafarów i przeprowadził aż do progum domostwa.

Od razu zagaił rozmowę po rusku, ale Kafarowa odparła, że tego języka nie rozumie, silił się tedy na łamaną polszczyznę.

Na progu, gdy się z pożegnaniem ociągał, Kafarowa poprosiła go do izby, na co się skwapliwie zgodził. Mieszkanie składało się z jednej stancji, alkierza i kuchni. Czysto było i porządnie, choć ledwie osiedli.

— Może zjecie z nami obiad! — zaproponował Kafar. — Tyle czasu stołował mnie wasz ojciec, rad ugoszczę syna.

— Niegłodnym, ale chętnie posiedzę. Tu w tym podłym miasteczku rad człowiek zagranicznych ludzi poznać i pogadać.

Kobiety przeszły do kuchni, on gadał z kowalem raz wraz na drzwi zerkając.

Po chwili dziewczyna weszła już bez chustki na głowie, a w koronie ze złotych warkoczy, i poczęła stół do posiłku nakrywać.

Bohuszewicz ścigał oczami każdy jej ruch, a wreszcie nie wytrzymał i rzekł:

— Nu, prawdę gadają, że za granicą wszystko inne. Waszej córki to z żadną tutejszą nie porównać.

— Dobre dziecko, dzięki Bogu — odparł Kafar — ale dobrze, że was nie rozumie, boby się zasromała.

— Już ja jej to „po polsku” powiem — zaśmiał się.

— Jak chcecie, ale by wam się nie odgryzła, bo na zaczepkę nie zmilczy — rzekł z uśmiechem.

— Jaż nie cham, żebym nie wiedział, jak z delikatną panną pogadać. Mnie nie osobliwość i u błahocznego bywać.

— Wiem, ale moja dziewczyna dzika, żadna panna, ot, prosta kowalówna. Od matczynej spódnicy nierada odejść, wiana mieć nie będzie.

— Co mnie wiano. Stary nie za swoje pije, a spryt do interesu żydowski ma.

* *Vot krasavica...* (ros.) — Oto piękność. Sam czar, nie dziewczyna!

Weszła Kafarowa i zaprosiła gości do obiadu. Bohuszewicz poprosił o pozwolenie zafundowania wódki i piwa, ale gospodyni odmówiła i podała swoją flaszkę. Mężczyźni wypili i zagryźli kiełbasą. Młody widocznie trunki lubił i stał się jeszcze rozmowniejszy.

— Pannie to niechybnie Malwina na imię? — zagał zaloty.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

— A panu to pewnie Kacper?

— Nie. Ja Iwan.

— To pan Ruski?

— My tu wszyscy ruskie ludzie. I panna też Ruska będzie, bo tu rosiejska imperia.

— Podaj kluski, Wikciu — przerwała matka.

Dziewczyna skoczyła do kuchni, a Kafarowa rzekła:

— To pan macochę ma? A dawno też matka umarła?

— O, i nie pamiętam. Przy urodzeniu moim umarła, czy jakoś prędko.

— Tutejsza była?

— Tutejsza, organiścianka.

— Katoliczka? To i pan katolik?

— At, zapisany. Ale mnie to wszystko jedno.

— To może pan i Żyd? — zagadnęła dziewczyna.

— Polaki i Żydy to jedno, ale ja z nimi nawet kompanii nie trzymam.

Kafarowie milczeli, dziewczyna pokraśniała.

— Dobrze, że pan rzekł — mruknęła.

Bohuszewicz już bez proszenia wódki wypił.

— A panna pewnie tańczyć lubi — zagadnął.

— Czemu nie, ale w swojej kompanii.

— A jakaż panny kompania?

— Wiadomo, Polaki.

— Tutaj nie ma Polaków. Chyba panowie po dworach. Ale przecie dobra kompania jest do tańca. Zbieramy się u starszyny, u diaka*, u naczelnika mojego z poczty, i zabawa idzie, że — nu! Beze mnie nigdzie się nie obejdzie, bo ja muzykant. Umiem i na harmonii, i na skrzypcach, i na gitarze, jak się trafi. Kto bawić się chce, to do mnie w prośby. Ja tylko na panińskie prośby gram, bo za pieniądze nie potrzebuję. Stary mój majątek ma. Ale jak panny proszą, to nie odmówię.

— Ho, ho, jaka łaska. U nas za granicą kawalerowie panny proszą, a tu na opak.

— Może by i tu dla panny kto wyjątek zrobił.

— At, obejdzie się. Można się i przy robocie natańczyć i naśpiewać.

Wstała i poczęła ze stołu sprzątać. Bohuszewicz urażony był, po chwili rozmowy pożegnał się i poszedł. Tego wieczora na wieczorynce u diaka był burkliwy i dla pańien lekceważący.

Od wczesnego ranka w kuźni u Kafara rozpoczynała się robota. Majster był zdolny, pracowity, trzeźwy, a nade wszystko umiał z ludźmi gawędzić. Za to kobiety prawie wcale się na miasteczku nie pokazywały. Matka pracowała w domu i w ogrodzie, a że okazała się wyśmienitą praczką, dostała klientelę urzędniczą, córkę oddała na służbę do doktorowej, lokatorki z dworu. Wszystko to wyszpiegował Iwan Bohuszewicz, który miał wiele wolnego czasu, bo zajęcia na poczcie kończyły się po południu, a resztę dnia spędzał na waleśaniu się po miasteczku, zalotach i pijatyce.

Iwan uchodził za pierwszą partię do zamażpójścia. Przystojny był, uczony, bo skończył powiatową szkołę, nosił surdut i czapkę z gwiazdą, umiał napisać prośbę do sądu, grał na różnych instrumentach i był domniemanym spadkobiercą starego, gdyż rodzeństwo jego przyrodnie, kaleki i chorowite, skazane było na wymarcie.

* d i a k — kleryk, psalmista.

Stary zaś, chociaż prawie bezustannie pijany, interesy dobrze prowadził. Dzierżawił cerkiewną ziemię w Krośnie, handlował bydłem i końmi, trzymał gminną stójkę* i z Żydami był w ciągłych konszachtach. Rachowano jego majątek na kilka tysięcy gotówki.

Iwan tedy był ulubieńcem panien miasteczkowych, mile widzianym w każdym rodzinnym domu. Swatano go zawzięcie. Chciał go za zięcia rządcą z Kozar, Siergiej Ułasow, faworyt generała, chciał mu dać córkę pan Saturnin Krośniański, mile gościła akcyznikowa* i diakowa.

I oto przybycie Wikci Kafarówny popsuło szyki pannom, rodzicom i swatom.

Iwan przestał bywać na wieczorynkach i stał się względem dziewcząt opryskliwym. Za to Wikcia, ilekroć ją doktorowa posłała na rynek, do rzeźnika, do magła, do sklepiku, spotykała nieodmiennie na drodze Bohuszewicza. Traktował ją cukierkami, orzechami i gadał o swej miłości. Dziewczyna śmiała się i drożyła, ale żadnych prezentów przyjąć nie chciała ani pozwalała na poufałość.

Do kuchni doktora wciskał się też często Iwan, niby po poradę, niby z jakim poleceniem ojca, przynosił gazety i zawsze bawił dłużej niż należało.

W miasteczku ta nowina o najpierwszym kawalerze prędko się rozniosła. Zawrzało od plotek, oszczerstw i zawiści. Kumoszki wzięły na języki Kafarów i o nikim innym mowy nie było.

Naturalnie Kafarowie sami nic o tym nie wiedzieli. Majster był na robocie w Kozarach przy gorzelnii, majstrowa miała wyżej głowy roboty z ogrodem, z domem, z praniem, nie należała do ciekawych i gadatliwych, gdy miała chwilę czasu, szła do kościoła lub szła w izbę.

Jesień już była późna, gdy usłyszała plotkę. Przyszła do niej po bieliznę służąca błahocznego, Olga, dziewczyna zahukana i wiecznie wylekła. Mówiła źle po polsku i zaczęła jąkać:

— Matuszka prikazała zabrać syna bieliznę, choć i nie prana. Już, każe*, nie da nic do prania.

— Czemu tak? Czy student wyjeżdża?

— Nie, on będzie do Roźdestwa*, ale tak za waszą docz* gniewa.

— Co jej moja córka zrobiła? Nic nie wiem.

— Jej to nie. Ale za Iwana musić zła.

— Za jakiego Iwana?

— A za Bohuszewiczaka, co się z nim wasza docz kocha.

— Moja! Wikcia? Co za łgarstwo!

— O, jej Bohu! Toż kochają się, wiadomo!

Kafarowa zacięła usta, oddała bieliznę i zaraz poszła do dworku wziąć córkę na spytki.

Nazajutrz, gdy Bohuszewicz jak zwykle spotkał dziewczynę i zagadał, skoczyła mu ze złością do oczu.

— A bodajby was na suche bory zły wichur poniosł! Czego wy się do mnie uczepili? Czego łazicie jak ta słota? Żeby mi przez takiego śmierdzącego kacapa na ludzkie języki się dostała i od mamy niesłusznie łajania miała słuchać! Idźcie mi z oczu i z drogi.

— Panno Wiktorio, ja przecie gotów się zenić z panną.

— Patrzajcie! Łaska mi czy honor. Ja nie chcę ni waszych miłości, ni oświadczyń. Jeszcze ja ani krzywa, ani dziobata, żebym swojego chłopca sobie nie dostała. Macie też dosyć w miasteczku swoich panien.

* s t ó j k a — urząd posterunkowego.

* a k c y z n i k — urzędnik pobierający podatek obciążający kupującego i użytkownika niektórych artykułów spożywczych i przedmiotów użytku.

* k a ż e (z ros.) — mówi.

* R o ź d e s t w o (ros.) — Boże Narodzenie.

* d o ć ' (ros.) — córka.

— A cóż to ja pannie taki przeciwny!

— A cóż to mi z panem za kompania? Wasze bogactwo mnie nie kusi, waszej familii nie chcę. Kto wy? Jaki? Czyj? Sami nie wiecie.

— A to ten pomocnik Rebeszki, ten cygański podrzutek, co u was wieczorami bywa, to lepszego rodu? Aha, to prawda, co ludzie mi gadali, że za nim przepadacie.

— A tak, przepadam, to co? Nie wolno mi? Jak chcecie, to wam powiem, że go miłuję, bo on mi swój, a wy cudzy i wraży. Nie umiecie po mojemu gadać, do Pana Boga mojego się nie modlicie, a wasza robota to tylko picie, rozpusta i próżnowanie. Wolałabym się utopić, jak z wami żyć i wstydzić się całe życie! A i znajomości z wami nie chcę, i gadać z wami nigdy nie będę, tak mi Boże dopomóż!

— Co się panna zaklina. Kiedy pannie miły jakiś podrzutek, czyjś tam bękart, to ja pluję w stronę panny. Między nami skończone, ale panna pożałuje po czasie.

Dziewczyna zatrzęsała się z oburzenia.

— A wy podły przechrzta i zdrajca. Duszy w was nie ma, wstydu i sumienia. Boga i wiary się wyparli, krzywdą zabogacieli, podłością żyjecie i na poczciwego chłopca plwać się ośmielacie!

Rzuciły jej się łyzy i łkając odeszła. Bohuszewicz, wściekły, wszedł do traktierni* naprzeciw kuźni i kazał sobie podać araku. Pił i przemyśliwał zemstę. O zmroku wyszedł zupełnie pijany.

Ujrzał, że kuźnia była otwarta. Kafar wrócił z Kozar tegoż dnia i zaraz się wziął do zaległej tymczasem roboty.

Bohuszewicz stanął w progu z papierosem w zębach i czapką na bakier.

— Ej, Galicua, świniarz. Słuchaj, dam ci dziesięć rubli za twoją dziewczkę. Przyrowadź mi ją.

Kafar musiał od żony i córki wiedzieć o awanturze, bo zachował całą zimną krew.

— Prześpijcie chmiel. Ze mną burdy nie uczynicie — odparł spokojnie, nie przestając raszplować* u warsztatu.

— Co ty ze mnie pijaka robisz, włóczęgo. Ja tutejszy grażdanin* i urzędnik, na majątku siedzę, a wy co? Cygańskie wołokity!

Kafar milczał. Poczerniała mu twarz i zaciął zęby. Bohuszewicz o krok się zbliżył.

— Nu, słyszysz, co ci mówię. Na, masz dziesięć rubli.

Nagle Kafar się wyprostował, pięści zacisnął.

— Won, durniu! — krzyknął. — Matkę twą zakatowali, a ty im duszę i ciało zaprzedał. Won, tu nie twoje miejsce! Ty rakarski pacholku!

Bohuszewicz przeraził się wyrazu twarzy, głosu, ruchu. Cofnął się za próg. Za nim Kafar drzwi kuźni zatrzasnął.

Po chwili pijak począł się znowu dobijać i krzyczeć. Nic nie wskórawszy, poszedł do furtki w ogrodzeniu posesji i pięściami w nią walił. Wreszcie zmęczony, coraz mniej przytomny, ruszył ku domowi. Tam go przyjęła macocha wymysłami.

— Rakarskie plemie, hycle, pijanice. Jednego ledwie z wozu zdjęli, a drugi, jak świnia, wraca. A pobrałby was czort obydwóch!

— *Małczat'**, ty muzycka* ścierka!

— Ty sam milcz, bo jak ja się odezwę jaki twój tatko, to gorzej muzyka się pokaże i skończy się wasze panowanie.

Pasierb zamierzył się na nią pięścią, ale stracił równowagę i upadł na ławkę. Zaraz też zachrapał, a kobieta, plunąwszy nań z dziką nienawiścią, zamknęła dom i poszła do kuchni.

* traktiernia — jadłodajnia, knajpa.

* r a s z p l o w a ć — obrabiać raszplą (tarnikiem — stalowym pilnikiem) miękkie metale lub drewno.

* g r a ż d a n i n (ros.) — obywatel.

* m o ł c a t' (ros.) — milczeć.

* m u ż y c k a (z ros.) — chłopska,

Siedziała tam stara mieszczańka znaczorka, z którą od dawna Bohuszewiczowa miała konszachty.

Nazajutrz Iwana zbudziło szarpnięcie za ramię, stał nad nim ojciec. Stary roztył się, ocieżał, twarz miał apoplektycznie czerwoną i wiecznie ponurą.

— Co ty! Pijany wrócił, na rynku się rozbijał, macochę wyłajał! Jak śmiesz! Uradnik* do mnie z uwagą przychodził. Aż u przystawa słyhać było. Z poczty cię wyrzuca, gałganie!

Iwan siadł i chwilę zbierał zmysły.

— Kto to moją matkę zakatował? — spytał nagle.

Stary aż o krok się cofnął.

— Kto tobie to gadał? — krzyknął.

— A macocha — odparł przekonany, bo mu się wszystko w głowie pomieszało.

Stary zawrócił i wpadł do kuchni.

— Ty co Iwanowi nagadała o matce, o katowaniu! — wrzasnął, pięścią w stół bijąc.

— Ja jeszcze więcej jemu powiem, jak się ośmieli na mnie szczekać! — odparła zuchwale kobieta. — Wy sobie zbytnio nie pozwalajcie. Ja wszystko wiem!

— Milcz, suko!

— Nu, nu, sam milcz! Ja się na stryczek wziąć nie dam, choć i nie żołdat*. A swego syna pilnujcie, oczko w głowie, krasawiec, hultaja i darmożjada kawałek, a pije jak ostatni. Jeszcze on ławy ostrogów* nieraz powyciera. A spytajcie po Żydach, ile długów ma!

Bohuszewicz milcząc wyszedł, wrócił do syna.

— Słuchaj, Iwan. Dosyć w domu tej swarki i nahulał się ty do woli. Tobie pora żenić się i na swój chleb iść. Tej jesieni przed postem wesele zrobim.

— Nu i co mnie ojciec da?

— Dam ci cerkiewną fermę. Budyńki są, dom nowy, kontrakt jeszcze na dziesięć lat.

— Ja by wolał gotówkę. Ja nie przywykłem gnój trząść i za pługiem chodzić.

— Gotówki nie dam, a gospodarować to cię teść nauczy.

— Jaki teść?

— Ano którego wolisz. Albo Ułasow, albo Krośniański.

Iwan się zamyślił. Trzeźwiał zupełnie i ogarnęła go nagle okropna żałość.

— Co ja zrobił! Co ja zrobił! — zastękał i począł płakać jak dziecko.

— Co ty? Zdurzał? Co tobie?

— Tatu, ratujcie mnie! Idźcie do kowala Kafara. Ja sobie śmierć zrobię, jak się z jego dziewczyną nie ożenię. A z żadną inną, żebyście mnie rznęli.

I płakał, i czołem bił o stół.

— Czyś oszalał? To on ma dziewczynę? A niedoczekanie, żebyś jakąś wołokitę do rodu przyjmował!

— To mnie do innej i nie ciągnijcie. Żebyście i wykleli, i wypędzili, nie ożenię się, ino z tą.

— Dureń jesteś! Wytrzeźwiesz się, to opamiętasz. A na przyszłą sobotę z Nataszą Saturnina cię zaswatam, a za miesiąc wesele zrobimy.

I z tym postanowieniem odszedł do swych interesów. Gdzieś w głębi spaczzonego sumienia to małżeństwo syna z Krośniańską uważał za pewien rodzaj zadośćuczynienia.

Iwan czatował na Wikcie na rynku. Chciał ją przeprosić, przez nią trafić do rodziców. Był przybity i pokorny. Ale czatował na próżno, dziewczyny nie było. Na drugi dzień wkręcił się do kuchni doktora i znalazł inną służącą.

— A gdzie to Kafarówna? — spytał.

Dziewczyna z miasteczka, która znała całą historię, roześmiała się.

— Ho, ho, daleko. Odesłali starzy za granicę.

— Co pleciesz!

* u r a d n i k (z ros.) — podoficer policji.

* s o l d a t (ros.) — żołnierz, żołdak.

* o s t r ó g (ros.) — ciężkie więzienie.

— A ot, przekonacie się. Nie ma już i śladu po niej, spytajcie sami kowala, jak nie wierzycie.

Ale Iwan nie śmiał w kuźni się pokazywać i posłał na zwiady znajomego. Ten mu wieść potwierdził, dziewczyny nie było ni w domu ni w miasteczku. Chłopaka ogarnęła rozpacz. Przeszedł na pocztę, siedział jak osowiały w domu.

Ojciec wedle programu w sobotę pojechał do Krośny, wrócił pijany, a w niedzielę oznajmił synowi, że Nataszę dla niego zaswatał.

— Ja jej nie wezmę. Jak chcecie, bierzcie ją dla Pawluka. Był to jego przyrodni brat, kaleka i idiota.

— Milczeć! — wrzasnął Bohuszewicz. — Pojedziesz ze mną na zaręczyny, dziś wieczór.

— Nie pojedę!

— To idź won z domu, na swój chleb. Dzisiaj przepiszę wszystko na żonę, a tobie figa!

— Jak sobie chcecie. Ja z Nataszą się nie ożenię.

— To kogóż chcesz?

— Gadałem wam. Kafarównę mi swatajcie!

— Choroba na ciebie. Ja tobie mówię: Krośniańską albo Ułasówna, a nie chcesz tych, to won!

— Co mnie straszycie! Pójdę i sam!

I wyszedł. Zabrał swe rzeczy i wyniósł się do znajomego mieszczanina.

Obadwa się zacięli w uporze i minęło tak parę tygodni. Pewnego dnia zjawił się w kuźni Kafara stary Bohuszewicz.

— Nu, nu — rzekł gorzko — zapłacili wy mnie za gościnę, za znajomość. Nu, nu!

— A cóżem wam zawinił? Zda się, każdą waszą robotę i pierwszą robię, i taniej liczę — odparł Kafar.

— Nie o robotę chodzi. Możecie taniej robić, myślicie potem się odbić. Na chłopca pułapkę zastawili.

— Wasz chłopiec mnie szpetnie złażał po pijanemu i dziewczynie mojej dokuczał. Tylko dlatego, że wasz, to mu wybaczyłem i nie zwałem rzemieniem. A pułapek stawiać nie myślałem, bo dziewczyna moja nie dla waszego syna i umyślnie ją do swojaków odesłałem, żeby i pozoru nie było.

— To jej tu nie ma? A ja chciałem na to dziwo popatrzeć, co chłopca zdurzyła! — roześmiał się grubo Bohuszewicz, rad, że sprawa tak się układa.

Kafar milczał poruszając miechem.

— Nu, coście się tak nadęli? — zagadnął bogacz.

— Jak baby na rynku plotą, wybaczyć można, ale wam nie pasuje plotki powtarzać. Mojej dziewczynie bałamuctwo nie w głowie, a byście w swaty przyszli, nie dałbym jej w wasz dom. Ona u mnie jedna i ledwie podlot, nie spieszymy komu oddać, nam potrzebna. Wasz syn napastował ją i na obmowę podał, chamska to rzecz i hańba! Macie majątki i dostatki, ale wasz syn chwały wam nie czyni, jak i to całe bogactwo.

— Wy to pewnie z grafów jesteście!

— Nie, ja tylko Polak i katolik, i mieszać się z nijakimi nie będę innymi. U was inne rachunki z Panem Bogiem i hambicją, a u mnie inne. Dlatego nie turbuję się o to, co baby plotą. Moja dziewczyna, by ją i smagali, nie pójdzie za waszego syna, bo my ją po swojemu chowali.

— Ja się o to nie turbuję, bo mi prędzej włosy na dłoni porosną, niż na takie małżeństwo pozwolę, ale chłopaka zdurzyliście i zbuntowali. Dom porzucił, służbę porzucił. Wasza to sztuka.

— A może i nie moja, a całkiem inna.

— Czyja?

— Wasza. Niejedno wyście też porzucili i zapomnieli, i jego nie uczyli. Nie macie teraz na niego sposobu.

— Nu, nu, mam! I dobry. Wróci, jak głód zdusi. Kafar ramionami ruszył obojętnie.

Ku kuźni jechał wóz pełen kapusty. Na wierzchu leżał jakiś duży żelazny przedmiot i siedziała dostatnio ubrana kobieta. Obok, trzymając lejce i bat, szedł Marcin Krośniański.

Zajechał przed kuźnię, zdjął żelazo i pożegnał ukłonem kobietę, oddając jej lejce.

Kafar i Bohuszewicz wyszli do progu.

— A cóż to panna Natasza bez parobka na targ? — zagadnął stary.

— Przy okazji kapustę przywiozłam. A na co mnie parobek, kiedy pan Marcin był.

Kafar spod brwi patrzył na syna.

— Co to za robota? — burknął.

— Pan Rebeszko mnie tamtej niedzieli do Krośny posłał, młocarnię naładzić. To cepy przywiozłem starte — odparł chłopak, jakby się tłumaczył, i z ukosa patrzył na Bohuszewicza.

— Wygodę ma z pomocnika stary szelma Rebeszko — zaśmiał się mieszczanin. — Wszędzie się tobą wyręcza, a pewnie złotówkę dziennie płaci. Plunąłbyś na niego i na swoją rękę robił.

— Taka była umowa. Za naukę odsługuję. Zresztą już niedługo. Za miesiąc do wojska staję.

— I wezmą cię, samosiejku. Siemaszkowa cię dobrze ekonomicznym chlebem wyhodowała.

I roześmiewszy się grubo, stary poszedł w stronę wozu z kapustą.

— Nie ma to paraliżu na takiego! — warknął Marcin.

— A tobie po co było leżeć na robotę do tamtego, Rebeszko u diabła by robił za rubla! — rozdrażniony zawołał Kafar.

— Kazał, musiałem.

— Iz dziewczką paradujesz po rynku. Byłeś w Grelach? Widziałeś Wikcię?

— Byłem cały wieczór.

— No to idź do matki, opowiedz się i przychodź pomagać do młota. Wolałbym psy kuć niż dla Saturnina robić.

— Żeby do Żyda zawiózł, nie byłoby jak do matki pójść. Z dziewczką tośmy całą drogę gadali o naszym kościele.

— A jej co do tego! Niech swej cerkwi pilnuje. I tobie do niej też nic! Żadna kompania.

Chłopak milcząc wyszedł.

Gdy Natasza sprzedawała kapustę i załatwiła sprawunki, zajechała wozem pod kuźnię, uwiązała konie i weszła.

Mężczyźni kończyli robotę. Usiadła tedy na boku i przyglądała się im milcząc.

— Jeszcze godzinę czekać. Zmarznie panna. Proszę pójść do Michała — rzekł stary.

— Mnie nie zimno. Ale to pan Marcin cały dzień nie jadłszy pracuje.

— Cóż to panna taka o niego troskliwa! — rzucając jej ukośne wejrzenie burknął Kafar.

— Tatko przykazał, żeby dbać o stół, i dał dwa złote na dzisiejszy wikt, to może co przynieść. Dopiero na noc dowleczy się do domu.

— Dziękuję, niegłodnym — rzekł Marcin.

— Tatko kazał i majstrowi zapłacić, ile pan Marcin starguje.

— To panna cała gospodyni w Krośnie.

— A cóż! Ja jedna.

— To jak panna pójdzie za Iwana Bohuszewicza, to całą szlachecką ziemię trzymać będziecie.

— Mnie ten pijanica niepotrzebny. Tatko jutro staremu pieniądze za wódkę odwiezie. Tatko może i sam cerkiewny folwark w arendę wziąć.

— Czemu nie, zabogaciał! — zamruczał Kafar. — Może i kupić ziemię. Ma prawo.

— Nawet targuje kawałek od Kozar.
— Nowe panowie będą z was. Nu, gotowe!
Wyprostował się i począł narzędzia zbierać.
— Ile za robotę? — spytał Marcin.
— Pięć rubli.
Chłopak spojrział nań zdziwiony.
— Co? Drogo wam się zdaje? Może krośniański pan płacić biednemu Kafarowi!
— Dajcie trzy ruble! — rzekł Marcin do dziewczyny, wydobył kiesę i dołożył dwa.
Potem dźwignął cepy i ułożył na wozie. Kowal przyglądał mu się w milczeniu, z twarzą bardzo posępną.
— Dobranoc. Niech będzie pochwalony! — rzekł Marcin zbierając lejce.
— Czekamy ciebie za tydzień.
— Będę niezawodnie. Niech panna siada.
Wóz ruszył i zniknął w ciemności.
— Niech go biorą do wojska, choćby jutro! — zamruczał Kafar zamykając kuźnię.
Marcin siedział bokiem na drabinie i milczał. Dziewczyna skuliła się na słomie i grzebała w tobołkach napełniających spód wozu.
— Jest kiełbasa, bułka i wódka. Może pan zje — ozwała się wreszcie.
— Dziękuję. Jadłem u kowalów.
— To pan u nich bywa i w domu?
— Bywam. Oni mi swoi.
— I za tydzień pan u nich będzie?
— A tak. Umówiłem się o kwaterę na parę tygodni. Przed wojskową służbą trzeba obszyć się i opruć, i oporządzić. To mi kowalowa obiecała wszystko sprawić.
— U nich bardzo ładna córka?
— Ładna i na osobliwość miła dziewczyna.
— A jakże oni panu swojacy, kiedy pan tak, jak i my, krośniański?
— Ja mówiłem, że oni mnie swoi, bo Polacy i katolicy.
Dziewczyna umilkła. Konie wlokły się powoli, po błocie, w ciemności. Pan Marcin począł pogwizdywać.
— To ona będzie czekać, aż pan z wojska wróci? — zagadnęła dziewczyna.
— Kto taki?
— Ano kowalówna.
Roześmiał się.
— Panna myśli, że para z nas będzie? Choćby nas tylko dwoje było na świecie, to nie.
— Pan ich tak chwali. Myślałam, że pan jej kawalerem, żeście się zmówili.
— Głupi bym był z dziewczyną się zmwiać i na cztery lata na kraj świata iść i wierzyć, że na mnie czekać będzie.
— Ot dziwo. Na miłego czekać i dziesięć lat warto.
Znowu umilkli. Marcin konie zaciął, bo się wydostali na lepszą drogę.
— To pan swoje dwa ruble kowalowi dołożył? — zagadnęła znowu dziewczyna.
— Niech mam za karę, żem z góry nie stargował.
— Pan to hambit ma, że aż dziwo. A ja tatkwowi powiem, jak było.
— Hambit to cały mój majątek.
— Jużci nie cały! — zaśmiała się. — Rzemiosło pan ma w rękach, a śpiewanie to już chyba najzazdrońsze bogactwo. Jak pan przy robocie śpiewa, to człowiek musi płakać słuchając. Nudno stanie, jak pan nas odejdzie. U nas to nigdy wesela nie ma. Ojciec nigdy się nie odezwie, matka chorowała bez przestanku. Ciągłe robota i robota, a troska, a turbacja.
— Pójdzie panna Natalia za męża, to się i dola odmieni.

— Nie wiadomo, co sądzone. Kto miły, ten daleki i swatów nie przysyła. A kto się trafi, to wszystko nie luby. Już i wolę, że ojciec rad mnie trzyma dla wygody. Będę na miłego czekać.

— A może jemu przyjść nie wolno?

— Czemuż?

— Tak mówię sobie! Jaż nie wiem, kogo panna chce. Różne przeszkody są.

— A jakież pan myśli? Chyba nie ma skłonności.

— Czasem za skłonnością nie wolno iść. Ot, na ten przykład, żeby ja nie wiedzieć jak wielką miał skłonność do ekonomówny z Kozar, to mnie nie wolno się o nią starać.

— Ot, znalazł pan przykład. Toć ona ospowata i już stara.

— Nie dlatego, ino ona Ruska. Nie zadaję ja hańby wierze, każdemu swoja dobra, ale dlategoż każdy w swojej powinien żyć, w swoim kościele ślubować. A że tak nie wolno, to i mnie nie wolno. I w tym mój hambit trzymam.

— Pobierają się przecie ludzie różnej wiary. Ot, Harbaruk wziął Polkę Oleszkiewiczównę, Ohicki także Anusię Deremerównę, Bohuszewicz po polsku ochrzczony i Kulikowski z Suhaków ekonom ożenił się z Lubą nastawnik^{*}. Wszyscy u nas pomieszani, a dobrze żyją. To pan jeden tak myśli, bo nie ma prawdziwej skłonności do Ruskiej.

— Żebym się i do wariacji zakochał, tobym sobie raczej śmierć uczynił, niż od wiary odstąpił.

Dziewczyna otuliła się chustką, naciągnęła ją na oczy i przestała mówić. Po chwili postyszał Marcin, że płacze.

— Co pannie? Jaż, broń Boże, nie posponuję waszej wiary ani co rzekł naprzeciw. Może wasz miły nie takie ma dumki, tak się zgadało tylko!

— Już by pan nie kpinkował i nie udawał — wyjąkała dziewczyna.

— A dalibóg nie chciałem ubliżyć. Toć znam pannę Natalię od dwóch lat i wielkie mam uznanie i przyjacielstwo, i nie znaleźć na świecie pannie równej i z urody, i z charakteru. Zęby bym wybił, kto by na pannę niezyczliwe słowo rzekł, i rad bym pannie nieba przychylił.

— Co mi z tego! Przecie pan za równą sobie mnie nie ma! Ot, gadał pan ze mną jak z jaką Paraszą czy Hrypą, a w pogardzie ma, że ja Ruska. Będzie panu miłsza Julka Miłoszówna albo Kostusia Sernicka, bo do kościoła chodzą, a koszuli na grzbiecie nie mają z hultaj siwa.

— Do nijakich panien ja nie chodzę ani z żadną gadam. Nawet ich i nie znam, i w tę stronę nie patrzę. Karabin żonką mi będzie przez cztery lata, a potem i do śmierci w kawalerskim stanie będę.

— I, albo to prawda?

— Ot, przekona się panna.

— A z Ruską za nic pan się nie ożeni?

— Nie. By z najmilejszą — nie!

— Takie to i miłowanie pana!

Nie odezwała się więcej ani słowem, aż do domu, i zaraz na wstępie opowiedziała ojcu o zdzierstwie kowala. Pan Saturnin, człek żółty, zgryźliwy, nie patrzący nigdy ludziom w oczy, zamruczał niechętnie, że trzeba było robotę do Żyda zawieźć.

— Ten przybłęda niechby wracał, skąd przyszedł. Nam tu zagranicznych nie trzeba.

— Oj, trzeba! — zaprzeczył Marcin. — Może nauczą lepszych porządków. Tam u nich lepiej się dzieje. Czytałem książki. To i pijaństwo mniejsze, i złodziejstwo rzadsze, i owoce przy trakcie dojrzewają, i ludzie się uczą i czytają.

— Za morzem wół po groszu. To, komu tam się podoba, czemu tutaj siedzi i ludziom w głowach przewraca?

— Kowal złych rzeczy nie uczy ani opowiada.

^{*} n a s t a w n i k (ros.) — nauczyciel.

— Ale biedy ludziom nawlecze na głowy. Z Oziernej do niego chodzą jak do adwokata, a chłopów z Pachółków i Siennej też buntuje. A to sprawa przepadła, stare bajki. Tutaj ruski kraj.

— Ruskiemu ruski, Polakowi polski. Ozierna zawsze się opierała, a ludzie z Pachółków i Siennej do chłopów ino przypisani, a szlachtą są.

— Jak kto zapisany u władzy, takim ma być. Marcin ramionami ruszył.

— Komu z tym wygodna, to dobrze! — mruknął niechętnie i wstał, by iść spać do szopy na siano.

Nazajutrz o świcie był już przy robocie w stodole, opodał Natasza międlila len, stary poszedł do cegielni. Marcin nie śpiewał tego dnia i pracował jeszcze pilniej niż zwykle. Zawołała go dziewczyna na śniadanie, podziękował, przyniosła mu tedy po chwili misę apetycznej zacierki z mlekiem.

— Pan już i jeść u nas nie chce! — rzekła żałośnie. — A robi pan za trzech, żeby prędzej skończyć i odejść.

— Ojciec panny wilkiem na mnie patrzy, a panna i dzień dobry dziś nie rzekła. Naraziłem się wczoraj, to i śmiałości nie mam.

— Ja też i pozdrowić nie śmiem, kiedy my panu takie wrogi, takie cudze.

Usiadł na belce i począł jeść.

— Może niesmaczne?

— Z panny rąk to bym piolet za cukier jadł.

— Porzuć pan kpiny. Ja już nabrałam rozumu od wczoraj. Nie godzi się śmieszki stroić.

— To widać panna Natalia mojej mowy nie zrozumiała wczoraj. Ot, pojutrze robotę skończę i pożegnam, ale panny to nie zapomnę całe życie.

— Albo to prawda! Jakby tak było, toby pan do wojska idąc, wstąpił pożegnać i z wojska by pan napisał list, jak żyje, i wróciwszy, zaszedłby przywitać. A to pan ucieknie, jak od wrogów. Bożeż mój, Boże, za co ja taka biedna!

Zerwała się i uciekła płacząc, a chłopak, jakby zarażony, wrócił do topora i raz wraz rękawem ocierał oczy.

Ucieknę chyba dzisiaj w nocy, bo nie wytrzymam, myślał z desperacją.

Wieczorem wrócił stary z cegielni, zasiadł do liczenia dziennego zarobku, potem do wieszery.

— A gdzież mechanik? — spytał.

— Mleka się napił i spać poszedł. Skończył młocarnię.

— Nie może być? Sam? Toć na trzech było.

— Tak ci i robił. Albo to jaki cham!

— Rubla dziennie bierze, to niech się stara.

— Toć Rebeszko zabiera i jemu daje tylko czterdzieści groszy.

— To dureń, kiedy tak. Pewnie myśli, że córkę Rebeszki dostanie, a stary, byle chłopca do wojska wzięli, wesele wyprawi ze Smólskim.

Dziewczyna sprzątała statki, posłała łóżko ojca i poszła do swego alkierzyka.

Po chwili psy poczęły ujadać, targnął nią niepokój, wyszła na podwórze i podeszła do gumna, psy ujadały u bramy.

— Kto tam? — spytała.

Cień człowieka zamajaczył, poznała.

— Co to? Pan idzie? — wyszeptowała.

Noc była chłodna, szron się szklął na ziemi. Marcin był w kozuszkę z torbą narzędzi na ramieniu.

— Pomyślałem, że lepiej na noc iść. Do Rebeszki świat drogi, dzień roboczy tracę. On sam po rachunek się zgłosi do waszego ojca. Ja robotę skończyłem. Można jutro młócić.

— Ot i pożegnanie pańskie. Jak z turmy ucieka.

Stała ledwie odziana, bosa, z odkrytą głową, trzęsąc się cała.

— Przeziębci się panna. Toć mróz.

— Mnie lepiej śmierć niż takie życie. Po co mnie żyć, jak pan odejdzie. Boże mój, Boże! I nawet dobrego słowa na rozstanie ja nie warta.

— Natałka! Ja za sobą i słońca nie widzę! — wyjąkał chłopak. — Od przeszłego roku, od jarmarku na Pokrowę to ino o tobie myślę. Ale mnie nie wolno, nie godzi się.

— Toć ja za tobą pójdę, wszystko rzucę. Już rok przepłakałam, przetęskniłam. O Jezu, ja twojej wiary będę, ja zginę za nią, z tobą. Ja na ciebie czekać będę, ino rzeknij, że mnie chcesz, ino pożałuj!

Chłopak rozpiął kozuch, ogarnął ją, na ręce wziął i poniósł do szopy z sianem, gdzie nocował... Przed świtem dziewczyna wróciła do swego alkierza, on szedł do Rebeszki.

Zaślubieni byli młodym, szalonym kochaniem, związani na życie, na dolę i niedolę. W trzy tygodnie potem stanął do poboru: został przeznaczony do saperów w Moskwie.

Kafarowie zaopatrzyli go w odzież i grosz, ale odprowadzić nie mogli, by nie wzbudzić podejrzeń. Pożegnał chłopak Wikcie w Grelach, popłakali się Siemaszkowie, starzy i niedołężni, że już nie mieli nadziei dożyć jego powrotu, pobłogosławiła go pani marszałkowa. Rebeszko dał świadectwo fachowe, żeby mu do wojskowych warsztatów służyło, a wreszcie podkraść się wieczorem do Krośny i wywabił za ogród Natałkę.

Poszli oboje do zamkniętego starego kościółka, poklekli u progu i przysięgli sobie wiarę. Chłopak mówił, powtarzała za nim, wicher jesienny zawodził im smutnie, ale oni się nie lękali, czuli, że przetrwają i ostaną.

Potem przesiedzieli chwilę, trzymając się za ręce, wśród chwastami porośniętych grobów krośniańskiej szlachty i Marcin jej swe dzieje opowiedział, jako żonie i dozgonnej towarzyszce.

— Żebyś wiedziała, kogo czcić i szanować, do kogo po pomoc i naukę iść, i jak wiele człowiek przenieść może, kiedy duszę uchować postanowi! — zakończył z wielką powagą.

— Nie powstydzicie się mnie. Zobaczysz.

A miała w sobie zapamiętanie i upór, i czuł, że mu dotrzyma przysięgi.

Nazajutrz poszli rekruci do powiatu i zimna martwota pokryła okolicę.

Okolo Bożego Narodzenia zachorował ciężko Bohuszewicz i posłał po syna, który zgodził się na pisarza u pana Białozora i z ojcem godzić się nie chciał.

Macocha niechętnie, ale musiała spełnić rozkaz chorego i Iwan przybył.

Stary miał atak paraliżu, bezwładną rękę i nogę, ale żył i był zupełnie przytomny.

— Nu, ze mną już koniec! — rzekł do syna. — Trzeba tobie panem tutaj być, rządzić i pilnować. Ja już trup.

— Jeszcze się poprawicie. Stary się pogardliwie zaśmiał.

— Nie, już po wszystkim. Będę ot, leżał jak drewno i pokutował. Od pokuty nie skryjesz się, nie uciekniesz. Ty zostań. Bez ciebie ot i wody nikt nie poda. Baba wygląda i modli się, żebym prędej skończył. Tobie mus żenić się, bo ta nas potruje.

— Podzielcie wszystko, niech bierze swoje. Ja z wami zostanę, weźmiemy sługę. Żenić się nie chcę.

— Toć ci żadnej nie narzucam. Chcesz, bierz tę Kafarównę. Niech ją starzy sprowadzą.

— Niedaleko ona. W Grelach służy. Ale nie chce mnie.

— Ot, gadanie. Sprowadź mi starego. Zgodzi się. A teraz posłuchaj o robocie i interesach. Trzeba ci wszystkim się zająć.

Iwan był jakiś inny. Stracił swą beczelność i swawolę. Powierzchnownie się nawet zmienił. Włosy przystrzygł, brodę ogolił, nie nosił wyszywanych koszul i czarnej bluzy. Dawno też odjął znaczek urzędowy od czapki i nie grywał po wieczorynkach.

Na żądanie ojca ze służby się uwolnił i osiadł w domu, i wziął się do roboty.

Stary z łóżka dawał mu rozporządzenia i chłopak cały dzień był na folwarku lub jeździł po jarmarkach.

Tak nadeszły święta. W dzień Wigilii ponuro było u Bohuszewiczów. Gospodyni na drugiej stronie domu, u siebie, warzyła i piekła, stroiła swoje dzieci. Mężczyźni byli u siebie.

Iwan wrócił o południu od gospodarstwa i siedział pod piecem, stary jak zwykle leżał nieruchomy i stękał.

— Ogarnij się na wieczór. Pójdź gdzie — rzekł do syna.

— Nie chce mi się. Gdzie się mam włóczyć. Posiedzę z wami — odparł apatycznie.

— Na kutię twoje rodziny były. Dwadzieścia cztery lata temu. Pamiętam, wróciłem z furmanką wieczorem, a tu bab pełen dom i świekra mi mówi na progu: „Syna masz, ale wieczera to jeszcze nie warzona.” Tak i byli bez kutii.

Stęknął i umilkł.

— Mówiłeś Kafarowi, żeby do mnie zajrzał? — spytał po chwili.

— Nie miałem śmiałości.

— Ot, to pójdź dziś przy święcie. Idź, powiedz, że mam interes, on dziś nie robi pewnie.

— A jak wyłaje i wypędzi? Wtedy głupio ja zrobił, teraz mi wstyd.

— To przepróż i powiedz, że ja bez mocy.

Iwan zaczął się zbierać. Przebrał się, naciągnął nowy kozuch i poszedł.

Pod furtką długo się wahał i bardzo serce mu biło, gdy próg przestąpił. U studni skrzypiał żuraw, spojrzął i do reszty odwagę stracił. Wodę wyciągała Wikcia.

Poznała go i zlekła się. Porwała wiadro i skoczyła do domu.

Iwan po chwili wahania wszedł za nią i spotkał w sieni Kafara.

— Ojciec mnie przysłał z prośbą — zaczął chłopak nieśmiało.

— A co trzeba? — szorstko spytał kowal.

— Bardzo proszę, żebyście wstąpili do niego. Wiecie, że bezwładny leży już miesiąc.

— Powiedzcie, że którego dnia przyjdę.

— On na dziś prosi.

Kafar wszedł do kuchni, zapewne by żony się poradzić, i ukazał się w kozuchu i czapce.

— To chodźmy! — rzekł.

Gdy szli przez rynek, Iwan się odezwał:

— Wybaczcie mi tamtą głupotę. Coś mnie wtedy opętało i kaję się bez przestanku. Odrzekłem się od wódki, do ust nie biorę. Wybaczcie.

— A słyszę, lepiej o was mówią! Ja urazy nie chowam, kiedy sami czujecie, że głupio zrobili. I ojca pocziwie doglądacie, to dobrze o was mówi.

— Przemieniło się we mnie wszystko. Inaczej teraz rozumiem, jak trzeba żyć. Głupim był.

— Z takiego defektu, jak kto chce, wyzdrowieć można! — odparł życzliwie Kafar.

Weszli do izby chorego, Iwan potarł zapałkę.

— Przyszliście! Dziękuję wam. Godziło się pierwaj starego znajomego odwiedzić! — rzekł Bohuszewicz. — Ot, co mnie zostało. Siądźcie! Cóż u was słychać?

— Dziękaj Bogu, robota jest i chleb jemy.

— Nie suto chleba, kiedy dziewczynę w służbę oddali.

— W Grelach jej jak w domu. Niech się wytrze między ludźmi. Moja kobieta jeszcze zdrowa, da rady robocie gospodarskiej.

— Słuchajcie no, majster. Chciałbym tę waszą dziewczynę zobaczyć. Przyprawdźcie ją do mnie w święto.

— Co osobliwego! Dziewczyna jak wszystkie.

— Przyprawdźcie?

— Nie. Niepotrzebne.

— To jakże będzie? Ja bym ją chciał poznać i dostać dla mego chłopca!

— Nie będzie z tego nic.

— Czemuż hańbujecie? Zapiszę na nich zaraz posesję cerkiewnego folwarku, dobry interes, będą panować! Żonce zostawię ten dom, tym kalekom pieniądze. Rozdzielę za życia wszystko. Iwan mnie do śmierci u siebie dotrzyma.

— Mnie nic do waszych rachunków i dostatków, już wam mówiłem: my z innego kraju ludzie, my w takim pomieszaniu nie potrafimy żyć. Wy Ruskie, my Polaki, wy bogacze, my biedne.

— Jaż po polsku chrzczony! — odezwał się Iwan.

— I ja nie przeszedł, jak się drugi raz żenił.

— Jako zapisane, nie wiem, ino wiem, jak jest. Wasza posesja, wiecie, czyja była?

— Nu, stare historie. Nie wezmę ja, weźmie i zarobi inny, a co było, nie wróci. Trzeba żyć!

— Pewnie, ale trzeba i umierać. Pieniądze tu trza zostawić, a z duszą tam iść. A waszego chłopca Iwanem nie ochrzcili, ino tak się nazwał dla wygody i korzyści. A u was w domu nie nasza mowa, nie nasz obyczaj. Zagryzłaby się i zapłakała moja dziewczyna, dławiłyby ją te dostatki. Dajcie tej dziewczce pokój, nie będzie z tych dwojga pary.

W tej chwili psy poczęły zajadle kogoś obszczekiwać, otworzyły się drzwi i dwóch ludzi weszło do izby. Był to stary Adam, stróż cmentarny, i jakiś obcy.

— A co tam? Czego? — spytał Bohuszewicz.

— Gość dziś do mnie się przybił — rzekł Adam. — Przyprowadziłem go do was na poradę.

— No, to siadajcie. Co za gość? Wasz syn może?

— Nie poznajecie mnie? Prawda, dziad ze mnie.

Bohuszewicz przyjrzał się uważnie obcemu.

— Nie przypominam sobie was. Co? Może który z Krośniańskich?

Kafar się też bystro weń wpatrzył i milczał.

— Feliks Krośniański jestem — rzekł obcy.

— Toście jeszcze żywy. Iwan, przynieś no co wypić i zakąsić.

— Nie trzeba. My tylko na moment. Wróciłem, bo do swoich kątów tęskno było. Dwoje dzieci tam pochowałem, jeden wtedy przepadł. Przyszedłem po to jedno, co mi wtedy skradli, jak matkę zabili. Pamiętacie?

Bohuszewicz głową skinął.

— Oboje my katolicy byli. Dziecko błahoczynny po swojemu ochrzcił i dotąd za sługę trzyma. Byłem dziś u niego, wyłajał i wypędził. Powiada, że dziewczynę wychował i że nie odda. Ja go za opiekuna nie prosił ani prawo miał wiarę jej gwałtem narzucić. Ja do sądu pójdę. Będziecie wy świadczycy?

— Przeciw błahoczynnemu? Nie macie to innego świadka? Ot, Adam zaświadczy. Wiecie, że ja cerkiewną ziemię dzierzawię. Nie mogę przeciw błahoczynnemu stawać. A zresztą prawda jego. Dziecko wychował, koszt miał.

Kafar bez słowa wstał, wziął czapkę i ku drzwiom się skierował. Poskoczył za nim Iwan, przytrzymał za rękaw, już w sieni.

— Powiedźcie mi, jak ojca proszę, coście kiedyś rzekli o matce mojej, o jakichś jenisiejcach. Co to było? Jak?

— Po co to wiedzieć! Z nimi wzrosłeś, z nimi zostań. Z nimi korzystniej, bezpiecznie, wygodnie.

— Toć muszę wiedzieć. Zlitujcie się!

Stali na rynku wprost ciemnego kościoła.

— Krótka historia. Matka twoja córka organisty była. Wtedy pułk jenisiejki w miasteczku stał. Popili się jenisiejcy, napadli na wasz dom, ojciec w izbie nie był. Porwali kobietę, urodziwa była na pokaz, wywlekli w chaszczę i ojciec zaduszoną znalazł rano! Dziękujcie im, łapy liź, służ, masz za co!

— Jezu! — jęknął chłopak. — A ojciec co?

— Toć słyszałeś. Ojciec krośnieńską, zagrabioną szlachcie ziemię trzyma i na niej zabogaciał i ot, świadczyć nie chce za tym starym, któremu i to ostatnie dziecko wzięli! Rozumiesz, że mojej dziewczynie nie dam żyć w takiej kompanii. Co wspólnego między wami? Może być szczęście z takich dostatków?

— Jezu! — powtórzył Iwan i raptem zawrócił i poszedł szybko ku domowi. Na progu spotkał wychodzących dwóch starych.

— Podawajcie ojca za świadka — zawołał. — Ja ręczę, że powie prawdę!

I wpadł jak burza do izby.

W kilka godzin potem, gdy dzwony zaczęły wołać na pasterkę, od Bohuszewicza wyszło czworo ludzi. Kobieta z dwojgiem ułomnych dzieci poszła ku cerkwi, parobczak do kościoła. I było to pierwszy raz, że Iwan nie był na nabożeństwie z resztą rodziny.

Zaraz po nowym roku Feliks Krośnieński podał do sądu skargę na błahocznego o oddanie mu córki; jako świadka przedstawił starego Bohuszewicza. W miasteczku o niczym innym nie mówiono. Feliks miał pieniądze, kupił dom i ogród na mieszczańskiej ulicy, zagospodarował się. Dziad był jeszcze krzepki i zawzięty, ale ludzie twierdzili, że za takie zuchwalstwo osadę mu odbiorą, a jego odeślą, skąd przyszedł. Odgrażał się też bardzo błahoczynny i pewnego wieczora zjawił się u Bohuszewicza. Zaczął dobrotliwie, pytał, jak się czuje, rał leki, potem żartobliwie spytał, co mu też ten oszust miatieżnik obiecał za fałszywe świadectwo. Stary spode łba ponuro spojrział.

— A wy, otiec błahoczynny, ile za to weźmiecie? — odparł. — Chyba coś macie z dziewczyną, że ją gwałtem i fałszem trzymacie.

— Nu, chory jesteś, to ci wybaczę ten raz głupie słowo. Ale tylko ten raz! Nie dbam o twoje świadectwo. Dziewczyna znajda, wychowałem ją i będę trzymał, ile mi się podoba. Sprawę wygram, choćby i w senacie. Ale że z tobą dobrze żyłem, ślub dawałem, dzieci chrzcilem, to cię ostrzec przyszedłem. Ty gęby w tej sprawie nie otwieraj, bo źle będzie.

— Ii, mnie już gorzej nie będzie. Moje za mną. Pochować mnie ojciec musi, a więcej to mi nic nie trzeba.

— Tobie nie, ale dzieciom. Jeśli świadczyć będziesz, to z dzierżawy fora.

— Mój chłopiec i tak dłużej trzymać nie chce tej ziemi. Tylko do wiosny inwentarze dotrzyma wedle kontraktu i ustąpi.

— Natychmiast ustąpi.

— To i lepiej, bo było w cenie, sprzedamy zaraz.

— I będziesz świadczyć przeciwko swej wierze, przeciwko mnie. Do święconej ziemi ciebie po śmierci nie przyjmę, zdrajcy!

— Zdrajca ja wtedy był, jak swą pierwszą wiarę zmienił. Dla mnie nie ma świętej ziemi. Mnie niczym nie nastraszyicie, prawdę powiem.

W tej chwili wszedł do stancji Iwan niosąc wieczерzę choremu.

— Z folwarku każe błahoczynny zaraz ustąpić — rzekł doń ojciec.

— Komu zdać? — spytał chłopak skwapliwie.

— Mnie, jutro, kiedy ci tak pilno!

— Wiadomo, że mnie trzymać cerkiewnej ziemi nie wolno, to się i wolę prędzej pozbyć.

— Czemu tobie nie wolno?

— Bo ja nie prawosławny.

— Aha, nie masz się czym chwalić. Dotychczas szanowałeś wiarę całej rodziny.

— Żadnej nie zachowywałem, jak pies żyłem.

— A teraz ci się ta Polaczka spodobała?

Iwan nic nie odrzekł, zapałały mu tylko oczy.

— To ty ojca buntujesz! Ostrożnie. Władza będzie wiedziała, jakiś ptaszek.

— Wasza wola i siła. Róbcie, co chcecie! Wszędzie ludzie żyją: i tu, i na Sybirze. Zdrowe mam ręce, chleba zarobię.

— Może i bez pracy ciebie będą karmić.

Iwan ramionami ruszył.

— I tak wytrzymam.

Wyszedł błahoczynny nasrożony i zły. Po miasteczku poszedł jakiś prąd niechęci dla Bohuszewiczów, dużo strachu, by się nie narazić władzy, trochę też zawistnej radości, że bogacz skapcanieje. Dowiedziano się, że go wyrzucono z dzierżawy.

W kilka dni potem, w nocy, ktoś zaczął dobijać się do plebana, w murach klasztornych. Kościelny otworzył. Wpadł Iwan Bohuszewicz, żądając, by go natychmiast prowadził do proboszcza. Ksiądz, zbudzony nagle, przyjął go z największą pasją.

— Czegóż? Co się stało?

— Ojciec mój umiera. Prosi, by ksiądz przyszedł. Ale i chwili nie można stracić, bo kona.

Chłopak był blady jak trup i zęby mu szczękały.

— Kto ty? Czyj! — krzyknął ksiądz.

— Bohuszewicz.

— Toć twój ojciec prawosławny. Jak śmiesz mnie trwożyć na darmo! Umiera, to ma swego spowiednika.

— Ojciec błaga, jęczy, żeby ksiądz przyszedł.

— Wynos się! Co to! Chcecie mnie zgubić! Myślicie, że taki głupi? Mnie nie wolno iść do takich. Wyprowadź go, Rochu!

— Konający ma prawo... — jęknął Iwan, ale go Roch pociągnął i wyprowadził, drzwi za nim mrużąc zamknął.

Iwan po pustym placu zatoczył się jak pijany, nie wiedząc co czynić. Wreszcie skoczył do Kafara, jał stukać w szybę. Kafar po chwili wyszedł na pół odziany, naciągając kożuch.

— Ojciec kona! Ratujcie...

— Po doktora leć!

— Już sprowadziłem. Powiada, że nie ma ratunku. Otruła go, otruła!

— Kto?

— Macocha. Dziś wieczór przynosiła, od kilku dni się łąsi, dogląda! Otruła. On wie, że umrze, ryczy, jęczy księdza naszego! Byłem, ksiądz nie chce. Co robić?

— Leć do Feliksa! Niech ze dwóch mieszczan sprowadzi, może chce zeznać przed śmiercią. Ja tam pójdę. Leć!

Gdy Kafar do izby umierającego wszedł, aż się przeraził ryku, który napełniał pokój.

Bohuszewicz siny był, straszny, oczami pełnymi grozy patrzył w jeden kąt i to ryczał, to dzikim głosem z kimś niewidzialnym gadał.

— Przyszłaś, twoja prawda. Diabli mnie wezmą. Aaa! Powiem, powiem, nie patrz tak straszno, wszystko powiem. Aaa, kiszki mam żaru pełne. Ratujcie, pali!

Żony nie było. Doktor i parę kumoszek krzątało się po izbie. Na widok Kafara doktor go na stronę odwołał.

— Warto sprowadzić przystawa. To nieczysty wypadek. Gdzie syn?

— Zaraz tu z ludźmi przyjdzie. Czy on przytomny?

— Nie na długo już. Może godzinę. Przerwał im znowu straszny głos:

— Stało się, coś gadała! Kto ty? Skąd wiesz? Nie widziałaś, a wiesz! Nikt nie wiedział. Ja miał prawo zabić, mnie zabili! Wódki dajcie. Iwan, księdza, ja chcę wrócić! Ja przeklęty. Zabili mnie, piekłu zaprzędali, a teraz struli! Księdza, ja wszystko powiem.

W tej chwili drzwi się szeroko rozwarły, poprzedzony przez żonę wszedł błahoczynny z diakiem i zaczął przyodziewać szaty ceremonialne. Diak zapalał świece woskowe, kobieta padła na kolana. Doktor i Kafar usunęli się na bok. Duchowny zaintonował modlitwę.

Bohuszewicz zaryczał, zawył, wyprężył się tragicznie w swej martwocie paraliżu, jedyną wolną lewą rękę wysunął w pięść zwiniętą.

— Iwan! — zawołał rozpacznie. — Nie daj mnie!

Zziajany, bez tchu chłopak wpadł do izby, do ojca przyskoczył.

— Tatku, ludzie przyszli, Feliks, Marcin, Stefan, i u przystawa byłem. Uspokójcie się. Powiedźcie, co macie rzec, niech ludzie słyszą, zaświadczą.

— Gdzie ksiądz? — wybełkotał umierający.

— Nie przyjdzie. Nie może. Mówcie ludziom!

— Nie przyjdzie — powtórzył Bohuszewicz i naraz ucichł, przemógł ból, zebrał zmysły i począł mówić powoli, jakby dyktował.

— W strawie, co wczoraj zwarzyła Tekla, ta żona, trutka była. Dwa razy już mnie truła, kwaśnym mlekiem się odratowałem, teraz już dojechała. Umieram. Wart ja takiej śmierci, bom zabijał. Za polskiego powstania, przed laty, to ja wieszał tych żołdatów na dębie krośniańskim, ja sam wszystkich pięciu udusił i powiesił. A dusił za żonę, którą mi porwali i zamordowali. Szlachta za mnie zginęła. Ja winien, szlachtę wysiedlili, zniszczyli zaścianek*. Tej nocy, co ich w plen* gnali do miasteczka, Feliksa Krośniańskiego żona porodziła córkę i zmarła. To dziecko błahoczynny zabrał ojcu gwałtem, ochrzcił i zapisał jako znajdę. To ja zaświadczam pod przysięgą i niech ci, co mnie słyszą, po mojej śmierci na sądzie powtórzą. A potem ja pił i spokoju w sumieniu nie miał, i szatan mnie opętał. Zmieniłem wiarę, zatraciłem duszę. Do czarta pójdę, nie chcę waszych modlitw, waszego rozgrzeszenia, waszego cmentarza. Idźcie stąd precz, precz, precz, nie tykajcie mnie! Iwan, stań tu blisko, zasłoń mnie, mów pacierz twojej matki umęczonej. Weź moją rękę, przeżegnaj, mnie tak straszno.

I wtem znowu porwały go boleści, wyprężył się, oczy wytrzeszczył, że aż z orbit wychodziły, zajęczał przeraźliwie.

— Babo, babo żebraczk, kto ty, kto? Gdzie na mnie kiwasz? Po co przyszłaś? Kto ty? Kto? Aaa!

Zachrapał, stęknął i ucichł.

— Wieczny pokój, wieczne odpocznienie racz duszy jego dać, Panie — rozległ się głos Kafara.

— A światłość wiekuista niech mu świeci — odpowiedzieli Feliks i Adam Krośniański.

Błahoczynny zdjął swe szaty oficjalne, wychodził z diakiem, spotkali we drzwiach stanowego*.

— Protokół piszcie. Ja go chować nie będę i za sto rubli. W pogaństwie skończył.

Trup leżał już na wszystko obojętny. Urzędnik począł rozpytywać obecnych, kazał przywołać żonę, nigdzie jej nie znaleziono, zaczął tedy coś szeptać z doktorem i wyszli do sąsiedniej izby. Mieszczanie i gapie wysunęli się cichaczem, bojąc się zamieszania w sprawę. Krośniańscy, Kafar i Iwan poczęli nieboszczyka do trumny ubierać. Po chwili stanowy zawołał Iwana.

— Słuchaj no, chcesz sprawy z macochą? Chcesz, żeby trupa przed śledztwem rznąli, ją zesłali w katorgi? Albo chcesz, żeby wszystko było cicho?

Chłopak się zawahał, zląkł się, spojrzął na doktora.

— Ojciec twój w ostatnich momentach był już nieprzytomny — rzekł doktor.

— Mnie o moje nie chodzi. O macosze milczeć będę, co słuszne jej oddam, ale córkę Feliksa niech błahoczynny odda.

— A tamci będą milczeć?

— Ja radzę, żeby nie było sprawy, radzę, żeby milczeli. Dla ich i twojego dobra radzę — z naciskiem rzekł przystaw.

* z a ś c i a n e k — wieś zamieszkała przez drobną szlachtę, która sama uprawiała ziemię.

* p l e n (z ros.) — niewola.

* s t a n o v o j (ros.) — przystaw, naczelnik policji.

Iwan wyszedł i po długiej chwili wrócił.

— Jeśli córka wróci do Feliksa, będziemy wszyscy milczeć.

— Jutro będzie u ojca, a wy tu wejdźcie podpisać protokół.

Zaczęli pisać z doktorem, skończywszy, obejrzał się. Stali dwaj starzy Krośniańscy i Iwan, czekali w ponurym milczeniu.

— Kto więcej był? Mieszczanie? Kowal?

— Nie widzieli my — odparli starzy.

— Błahoczynny był — rzekł Iwan — macocha.

— Nu, mniejsza. Wystarczy tych dwóch! — przerwał przystaw i począł czytać krótki urzędowy raport. — Śmierć była naturalna, konający był nieprzytomny, mówił bez związku, podejrzeń o nagły zgon nie było na nikogo.

— Nu, podpisujcie! — krzyknął skończywszy.

Ruszył się stary Adam szukając okularów w kapocie, gdy wtem w głębi domu powstał hałas, pisk, jęk, skamlanie i wpadła garbata dziewczyna, przyrodnia siostra Iwana.

— Mamasza, mamasza! — piszczała przeraźliwie.

— Co tam? Co się stało? — krzyknął urzędnik.

— Mamasza na świronku! Wisi, nieżywa!

Porwali się wszyscy, na podwórzu już migały światła, gromadzili się ludzie i rozległ się stłumiony gwar.

Gdy przystaw, rozpychając gapiów, wpadł do świronka, ujrzał kobietę wiszącą na sznurze o cal od ziemi.

— Noża! Doktorze! — krzyknął.

Ktoś przyskoczył, przeciął sznur, ciało osunęło się na ziemię, doktor się pochylił, przyklęknął, badał chwilę i powstał ocierając ręce.

— Już zimna. Pewnie przed godziną się to stało.

— *Skatina!** — mruknął przystaw. — Narobiła nam śledztwa i pisaniny. Na nic protokół.

Odwrócił się i rozpędził gapiów.

Kowal Kafar podpisać protokołu nie zechciał.

— Gdy o mnie przystaw spyta, powiedz, że podpiszę, jeśli i błahoczynny podpisze. Feliksowi o córkę chodzi, wam z władzą zadzierać nie wypada. Ja człowiek bez tutejszych praw, nikogo się nie boję. A milczeć będę, bo i po co mówić. Nie wróci szlachta do ziemi, z Sybiru i z grobu, nie zwrócą kościoła, a temu, co w ostatniej chwili grzechy wyznał, niech Bóg będzie miłosierny.

Dopomógł złożyć ciało na tapczanie, pacierz zmówił i poszedł do domu.

Poszeptali z żoną długo i nie zasnęli już tej nocy, wzburzeni i stare dzieje wspominający.

Raniutko Wikcia pobiegła na miasto i przyniosła wieść o samobójstwie Tekli. Zapłakana była i przejęta.

— Tak ci szkoda trucicielki! — mruknęła matka.

— Nie daj Boże, takie nieszczęście i taka hańba razem, w jedną noc. Toć trudno strzymać.

— To się tak nad tym pijakiem i gburem litujesz? Wstydu nie masz. Może się w nim kochasz?

— Czy to zaraz kochanie, jak kogo pożałować w biedzie. On ci zresztą już i was przeprosił i przemienił się. A wiecie, matusiu, kogom spotkała na rynku? Natalię Krośniańską, taka blada i mizerna! Pytała mnie, gdzie Marcin służy.

— Coś rzekła?

— Ano, że w saperach w Moskwie.

— A jej co do tego?

— Mówiła, że ojciec mu coś nie dopłacił i chce odesłać.

* *S k a t i n a!* (ros.) — bydlę!

Kafarowa wzruszyła ramionami i wzięła się do roboty. Wikcia pobiegła do kuźni ze śniadaniem dla ojca i zastała już tam pełno ludzi gadających o Bohuszewiczach. Krążyły już potworne bajki, każdy leciał do Kafara zasłyszawszy, że świadkiem był; opowiadano, że błahoczynny pogrzebu odmówił, że szlachta wróci do Krośny, że za winy ojca ześlą Iwana, że skonfiskują na karę ich ziemię, że on także był otruty i leży chory. Co raz przybywał ktoś z nową wieścią. Słuchał Kafar, słuchał, wreszcie zniecierpliwiony rzekł:

— Ale ja wam powiem, że za takie różne gadki i bajki całe miasteczko pod śledztwo wezmą i zamkną wszystkich na parę miesięcy w powiecie. Wtedy się nauczycie milczeć!

Po tłumie dreszcz przeszedł, poczęli się oglądać i rozchodzić, i szeptem tylko opowiadać.

Tymczasem władza rozpoczęła śledztwo. Wzywano świadków, zjechał śledczy i powiatowy doktor, zaroilo się od policji.

Mieszczanie wylękli się i zaparli nawet swej bytności przy zgonie, Feliks i Adam, że słyszeli cośkolwiek, sprawę prowadzono tendencyjnie niedbale, puszczono panikę na całe miasteczko, starano się zająć zasmarować.

Ostatecznie w trzy dni po śmierci pochowano Bohuszewicza i Teklę, wieczorem o zmroku parobek błahoczynnego odwiózł do Feliksa dziewczynę z kuferkiem i pościelą, i w miasteczku zapanowała cisza.

Szeptano, że gdyby Iwan chciał, toby mu i dzierżawę cerkiewnego folwarku zwrócono, ale on po przejściu ostatnich dni do roboty się wziął i ludziom się nie pokazywał.

Dopiero w kilka tygodni zjawił się u Kafarów. Był to wieczór, kobiety snuły przędzę, Kafar narządzał tkacki warsztat. Przyjęto go bez zapachu, ale i bez niechęci, nie przerywano roboty, a on przywitawszy się, na kuferku pod ścianą siadł i czapkę swą baranią, mieszczańską miętosząc w rękach milczał.

— Cóż tam u was słychać! Omłóciłeś już wszystko? — spytał Kafar.

— Już.

— A cóż rodzeństwo robi?

— Paweł na telegrafistę chce się uczyć. Wyjechał do Wilna, a dziewczyna siedzi, szyje. My się już z Pawłem podzielili i rozpisali przy świadkach. On wziął spłatę, tysiąc rubli, a dziewczyna dostanie trzysta, jak dorośnie. Grunt, budynki i inwentarz moje.

— Można żyć pracując.

— Żebyż to moje! — mruknął. — Właśnie chciałem od was rady, bo gryzę się jak dzień, tak noc!

— A o cóż ci chodzi?

— Po tym, co ojciec wyznał, czy mnie godzi się te dostatki sobie zatrzymać?

— No, albo co?

— Wiecie, przez kogo zginęła szlachta z Krośny. Ojciec umarł bez spowiedzi, bez rozgrzeszenia. Za jego duszę ksiądz mszy nie chce odprawić, błahoczynnego w ostatniej chwili ojciec odepchnął. Toć on na tamym świecie miejsca ni pokoju nie ma, a ja tutaj mieć nie mogę. Trzeba ratunku szukać.

— Byłeś u spowiedzi? — zagadnęła Kafarowa.

— Chciałem, ksiądz nie przyjął. Powiada, że może mieć nieprzyjemność o mnie. Ja, prawda, tyle że w kościele ochrzczony, ale potem ani religii się nie uczył, ani do spowiedzi chodził. W szkółce błahoczynny zakon* wykładał, a potem z tamtymi na mszy w cerkwi bywałem, a do sakramentu nikt nie napędzał, to i tak żyłem. Nie umiem nawet pacierza, liter nie znam w książce, co po matce ostała i com znalazł w skrzyni teraz.

Wikcia przestała zwijać motek krasnej wełny i zadumała się, zapatrzyła w niego i posmutniała jej hoża twarzyczka. Kafarowa pokiwała głową, a Kafar wyprostował się i rzekł:

— Ot, co się w tym kraju porobiło. Jeszcze żyją ci, co po lasach ginęli za tę wiarę i za tę mowę, a ot, młodzi już i nie wiedzą, co to jest.

* z a k o n (ros.) — religia.

— Skąd wiedzieć mamy? Ja i nie słyszał.

— Ale bluźnić i poniewierać toś umiał. Tego cię nauczyli. Dzieci na matkę plwają, tacy jesteście! — wybuchnęła Kafarowa.

— Jak rady prosi, nie czas przypominać minione — rzekł Kafar. — Słusznie mówi, kto go oświecić miał? Z grobów chyba nieboszczki wołać, bo żyjący, choć i pamięta, to się lęka przyznać albo wstydzi, albo nie chce pamiętać, boć z tej mowy i wiary ani chleba jeść, ani kieszeni napchać, ani sławy i nagrody osiąść. A ludzie tutaj to nie z ciała i duszy złożeni, ale tylko z brzucha i kieszeni, i stemplowej bumagi*!

— To co mi robić radzicie? — szepnął Iwan.

— Ucz się, kiedy chęć masz. Wikcia, daj mu elementarz, na półce leży!

Dziewczyna sięgnęła za obraz święty i podała mu wytartą książeczkę. Zaczął z zajęciem przeglądać.

— To łatwo pojąć. Teraz długie wieczory, za tydzień już zrozumiem. Żeby zaś nie dokuczać często, to może mi jaką z pacierzem dacie. Prosiłem księdza, powiada, że książek polskich nie wolno rozdawać, że jak by znaleźli, to by miał nieprzyjemność. Ale ja dobrze schowam i nie powiem, skąd mam. Nie bójcie się!

— Ja! My! Bać się! — zaśmiał się zuchwale Kafar. — U nas tylko dusza droga, a tej największe królowanie w dokuczliwościach i prześladowaniu. Możesz zostać, za godzinę robotę skończymy, pacierze będziemy odmawiać, odmówisz i ty z nami, a książki, jakie mam, dam ci bez żadnej obawy.

Gdy po pacierzach Iwan wyszedł z elementarzem i katechizmem w zanadrzu, Kafarowa, wyprawivszy córkę spać, napadła na męża.

— Po co go hołubisz? Ojciec Krośnę zgłębił, syn ci córkę zdurzy. Chcesz zięcia Bohuszewicza?

— Po cośmy tu wracali? Nie dla brzucha i kieszeni, bośmy i tam byli syci i dostatni, i nie dla Krośny, bo nie nasza ona i nie odzyszczem. Wrócili z tęsknicy i z przywiązania do tego, za co się tyle męczyli. I mamy odepchnąć takiego, co naszym chce być? Dziewczyny nie zdurzy, twoja córka jest, a jeśli Bohuszewicza syn naszym zięciem ma być, Boskie zrządzenie i wyrok!

— To ty się zgodzisz może, żeby Saturnina córka była ci synową!

Kafar skoczył.

— Skąd ci to przyszło! To za nic.

— Pytała kiedyś Wikci o adres Marcina!

— Głupstwo — mruknął tknięty strachem i aby przerwać rozmowę, począł półgłosem odmawiać pacierze.

Sprawa Bohuszewiczów w miasteczku ucichła. Za to zaczęto sobie opowiadać, że Natasza Saturnina wygląda podejrzanie i że ojciec co dzień ją bije i z domu wypędza. Ale w końcu lutego pewnej niedzieli ujrzeli ją ludzie na rynku, przywiozła prosięta na sprzedaż, i kumoszki zdecydowały, że to plotki, co złe języki na dziewczynę prawią. Podczas nabożeństwa Natasza była w kościele, więc po sumie zaczął ją Iwan Bohuszewicz.

— Cóż to, panna Natasza do nas teraz chodzi?

— Niedawno i pan Iwan tu bywać zaczął! — odparła.

— Tatko, jak się dowie, to będzie złował!

Ruszyła ramionami.

— A pan Iwan to za kawalera Kafarowi znowu służy?

Chłopak hardo się wyprostował.

— Po Wielkanocy już nasze wesele! — rzekł poważnie.

— Doprawdy? Ot, szczęśliwi wy! — zawołała.

* s t e m p l o w a b u m a g a (z ros.) — papier urzędowy, dokument.

Kafarowie wychodzili we troje. Przywitała się z nimi i zaczęła prosić kowalowej o nauczenie deseni tkackiego na ręczniki.

Z początku wymawiała się Kafarowa, ale dziewczyna tak pokornie, a smutnie się usunęła, że zrobiło się jej przykro i zawołała na nią.

— Przy święcie warsztatu ruszać się nie godzi, jak byś powszedniego dnia przyjechała, to pokażę.

Natasza rozpromieniona pocałowała ją w rękę i odeszła.

— A ty po co hołubisz Saturnina córkę! — mruknął do żony Kafar.

— Niech przyjdzie. Wyrozumiem, czy to być może, co ludzie plotą! — odparła.

Nazajutrz już Natasza się zjawiła. Przyszła piechotą pomimo silnej śnieżycy i kopnej drogi.

Kafar był przy robocie, Wikcia u doktorowej, Kafarowa tkła wzorzysty kilim.

— Rozbierz się i ogrzej. Zaraz skończę i będę ręczniki na warsztat zakładać, to desen zrozumiesz.

Dziewczyna zdjęła futro i przyglądała się robocie.

— Coś zmarniałaś od jesieni! — rzekła Kafarowa. — Prawda to, że u was swary w domu?

— Skąd u nas co dobrego ma być? Teraz jeszcze gorzej stało.

— Czemuż to?

— Bo ja od ojca chcę odejść.

— Powiadają, że to on cię wygania.

— On mnie tylko bije, a ja sama odejdę.

— Dokąd?

— Nie wiem. Kędyś w bór.

Odwróciła się i cicho poczęła płakać.

— To prawda tedy, co na ciebie gadają, bezwstydną ty?

— Ja nie ze wstydu płaczę i gryzę się. Nie łajdaczka ja ani się z łajdakiem zadałam. My sobie ślubni i poprzysięgali na życie wiarę na progu kościoła w Krośnie. Nie my pierwsi, nie my jedni, ani z rozpusty tak przyszło, ino z biedy, że nam nie wolno inaczej żyć. Byli tacy, co w takiej biedzie we dwoje byli, a mnie samej za dwoje chytróść mieć, bo on nieborak nie poratuje mnie ani pomoże.

— On wart, by mu w oczy napluć, a ciebie słusznie ojciec bije! — wybuchnęła Kafarowa.

— Ojciec mnie bije, bo za leśnego z Kozar iść nie chcę, a nie chcę, bo męża mam.

— Tak ojcu powiadasz?

— A tak, bo się jego złości nie boję. Niech on się boi Boga, co wszystko wie. Żeby nie ojcowska chciwość, Wiktor Krośniański przyszedłby do sąsiada Saturnina o dziewczynę dla swego chłopaka prosić, a żona Wiktora bękartem by wnuka nie zwała i pozaliłaby się synowej sieroty, jak matka. A tak, Wiktorów chłopak znajdą jest, Wiktorów wnuk znajdą będzie. Nie ma mi nijakiego wstydu, bylebym na zgubę duszy naszego dziecka nie dała. Wróci on kiedyś, da Bóg, to razem kędyś pójdziemy szukać ślubu na papierze, a tymczasem ślubnam mu przed Bogiem i On mnie nie opuści!

Kafarowa już dawno nie tkła, jak skamieniała słuchała. Dziewczyna mówiła spokojnie, twardo, nie skarżyła się ani prosiła o co.

— Czegoś ty przyszła? — wymówiła wreszcie kowalowa.

— Na was popatrzeć! — szepnęła dziewczyna i nagle złamał się jej głos, zasły łzami oczy. — Jak na was spojrzę, to mi tak słodko, tak strasznie dobrze. Niczego więcej nie chcę.

Znowu milczenie zaległo izbę.

— Latem to będzie! — rzekła wreszcie Natalka.

— A on wie?

— Nie! Gryzłby się i troskał.

— Żalować go, szelmę! — mruknęła.

- Chłopak mój serdeczny, dość tam ma męki!
- Pisze do ciebie?
- Pisał dwa razy. Mam listy.

Sięgnęła w zanadrze i z chusteczki jedwabnej dobyła zmięte częstym odczytywaniem dwa listy. Kafarowa wzięła i czytała.

Droga Natalko, żono moja najmilsza! Donoszę ja tobie, że już na miejsce dojechał i stanąłem na służbie w rocie mechaników. Bardzo mi smutno, że to tak daleko, i za tobą się turbuję, czy tobie nie dokuczają swatami. Inszy zostawi żonę u matki, to i spokojniej mu, a ty bez nijakiej opieki. Tutaj ile mi chleba zbywa, to sprzedam i zbieram pieniądze, i kupię dwie obrączki, i do kościoła zaniosę, i jedną tobie przyślę potem. Jak tobie będzie smutno a ciężko, to do naszego zamkniętego kościoła pójdziesz się pomodlić albo do matki pójdziesz. Choć ona i nic nie wie o nas, to ci dobre słowo powie, bo ona biedę zna gorszą od naszej. A zawsze pamiętaj, że męża masz, co ciebie z duszy miłuje i do śmierci nie opuści: tak mi, Panie Boże, dopomóż.

Kochający Ciebie mąż

Marcin Krośniański.

Złożyła Kafarowa list, rozłożyła drugi.

Najdroższa żono moja! Natalko! Donoszę tobie, że choć ta służba ciężka i mrozy straszne, ale zdrow jestem, porządki wszystkie znam i karany nigdy nie byłem. Z koszar na miasto raz tylko urlop brałem, żeby te obrączki kupić, a że się trafił Moszko Szabun z naszego miasteczka, co do domu wraca, to przez niego tobie list i obrączkę odsyłam. W kościele, na ołtarzu była i Panu Bogu nas poleciłem w modlitwie. Miałem już twój list i dziw mi, że już piszesz po naszymu. Daj tobie, Boże, zdrowie, a nie dopuszczaj do siebie żadnej o mnie turba—cji. Nijakiej dumki innej nie mam, ino o tobie i o swoich, a i przez sen was widzę. Tutaj narodu nie cisną, wolność każdy ma, ale żyć nudno bez swoich stron. Panu Bogu i Matce Boskiej Ciebie polecam.

Z duszy ciebie miłujący mąż

Marcin.

Kafarowa skończyła czytać, gdy skrzypnęły drzwi i wszedł Iwan Bohuszewicz.

Natalka zgarnęła listy w chustkę i schowała w zanadrze, a chłopak pocałował kowalową w rękę i rzekł:

— Wiozę pszenicę do pytła* w Kozarach, to wstąpiłem i po wasz przywarek*.

Ruszyła się Kafarowa do kuchni po zboże, a gdy Bohuszewicz dźwignął wór na plecy, rzekła:

— A wróc no, Jasiek, jeszcze do izby.

A tymczasem zawołała Natalkę do kuchni, naląła jej w kubek mleka, ukroiła kawał chleba.

— Posil się, nieboże, i ogrzej przed drogą. A zwracając się do przyszłego zięcia, dodała:

— Zabierz na sanie Natalkę i podwieź naprzeciw Krośny. Na piechotę w te zaspę to i ducha wyzionie.

Późnym wieczorem wrócił Bohuszewicz i poszedł do narzeczonej. W izbie Kafar zmęczony drzemał grzejąc plecy u pieca, Kafarowa z Wikcją zesnuwały przedzę w warsztat.

— Dowiozłem Saturniankę aż do ich folwarku! — rzekł Bohuszewicz po powitaniu.

— Coś taki elegancki! — mruknął Kafar.

— Matka przykazała.

— Ty? — zagadnął kowal zdziwiony.

* p y t e l — odsiewacz.

* p r z y w a r e k — resztki jedzenia, które osiadły na ścianie garnka podczas gotowania.

Kafarowa bez słowa skinęła tylko głową i spojrzała na męża. Po chwili on głową pokręcił i głęboko westchnął.

IX.

Do Podhorzec na wiosenne toki głuszców zjechało kilku myśliwych z Warszawy. Sam hrabia udziału w tym brać nie mógł, przykuty do fotelu podagrą, hrabina zabawiała gości co wieczór w salonach przy pomocy dwóch kuzynek. Trochę grano w karty, dużo flirtowano, śpiewano i tańczono.

Przez parę pierwszych nocy wyjeżdżali w bór, skradali się godzinami przez mokre bagna na dalekie halizny, gdzie się rozgrywały toki, ale pora była spóźniona, stanowiska już nieliczne, trudy ogromne, a dotąd upolowano tylko dwa głuszce, i te zabili nie panowie z Warszawy, ale chłop strzelec i Stanisław Hlebowicz, szlachcic, sąsiad Podhorzec.

Więc zapał myśliwych ostygł, woleli czas spędzać w salonach.

Jednego wieczora, gdy nadleśny Juriewicz przyszedł do hrabiego po dyspozycje myśliwskie, odpowiedziano mu, że nikt z gości na toki nie ruszy, żeby zapolował sam ze służbą leśną.

Pałac był oświetlony, towarzystwo wstawało od późnego, o szóstej, obiadu, przechodziło na zabawę do salonów.

Wychodząc z kancelarii spotkał Juriewicz w sieni Hlebowicza i rzekł:

— Może i ty z nami pójdziesz? Zamówiłem ludzi.

— Może by i Stefan miał ochotę?

— Et, zostaw go przy spódnicach. Tam jego miejsce.

— W każdym razie powiem i przychodzę. Wrócił po chwili.

— Powiedział, że o północy będzie u ciebie. Żeby na niego czekać. Ja pójde z tobą zaraz, tylko się przebiorę.

Weszli obadwa do gościnnego pokoju i Juriewicz wybuchnął:

— Wstrętny dla mnie ten chłopak! Zmarnują go baby ze szczętem.

— I ja się zawiodłem na nim. Co już mówić o babce! Nawet mnie o nią nie spytał. Zupełnie opętany przez kobiety, zdemoralizowany, zepsuty!

— Szkoda! — westchnął Juriewicz.

Mieszkanie nadleśnego leżało dość daleko od dworu, poza parkiem i zwierzyńcem, prawie na skraju lasów. Poszli pieszo, w pałacu rozpoczynały się tańce. Słychać było kołyszącą, kuszącą melodię walca. Wieczór był ciepły i cichy.

— Za późne polowanie czy za wczesna wiosna! — zauważył Hlebowicz.

— Za długi był karnawał. Nie mogli przecie i dnia darować. Wczoraj słyszałeś, jak wyliczali, ile który balów odtańczył. Czy takim głuszce w głowie?

W pałacu tymczasem tańczono. Stefan grał na fortepianie i patrzył na wirujące pary. Miał przesynt tej rozrywki przez karnawał i miał dziś wieczór przesynt wszystkiego, był pełen refleksji, buntu.

Stefan czasem, coraz częściej, miewał takie momenty, jakby otrzeźwienia. Patrzył na hrabinę flirtującą z Wernerem, milionowym przemysłowcem, patrzył na panów innych, uśmiechających się do niej poufale, patrzył na inne kobiety, podniecone, rozbawione i ścisnęło mu się serce bezgranicznym smętkiem i nudą.

No, i to życie? I co dalej? Skończył już uniwersytet, był człowiekiem dorosłym i dojrzałym, i co? Dotąd nic o sobie nie postanowił. Tkwił u dziadka, przy matce, beczynny, a wciąż niby zajęty czym? Tym, co ci wszyscy — zabawą, która tak pochłaniała czas i myśli, że zdawała się pracą. Matka cieszyła się, chełpiła nim, starsze panie zapraszały na wieczory i rauty*, młode go psuły względami, swatano go, mógł zrobić bardzo świetną partię, wszędzie był mile widziany. Żeby nie ta kusicielka, czarodziejka Liii!

* r a u t — uroczyste proszone przyjęcie wieczorowe.

Poszukał jej oczami po sali, nikt nie tańczył, w mniejszym saloniku panowie skupili się około baka*, panie spacerowały wachlując się. Hrabina z Wernerem znikli.

Stefan grać przestał i wyszedł do sieni. Nie szukał gospodyni domu, minęły czasy wiary, ufności, nawet podejrzeń i zazdrości. Już ją poznał i żadnych złudzeń nie zostało. Spojrzał na zegarek, wszedł do swego pokoju, przebrał się w strój myśliwski, wziął sztucer na plecy i wyszedł na podwórze. Ogarnęła go ciemność pełna woni pąków i cisza pełna pulsowania nowego życia. Głęboko odetchnął, odkrył rozpaloną głowę i wnrzył się w tę noc wiosenną jak zgrzany wędrowiec w toń wodną. Ogarniała go jakaś moc rzeźwa, chęć przestrzeni i ruchu, po chwili oczy nawykły do ciemności, ujrzał błękit ciemny nieba, drogę ku borom, nagie jeszcze gałęzie drzew, zorientował się i ruszył ku leśniczówce Juriewicza.

Teraz poczuł ciekawość wieści o tamtych, o babce, a zarazem jakiś lęk i zażenowanie. Im bliżej leśniczówki, tym to uczucie było silniejsze, parę razy chciał zawrócić, na próżno wmawiał w siebie, że czyni wolę matki, że jej nie może opuścić, że przecie nauki skończył, nic karygodnego nie popełnił, odstępca nie był — wracało uparcie. Wreszcie zaczernił dom, ogrodzenie, zawahał się na chwilę w bramce, spojrział na oświetlone okna, ujrzał, że były otwarte, posłyszał rozmowę wuja i Hlebowicza siedzących u komina, i mimo woli o parę kroków pod jabłonią stanął i słuchał.

— Wreszcie z czterystu zostało nas siedmiu — mówił Juriewicz. — Szliśmy już bez butów i trzy dni bez jedzenia lasami, aż widzimy pod lasem dwór. Zakopaliśmy broń w mrowisko i posyłamy jednego na zwiady. Chciałem ja iść, Święcicki mówi: „Masz żonę, dzieci, zostań, pójdę ja.” Poszedł, długo nie wracał, nas głód dręczył, poszło znowu dwóch i też przepadli. Tak Janicki i Budziski z głodu pokładli się i posnęli, a my z Kuleszą czuwamy i gryziemy szyszki. Raptem we dworze salwa, zerwaliśmy się. Nie ma naszych, mówimy, chodźmy stąd. Budzimy tamtych, tarmosim, nie chcą wstać, już podreptwili. Ja nie ułamek, Kulesza olbrzym, bierzemy ich na plecy i ciągniemy w gąszcze. Aż tu wrzask, tupot, świst, obkoczyli nas w mig, zwałił się Kulesza od kuli, mnie cięli szaszka* po łbie, tamtych stratowali i do mnie: „Prowadź, gdzie broń.” A ja tylko zęby zaciął, skurczył wszystką moc, myślę: Teraz sieczcie! I siekli, ale potem miesiąc nie wstałem z pryczy. Teraz się nie dziw, jak mówię, że to droga broń, znalazłem ją tej jesieni w tym samym mrowisku, umyślnie pojechałem i trafiłem, i znalazłem.

— Hrehorowicz też moc miał — rzekł Hlebowicz. — Opowiadał Olesza, co z nim siedział, że wziął tysiąc pletni przez tydzień, byle wydał swą partię, potem ułaskawienie miał, byle nazwiska rzekł.

— No, Hrehorowicz to jak stał był człowiek. Jak go wzięto, teść przecie byłby go wykręcił, wszystko było kupione, ucieczka przygotowana, paszport zagraniczny. Nie zechciał. Potem się nad nim pastwili za to!

— A syn tańczy z Podhorską! — ponuro mruknął Hlebowicz. Stefan, poruszył się i stanął w oknie.

— Nie tańczę! Jestem tutaj! — rzekł poważnie.

— To wejdź! Jeszcze nie północ! — odparł Juriewicz.

Młody człowiek wszedł i odezwał się:

— Wuj mnie potępia, że tańczę.

— Nie potępiam, tylko mi żal. Jak się w ogniu było, na popioły ciężko patrzeć. Ale ciebie nie winie. Jesteś dzieckiem czasu. Teraz tak. Całe pokolenie się marnuje. Gniazda zburzone, piskłeta rozproszona, strach, walka o chleb, żadnej idei! My dali wiele, myśleli dla dobrego, dla wielkiego, świętego, a ot najszczęśliwsi pono ci, co dali wszystko, duszę i życie. Twemu ojcu pod tym gładem leżeć lżej nim nam patrzeć na to, cośmy zdziałali. Waszego upodlenia duchowego my po części sprawcy. Nie mnie was winić i nie ty wyjątek. Mój Kostuś nie lepszy.

* b a k — skrót od bakarata, jednej z hazardowych gier w karty.

* s a s k a (ros.) — szabla.

— Gdzie Kostuś?

— Do Rostowa chce jechać, bo tam — mówi — kariera. Chce pieniędzy, stanowiska, urzędu! Prosi, stara się, szuka protekcji. Był tu u mnie na Wielkanoc, prawil to wszystko. Ha, no, ma rację. Uczyniłem go nędzarzem, zamknąłem mu wszelkie tu drogi, milczę. Ojciec twój tego już nie cierpi.

— Może Marynia go nawróci! — rzekł Hlebowicz. — Zostawiłem go w Skarbowcu.

— Do Grel jednakże nie ośmielił się pojechać — mruknął Juriewicz.

— Babka zawsze sama? — spytał nieśmiało Stefan.

— Siewrukówna Misia jest przy niej i Duszka.

— Nie wyszła Misia za mąż?

— Nie. Do zeszłej jesieni była nauczycielką, jakoś uprosiliśmy babkę, by ją wzięła. Toć siódmy krzyżyk dźwiga, a Duszka też niedołężna.

— Myślałem, że Kostuś z Misia się ożeni.

— Nie widzieli się od czasów Horbaczewskiej. At, dziecinada to była.

Na drodze jeszcze daleko turkot się rozlegał i dzwonek. Wstał Juriewicz i do okna podszedł.

— Gdzież to przystaw jedzie po nocy? — rzekł. — Jużci nie do mnie?

Dzwonek kołatał coraz wyraźniej, bliżej, turkot stawał się wyraźniejszy i wreszcie pod leśniczówką stanęła bryczka pocztowa.

— Kto tam? — krzyknął Juriewicz.

— To ja, ojczy!

— Kostuś! — porwał się Hlebowicz. — Co się stało? Marynia?

Dzieci? Juriewicz spiesznie zapalał lampę. Kostuś wszedł i nie witając się rzekł:

— W Skarbowcu wszystko dobrze, ale przyszła depesza, że babka śmiertelnie chora. Tyfus podobno. Marynia mię tu wysłała, sama za parę dni pojedzie, na powrót twój czeka. Wstąpiłem. Może ojciec pojedzie!

— A ty?

— Ja jadę! Jakże, natychmiast, tą samą pocztą.

— Ja z tobą!

Obejrzał się Kostuś, dopiero spostrzegł Stefana.

— Ty tutaj! Ach, prawda! W pałacu. Śpiesz się, za godzinę trzeba ruszać.

Uścisnęli sobie dłonie. Ruszył się i Hlebowicz.

— To ja się z wami zabiorę do stacji. Chodźmy do pałacu po rzeczy. Wstąpię do domu i za parę dni przyjedziemy z Marynią. Ty ją uratujesz, Kostuś.

— Co w ludzkiej mocy, zrobię.

Stefan już był na drodze. Ledwie go Hlebowicz dogonił. W pałacu tańczono jeszcze w najlepsze. Przebrali się, upakowali rzeczy, Stefan napisał słów parę do hrabiny i nikt w pałacu nie spostrzegł, jak wyszli do bramy, gdzie na nich już czekali Juriewicz.

Stary w milczeniu ucałował Stefana i ruszyli traktem piaszczystym wśród lasów ku stacji kolei. Milczeli długi czas, wreszcie Kostuś rzekł:

— Co twoja matka na to powie, Stefan?

Ten się ocknął jak ze snu.

— Matka? Nie myślałem o tym. Matka zdrowa, a tam muszę być! Jeśli przyjedziemy za późno, do śmierci sobie tego nie daruję. Czy to daleko? Kiedy będziemy?

— Jutro wieczorem. Koleją trzy stacje, ale tam końmi trzy mile.

— Miałeś jaką wiadomość z Rostowa?

— Miałem pomyslną. Chciałem już jechać, bo termin dwutygodniowy do stawienia się.

— A jakże ci się zdaje? Żle tam w Grelach?

— Najgorsze, że tam w miasteczku doktora w tej chwili nie ma. Uciekł podobno z głodu i nudy, a drugi o ośm mil. Już to kąć zakazany te Grele.

— Babka ma żelazny organizm. Nigdy nie choruje. Ja ci tak bardzo jeszcze nie ufam. Zatelegrafuję po doktora do Warszawy.

— I ja chciałem to zrobić! — rzekł Kostuś. — Owszem, sprowadzajcie, ale ja jej dopilnuję!

Ze stacji wysłał Hlebowicz depeszę i odjechał do domu; młodzi ruszyli dalej.

Gdy stanęli u kresu kolei, przypomnieli sobie, że był to szabas, bo nie znaleźli żadnej furmanki. Dopiero po chwili nadjechał wóz parokonnny, naładowany makuchem*. Zaczepili powożącego, żeby ich zabrał z powrotem do miasteczka, ale młody mieszczanin począł się wymawiać, że konie zdrożone popasać będzie.

Mówił czysto po polsku i twarz miał zuchowatą.

— Dam ci dziesięć rubli, wież zaraz — rzekł Stefan.

— To paniczom pilno! Jak na wesele.

— Nie wiesz, co w Grelach słycać? — spytał go Kostuś.

— Pani marszałkowa mocno chora, a Siemaszkę pochowaliśmy zeszłej niedzieli. Panicze znajome?

— Jużci, tam jedziemy, wnuki pani marszałkowej.

— To ja zaraz makuch zrzucę i zajeżdżam.

— A widzisz! My swoi! A ty z miasteczka?

— Ja Bohuszewicz Jan. Nie wie panicz?

— Toć wiem. Ojca znałem.

Po niedługim czekaniu siedzieli na słomie w wozie na swych tobołkach i jechali po rozgrzniętej wiosennej drodze. Mieszczanin koni nie żałował.

— Nie wiesz? Sprowadzili do Grel doktora? — spytał Kostuś.

— Onegdaj posyłałi aż do Lubienia. Ale niech się panicze nie gryzą. Gdzie by pani z Grel umrzeć miała? Tyle ludzi za nią Boga prosi i tyle ma opieki. Moi teściowie też wszystko na mnie zdali i tam siedzą. Panicz wie, Kafarowie, co z Galicji przyszli.

— Nie może być! Bohuszewicz dostał Kafarównę, to już nie do wiary. Winszuję ci!

— Może bym i nie dostał, żeby nie pomoc z Grel. Ojcowskie dziedzictwo drogę mi zagradzało. Szczególnie świekra się upierała. Aż Siemaszko za swata mi się ofiarował, daj mu, Boże, niebo. On jeden dobre świadectwo za ojcem dał. To w owe czasy, jak panowie po lasach się bili, młodego pana z Kozar wzięto i rozstrzelano. To Siemaszko zaświadczył, jak mu ojciec mój dopomógł trupa wykraść i pochować w świętej ziemi, i grosza za to nie wziął, i sygnet, co mu wraz z palcem oderznięli, od jeniejśców odebrał i oddał. Tak wtedy Kafary ustąpili!

— Szkoda starego Siemaszki! — westchnął Kostuś.

— Pochowaliśmy go jak jakiego obywatela.

— A nie wiesz, gdzie Marcin, jego wychowanek?

— Jeszcze w wojsku, tej jesieni wraca.

Stefan nie słuchał, co mówili. Rozglądał się po okolicy, wciągał w płuca powietrze i słuchał gwaru natury. Nad szarą jeszcze ziemią i—pleśnią zimową, nad ukazującymi się ruinami ozimin drżał błękit skowrończą pieśnią, po moczarach stroiły się żaby do wieczornego koncertu, woniało od pąków brzoźowych, tętniało od nowego życia. Czasami niewidzialne odzywały się dzikie gęsi w przestworzu. Droga mijala łąny zagonami znaczone, smugi łąk groblami ujęte, fantastyczne wiatraki, szare wsie, rozstaje znaczone wielkimi, bardzo starymi, walącymi się krzyżami, aż wbiegła w lasy. Były snadź gęste i olbrzymie, teraz po części wyrąbane i zniszczone.

— Czy to w tych lasach było? — spytał Kostusia.

— Było i w tych. To rządowe, patrz, widzisz trybę, to wtedy takich dużo wycięli polując na ludzi.

* m a k u c h y — ubite wyciśnięte nasiona oleiste, cenna pasza dla bydła.

— Panicz tu pierwszy raz? — spytał Bohuszewicz.

— Pierwszy. To syn tego, którego twój ojciec z Siemaszką wykopali, by pochować. Syn kozarskiego pana.

— To paniczowi pewnie nie wolno było dotąd tu przyjechać. Pani marszałkowa z samej radości wyzdrowieje... Że też Siemaszko nie doczekał!

— Czy to już Grele? — rzekł Stefan na dwór widoczny dalej wskazując.

— Nie, to Ozierna, szlachecka okolica. Takich pełno było, ale schłopieli i przeszli. Ci zostali, upierają się. A widzi panicz, hen na prawo to Kozary, a przed nami Krosna, ta, co ją całą wywieźli i spalili. Kościółek jeszcze stoi!

— A do Grel jeszcze daleko?

— Półtorej mili lasami.

Stefan znowu w myślach utonął. Kostuś gwarzył z woźnicą, który biczyskiem wskazał na folwark nie opodal drogi i rzekł:

— O Saturninie to panicz wie? Co jedną córkę miał? Bogacz. Jeden Krośniański, co ostał.

— No, wiem. Zdrajca. Co z nim?

— Córka go rzuciła. Jak wilk sam siedzi, nigdzie się nie pokazuje. Córka w Grelach służy. Nasza.

— To u was ludzie się budzą?

— Niewiele, a i to milczy, chowa się. A dużo niepewnych jest, tchórzów. Kto zresztą podtrzyma! Książd o nic nie dba, jedna pani z Grel wszystko wie, wszystko trzyma. Mnie dopiero niedawno oczy się otwarły, przedtem nic nie rozumiałem.

— Ostrożni bądźcie!

Skręcili na boczną drogę, ciągle wśród lasów. W jednym miejscu Kostuś się rozejrzał i tracił Stefana.

— Widzisz tę sosnę z barcią? Siemaszko mnie do niej zawsze na polowanie prowadził. Pod nią wtedy wzięto wuja, twego ojca. Las rządowy, ale zaraz granica Grel.

Bór szumiał górą, dołem była wielka cisza. U wylotu barci uwijały się pszczoły, kędyś w Kozarach kuł dzięcioł. Stara sosna szemrała coś, zadumana, może pacierze, może hymn stary, niegdyś pod nią ludzkimi piersi łkany.

Stefan chciał kazać stanąć, chciał do niej podejść i nie śmiał, zdławiony tysiącem wrażeń; minęli. Milczeli wszyscy, nawet wesoły Bohuszewicz. Dopiero po długiej chwili odezwał się:

— To już grelskie lasy. Zaraz młyn i dwór!

W Stefanie tłuc się poczęło niesfornie serce. Co zastanie? Babka! Może przyjdzie za późno. U młyna, klekocącego głośno, stało kilka fur chłopskich i mężczyzna w krótkim kożuszkach rachował się z chłopami.

— Tatu! — krzyknął Bohuszewicz.

Oficjalista podniósł głowę i zdumiał.

— A ty tu co robisz? — zawołał.

— Panicze do Grel jadą.

— Co tam słyhać, Kafar? — krzyknął Kostuś.

— Dzięki Bogu, dzisiaj lepiej. Zasnęła pani zdrowo z wieczora. Rano nie było gorączki.

Zbliżył się i witał patrząc bystro na Stefana.

— To kozarskiego pana syn! — rzekł Kostuś.

Zeszpecona prochem surowa twarz Kafara rozjaśniła się jakby słońcem.

— To już dla pani najlepsze zdrowie! Czekali pana, czekali, Siemaszko nie doczekał. Poganiaj, Jasiek, ile mocy w szkapach. Będzie że radości.

Ruszyli tęgim truchtem. Kostuś się roześmiał.

— Ot i jest wieczna historia marnotrawnego syna. Na mnie nikt nie spojrz i nie ja babkę wyleczę. Och, odetchnąłem. Takem się lękał, a ty czegoś taki blady? Kryzys minął, teraz tylko karmić i pilnować, będzie zdrowa!

Stefan zdawał się nie słyszeć! Z tchem zapartym patrzył przed siebie. Ale jechali wąską groblą wśród olszyn, a wokoło las wszystko zakrywał. Niespodziewanie Bohuszewicz rzekł:

— Ot i dojeżdżamy!

Wtedy Stefan ujrzał tuż z lasem łączący się stary, odwieczny sad, a po bokach kilka budowli szarych, niskich, z omszałymi dachami, podpartych ze wszech stron i struktury staroświeckiej.

Las je ze wszech stron otaczał i ukrywał w swym wnętrzu, a leżały przy ziemi niskie, niepozorne, ubogie jak skowrończe gniazdo.

W samej głębi leżał dziedziniec osobny, gęsto Klombami bzu porosły, przez które ledwie było widać dom mieszkalny, taki sam niski drewniany, oczeretem omszonym pokryty. Dwie oficynki miał po bokach i za sobą znowu stare grusze, jabłonie i lip kilka stuletnich co najmniej.

Gdy wózek zaturkotał, z oficyn wyjrzały kobiety, a na ganek wyszła Misia Siewrukówna, którą z daleka poznał Kostuś.

Ale gdy wysiedli, ona, oczom nie wierząc, patrzyła.

— I pan Stefan tutaj? Skąd? Jak się to stało? Otrzymał pan list pisany onegdaj?

— Nie. Byłem u Podhorskich, gdy Kostuś wieść przywiózł. Jakże babka?

— Ogromnie osłabiona, ale gorączki nie ma. Onegdaj zwątpiłam o życiu, dlatego napisałam do pana.

— Dwóch doktorów będzie jutro z Warszawy, a ja zaraz babkę wyegzaminuję! Nie śpi?

— Zobaczę, przygotuję. O panu od razu nie powiem, żeby się zanadto nie wzruszyła.

Weszli, w sień. Stefan prawie się przeraził, tak dom był niski i stary, ubogi w sprzęty, mroczny. Ściany w ziemię wrosły, okna były prawie przy podłodze, sufit nie podbity, z widocznymi belkami, żadnych obić, bielone ściany zawieszono starymi obrazami i portretami, meble staroświeckie, włosieniem kryte, sztywno ustawione, posadzki niegdyś piękne, dziś w wielu miejscach wytarte i popaczone. Czysto tylko było bardzo i ciepło od wielkich pieców z zielonych kafli. Misia poszła w głąb domu, oni zostali w salonie sami, ale krótko, bo wnet weszła zmaląła, siwiutka, jak ten dom w ziemię wrastająca Duszka. Nie witała ich słowami, tylko cała się trzęsła i lzy jej leciały po twarzy pomarszczonej jak zmarznięte jabłko.

A za nią ukazała się o kiju przygarbiona Siemaszkowa i głuchy, na pergamin zeschnięty Kacper, lokaj.

I czuł na sobie Stefan te wszystkie spojrzenia łzawe, wyblakłe starością, a jakby wniebowzięte, i sam nie wiedział, kiedy zaczął płakać ze wzruszenia, jakby nie pierwszy raz tu był, ale skądś wracał, nie poznawał ich, ale odnajdywał.

— Proszę, panie Konstany, babka już wie, że pan jest, i woła! — ozwała się Misia wracając.

— A, on! — zawołała Duszka. — Mówiłaś, że jest?

— Jeszcze nie! Trzeba przygotować!

— Co ty gadasz! Ona go się spodziewa. Dziś rano, jak się obudziła, mówiła mi: „Stefan przyjedzie.” Powiedz, Kostusiu, powiedz zaraz! Chodźmy! Nie godzi się i minuty jej kazać czekać. Nie bójcie się. Boga by nie było, żeby jej taka chwila zaszkodziła. Za całe życie!

I pociągnęła za sobą Stefana. Minęli parę pokojów, Kostuś na palcach wszedł do ostatniego. Po chwili ukazał się we drzwiach.

— Stefanie, babka cię woła.

Młody człowiek wszedł. Ujrzał na poduszkach, wśród bladej twarzy dwoje oczu witających go takim wzrokiem jasnym i radosnym, że chciało mu się i płakać, i śmiać się, i coś mówić, i od razu się spowiadać, ale tylko przypadł do łóżka, do rąk i belkotał:

— Babuniu, babuniu. Jestem! Oj, jestem!

Co ze sobą mówili, nie wiadomo. Długą chwilę byli tylko sami. Dopiero Misia weszła niosąc dla chorej bulion i zobaczyła, że chłopak klęczał zapatrzony w babkę, a ona trzymała rękę na jego głowie i coś z cicha mówiła. Wszedł też Kostuś, wziął chorą za puls.

— Teraz babuni spać trzeba, odpocząć.

— Skoro pan konsyliarz* każe! — uśmiechnęła się. — Wam niech dadzą wieczerzę, pościelą w zielonym pokoju. Rozmów się z Kafarem, Misiu! Czy już orzą pod owies? Biedny mój stary Siemaszko! Zawsze się dziedzica spodziewał i nie doczekał się.

Przy wieczerzy Kostuś bardzo pilnie bawił Misie, Duszka starała się rozruszać Stefana, ale on jakby ogłuszony był, jakby we śnie, odpowiadał monosylabami i zaledwie wstano od stołu, wyszedł na powietrze, w cichy sad.

Noc była księżycowa i ciepła, a wokoło cisza. Bez szelestu i ruchu stały nagie jeszcze drzewa, tylko coś w powietrzu dyszało, drżało, a od miesiąca szła jakby migotliwa ścieżka srebrna i ciągnęła w dal.

Stefan miał ochotę paść na ziemię i szeptać miłosne zaklęcia. Ziemia, ziemia, jego ziemia, rodzona, własna, Grele te, o których śnił od dzieciństwa.

Szedł przed siebie, w głębie sadu, tak pewnie, jakby te dróżki, te szpalery, te altany znał od dawna, nie czuł czasu i przestrzeni i drgnął, jak zbudzony ze snu, na dalekie wołanie. Poznał głos Kostusia i zawrócił niespokojny.

— Jak babka? — zawołał z daleka.

— Śpi spokojnie. I wszyscy śpią, bo to już północ. Nam też pora spocząć. Posłałem konie po doktorów. Niepotrzebny ambaras i koszt. Niebezpieczeństwo minęło.

Weszli do domu na palcach, do przeznaczonego im pokoju. Kostuś zaczął się rozbierać.

— Czy ty długo zabawisz? — spytał.

— Nie wiem.

— Ja razem z doktorami odjadę. Nie mam tu po co siedzieć. Babka mi już zrobiła uwagę za Rostow. Ledwie żywa, a swoje prawi. Z Misia też skończone, rozmówiliśmy się po raz ostatni.

Cisnął z pasją but na podłogę.

— Naturalnie, zobaczyła ciebie i już! Głupia, wyobraża sobie, że ją weźmiesz!

— To ty sobie ten ćwiek wbiłeś w głowę od dawna. To ja się w niej kiedyś kochałem, jeszcze w gimnazjum, ona się z nas obu śmiała.

— Bałamuciłeś ją i będziesz miał na sumieniu złamane życie dziewczyny.

Stefan głęboko odetchnął i po chwili milczenia spytał bardzo poważnie:

— Kostuś, powiedz mi szczerze dzisiaj to, nad czym często rozmyślam: za co ty mnie nienawidzisz?

— Ja? Ciebie? — zachnął się.

— Nie zaprzeczaj. Możeś sobie sam z tego nie zdawał sprawy, ale tak jest od dawna. Czuję w tobie niechęć, jakby zawiść, wrogie usposobienie. Czyżbyś naprawdę zazdrościł mi? Ależ czego? Przysięgam ci, nie mam na sumieniu Misi. Kochałem się w niej po dziecinnemu, idealnie i nie miałem cienia wzajemności. Nie zламаłem jej życia, a może przeciwnie, jej obojętność była powodem, żem dał się porwać innej, która mi w duszy zabiła wszelkie piękno i ideał uczucia. Odtąd nie pomyślałem o Misi i nawet już nie potrafię kochać. Więc jeśli o to masz niechęć do mnie, przysięgam ci, nie jestem winien. A zresztą, jeśli masz mi co do zarzucenia, jeśli cię uraził, powiedz, przez pamięć tych czasów, gdyśmy na jednej ławce się uczyli i byli braćmi.

— To było dawno i krótko! — mruknął Kostuś. — Bardzo różne i dalekie są nasze drogi. Ty wielki pan, dziedzic, ukochanie wszystkich, a ja — takie nic, nikomu niepotrzebny, przez wszystkich krytykowany, nielubiony. Nawet i Marynię straciłem. Wrosła w ten swój Skarbowiec, ma co i kogo kochać, nie rozumiemy się. Babka, ojciec, szwagier, siostra,

* konsyliarz — lekarz.

wszyscy do mnie mają pretensję, że odjeżdżam do Rosji, że szukam kariery. A cóż mi pozostało, co mię tu trzyma, co ja tu mam! Przecie oni wszyscy do tego doprowadzili. Babka pierwsza! A teraz sama potępia. Ale za to przed tobą wszyscy się rozpadają i...

Tu urwał, zamyślił się, jakby mu coś nagle się rozjaśniło w mózgu, i po chwili spojrzął na Stefana i rzekł:

— Masz rację, nie o Misie mam gorycz, nie. Właściwie może jej i nie kocham.

— Ale com ja względem ciebie zawinił? Wiesz, kiedy to poczułem twoją niechęć? Wtedy, gdy mały Sarosiek umarł i pani Horbaczewska!

— Tak, wtedy poznałeś babkę, a dzisiaj poznałeś i Grele. Właściwie czym ty sobie na to zasłużyłeś?

— Na co?

— Jesteś szczęśliwy.

— Ja? Żartujesz!

— Dziś bym z tobą na życie i los się pomieniał.

— Bo nie znasz mego życia.

— Ale znam swoje i to, co posiadasz, było moim marzeniem i Kochaniem. Wiesz, jak z nami było. Dziad Ksawery przywiózł nas dwoje, takie małe i głupie pisklęta, tu do Grel. Z jednego gniazda zburzonego do drugiego, które zostało. Tu się wychowałem, to się nazywało nasze, nasz dom. Wiesz, jak to się kocha.

— Nie, nie wiem. Ja nie miałem i nie mam domu. Jestem na łasce u dziada, który mnie nie cierpi.

— I ja byłem na łasce u babki, alem tego wtedy nie rozumiał, i szkoda, bobym nie wrósł w to, co nie moje. Babka uczyła sama nas wszystko to kochać! Na Sybirze tymczasem matka umarła, a potem przyszła amnestia jakaś, ojciec wrócił. Wtedy posłyszałem, żeśmy bez funduszu i ziemi, i wywieziono nas na bruk do miasta. Zaczęło się ciężkie borykanie i cięższa jeszcze za tą ziemią tęsknota, powoli kładł się osad na duszę, niedostatek, obowiązki, inne warunki, przymus szkolny, wpływy różne, idee nowych czasów, wszystko psuło i rozkładało. Marynia odeszła, dobry mój duch, poznałem kolegów różnych, socjalistów i bezmyślników, utopistów i materialistów, Rosjan, Koroniarzy, trochę naszych Litwinów, wszyscy prawie mieli na myśli karierę, nie zaprzyjaźniłem się z żadnym!

I wciąż zawsze tęskniłem strasznie za ziemią. To trudno, to już we krwi leży. Uczyłem się medycyny dla chleba, a nie cierpię tego fachu. Chciałem ziemi, zagona, czegoś swojego własnego, u siebie. A toć przecie dla mnie niedostępne. Nie mam nic i nic mieć nie mogę. Doszło między mną a ojcem do gwałtownych scen, czyniłem mu gorzkie wyrzuty za to szalone, samobójcze powstanie, za dolę nędzarza, którą nam stworzyli, i nie rozumieliśmy się, on myślał, że mi o panowanie, o wygodny byt obywatela chodzi, ja chciałem nędzy, ale na swojej ziemi. A ty to wszystko masz i za co, po co? Ty o to nie dbasz, ty tego nie kochasz, nie rozumiesz. Co ci te Grele? Ty nawet nie pojmujesz, jakim kosztem, jaką biedą, wszystkiego sobie odmawiając babka je dla ciebie uchowała. Masz, to twoje, i tyle. Nie potrafisz i nie zechcesz tu żyć, nie możesz tego kochać, staną ci się ciężarem, może sprzedasz, gdy babki nie stanie. A ja, to może i niesprawiedliwie, nie mogę ci nie zazdrościć. Masz! Rozumiesz mnie?

— Rozumiem, może lepiej niż ty mnie. Teraz ci też wybaczam niechęć, ale czemu kiedyś, od razu mi nie powiedziałeś, tak jak dziś. Żeby Grele były moje, powiedziałbym: dzielmy się, starczy na nas dwóch, ale Grele babki. Tylko się mylisz sądząc, że mi obojętne i cudze. W tym jednaka nas dwóch dola. Cudze i obojętne, i nawet wstrętne jest mi, jak tobie, to co posiadamy, w czym musimy żyć. Tylko mój los cięższy, bo pełen upokorzenia i wstydu. Mnie wolno tylko wegetować, pasożytem się czuję. Wierz mi: z twoją naturą szerszą i gwałtowniejszą ty byś mego życia nie zniósł. I ja go zmienić nie mogę, i to jest najstraszniejsze. Ty się skarżysz, że jesteś niekochany, wierz mi, to lżej, to lżej niż być bardzo kochanym, jak pinczer faworyt; a ja tak jestem! A Grele są dla mnie równie niedostępne, jak

dla ciebie, więcej nawet, bo ty tu być możesz, ilekroć zechcesz, a dla mnie i to niemożliwe. Więc czego mi zazdrościsz? Jesteś wolny, możesz zapracować i jeść chleb, który cię nie dławi, bo własny; możesz wydać grosz, który zarobisz, na przyjemność lub ideę, bo twój, możesz żyć, z kim chcesz, kochać lub nienawidzić jawnie. Przebyłeś biedę, zwyciężyłeś, możesz być dumny z biedy, dała ci hart i wartość! A ja, wiesz? Żebyś mną pogardzał, miałbyś rację, ale zazdrościć mi — o, jakiś szalony! Przecie nie może być nędzy nad moją! Ja często myślę, żem nawet za nikczemny, za słaby, żeby sobie w łeb palnąć!

Kostuś słuchał i poważniał, i łagodniał. Stefan, skończywszy mówić, siedział z głową w dłoniach, zapatrzony ponuro w ziemię.

— Tak źle z tobą! — mruknął Kostuś po długim milczeniu.

— Myślałeś, żem już taki podły, że zgodziłem się z położeniem! Nie, i mam nadzieję, że do tego nie dojdę. Ale jestem człowiek skończony, bo niezdolny do walki. Wegetuję, marnieję, zamiera wola, już się nie buntuję. Dziś chwila, z babką, zapomniałem o rzeczywistości, w tym sadzie roiłem baśni, ale już to minęło. Jutro będzie depesza po mnie, taka, której muszę być posłuszny i wracać. Ty nie znasz tamtych ludzi, życia, szczęśliwym jesteś.

— Nie bądźże wiechciem! Rzuć!

— Mówisz jak człowiek silny i wolny. Ja nie mogę rzucić, nie potrafię. To matka!

Kostuś zaklął przez zęby.

— I tak będzie i będzie? Biedna babka! — szepnął po chwili. — Wrócisz, i będziesz sobie próchnieć. To ty jesteś w położeniu panny na wydaniu. Ożeń się, może się wyzwolisz!

Stefan spojrział na niego z żalem i przykrością.

— Mnie wyzwoli tylko śmierć! — rzekł ponuro.

Położył się i umilkł. Kostuś rozebrał się także i zgasił świecę. Na dworze już szarzało i zawzięcie piał koguty.

— Stefan! — odezwał się Kostuś.

— Co?

— To między nami będzie już po dawnemu. Tobie jest naprawdę podle. Trzeba coś zrobić.

— Nie łam głowy na próżno. Już zrobiłeś najlepsze, gdy mi wracasz serce.

— Coś trzeba zrobić! Coś trzeba! — mruczał uparcie Kostuś. To „coś” podyktowała im babka, a było to bardzo proste i naturalne. Gdy przyszli rano do niej, rzekła:

— Napisz list do matki, Stefanie: żeś tu przybył na wieść o mojej chorobie i zostaniesz, aż pozdrowię. Wszak nie masz tam obowiązkowej i terminowej roboty?

— Nie. Tylko matka się przerazi, będzie desperować, co dzień wzywać do powrotu. Wedle jej pojęć to skandal.

Pani marszałkowa uśmiechnęła się dziwnie i rzekła po chwili:

— Napisz długi list. Opisz Grele, nadmień, że mają trzy tysiące mórg^{*} obszaru, przeważnie lasu towarowego, że ja właśnie zamierzam towar sprzedać, że są kupcy dający sto tysięcy. Napisz, że tu dostatek i dawne zasoby, i — że ja już bardzo stara i niedołączna!

— Babciu! — z żalonym wyrzutem szepnął Stefan.

— Moje dziecko, trzeba do każdego pisać jego językiem, aby zrozumiał. Ja ci dyktuję, wiem, że tak byś nie napisał, ale napisz, wierz mi. Nie będą naglić o powrót ani bytności twojej tutaj nazywać skandalem!

— Babunia rozwiązała twoją łamigłówkę! Pisz. Ach, żebym ja miał dostęp do tych twoich hrabiów, to bym dopiero im naopowiadał o wartości Grel. Sami by cię tutaj wyprawiali.

— A ty zatem stanowczo osiadasz w Rostowie? — zwróciła się nagle do niego pani marszałkowa.

— Tak! — rzekł krótko.

* mórg, m o r g a — polska miara powierzchni gruntu równa 5600 m².

— Misiu — zwróciła się do wchodzącej wychowanki — powiedz Kafarowi, żeby przez zięcia dał znać nowemu sędziemu, że dworek nasz mu Wynajmę. Doktor tam nie osiadzie, a dłużej stać pustką nie może.

— Już trzeci doktor ucieka z tego miłego miasteczka z głodu! — mruknął Kostuś.

— Nie z głodu, bo zarabiają do tysiąca rubli rocznie, ale z nudy, bo żaden tu nie szukał roboty ideowej. Jeden był mieszczuch warszawski, drugi Rosjanin, trzeci Żyd.

— Babcia nazywa tysiąc rubli utrzymaniem!

— Nazywam, bo ja wydaję trzysta.

— Babunia co innego.

Stefan spojrział na Misie pierwszy raz uważnie po tylu latach. Zmieniła się, wyrosła i spoważniała, zachowała tylko swą niesformą grzywę złotych włosów nad czołem i żywość piwnych oczu. Zresztą była to ciągle zajęta i zapracowana gospodyni domu, nie mająca czasu na bawienie gości. Słuchała rozkazu babki, spojrzała przelotnie na Kostusia i karmiła troskliwie chorą. Potem, klęcząc u łóżka, zaczęła zdawać raport.

— Na Wielkiej Niwie dziś trzydzieści soch chłopskich orze za odrobek na paszę, za Brodkiem sieją owies, wydałam piętnaście korcy*. Jałownik* już poszedł w las, kazałam odkryć i przebierać kartofle nasienne; na spichrzu czyszczą zboże, sprzedalam pięćdziesiąt pudów mąki z młyna.

— A w sadzie jest robota?

— Maksym bieli drzewa i przekopują zagony. Tutaj w domu wszystko przygotowane dla doktorów, więc objadę i obejrzę robotę.

— Jedź, dziecko, a nie zapomnij obrachować traczów* wieczorem i dopilnuj siewu marchwi. Kafar niewielki agronom i jeszcze się nie obeznał z polem.

— Może ja mogę cię w czym wyręczyć — ofiarował się Kostuś. Uśmiechnęła się tylko lekceważąco.

— Dziękuję, zaraz nadjadą doktorowie. Trzeba ich bawić. Ale, zapomniałam babci powiedzieć. Przyjechał dzisiaj Saturnin Krośniański i chce zabrać Natalkę. Ona się pyta, co ma robić.

— Niech jedzie z nim, a w każdej chwili może tu wrócić. Czy Białożór nie był w tych dniach?

— Był onegdaj, a co dzień przysyłał po wieści.

— Trzeba mu dać znać, że nasienne kartofle dostanie. Powiedz mu, pewnie spotkasz.

Misia wyszła, a Kostuś spytał:

— Białożór często bywa? Nie ożenił się?

— Nie, dotąd. Zdaje mi się, że o nią się stara.

— O Misie! — zawołał Kostuś. — Przecie babcia na to nie pozwoli. On ma pięćdziesiątkę.

— Jeśli ona tylko zechce, zrobi dobry wybór! To bardzo zacny i poważny człowiek. We wszystkich robotach ideowych on jeden mi pomagał. Od pięciu lat, jak wrócił z Rosji i objął po bracie Ostrowy, czuję inny duch wokoło. Stefanie — zwróciła się do wnuka — napisz list i wyślij na pocztę, będę spokojniejsza.

Stefan poszedł do siebie i z nieznośnym niesmakiem i przymusem wymęczył list.

Gdy skończył, wyszedł na dziedziniec szukając komu by go poruczyć; spotkał Misie idącą od spichlerza do stajni, przed którą stał osiodłany koń i wóz Bohuszewicza.

— Pan chce list wysłać do miasteczka? Jest okazja. Proszę.

Otrzymałam depeszę od Maryni Hlebowiczowej, że jutro przyjeżdża, i posłaniec jeszcze nie odszedł. Tu mamy do pocztu jeszcze dwie mile, cała podróż.

Podeszli do stajen, gdzie Bohuszewicz konia jej podał, wyręczając głupkowatego stajennego chłopaka. Ruchem wprawnym, lekkim wskoczyła na siodło i stała polecając list

* k o r z e c — miara objętości ciał sypkich, około 120 litrów.

* j a ł o w n i k — młode bydło, nie mające jeszcze potomstwa.

* t r a c z — robotnik piłujący kłody drzewa za pomocą ręcznej piły.

opiece Żydka—postańca. Zdawała się nie uważać na Stefana i odjechała ku bramie śpiesząc, by robocie wydołać.

Stefan wpadł na Duszkę drepczącą od oficyny.

— A co? Podobają ci się Grele? Ładnie tu, porządnie. Nigdzie tu takiego ładu nie ma, i to same baby rządzą, aha, i trzymają mocno! Ma pani marszałkowa szczęście do ludzi i umie wyrobić. Co z Misi za gospodyni, ho, ho! A w Suhakach Ostaszewskie ledwie się trzymają i żeby nie pomoc z Grel, toby dawno zginęły. A niby też pracują, oszczędzają, mozolą!

— Co się dzieje z Korewą, tym, co mieszkał u pani Horbaczewskiej, wtedy? — spytał Stefan.

— Dobrze się dzieje. Głupstwa rzucił, z Wołodźkówną się ożenił, wziął z nią majątek na Białorusi. Na ziemi mocno siedzi, mocno. A wiesz, kto Kozary nasze targuje? To komedia, duszko! Przyjechał taki brodac, Sybirak, z tych stron szlachcic, co się tam z kupczychą ożenił i podobno miliony ma! I targuje Kozary, na imię żony chce kupić! Czy się to śniło coś podobnego! Był u nas, gadali z panią marszałkowa, popłakali się. Tylko z tym Kostusiem ona zgryzotę ma. Coś przystąpiło do chłopca. A ja już byłam taki piękny mariaż dla niego ułożyła.

— Z Misia?

— Porzuć. Misia nie ma ziemi.

— A ciotka tylko z ziemią swata?

— Takiego, który bez niej został, trzeba znowu w grunt wkopać, żeby rósł. Kostuś! — zawołała widząc młodego człowieka wychodzącego z domu. — Marynia jutro przyjeżdża.

— To dobrze. Zastąpi choć w nocy przy babce Misie, która już nad siły bierze. Babka zasnęła, zresztą ze mną gadać nie chce! Jestem w niełasce, że nie chcę osiąść w tym podłym miasteczku.

— Bo i ma rację. Pojedziesz na koniec świata, wiary i mowy zapomnisz, jeszcze się rozpijesz, nauczysz się kraść w ich kompanii, a żeś kochliwy, to jeszcze lichy wie z kim się ożenisz! Komu to

miło ciebie na zgubę dawać! Ach, co to za młodzież teraz! Tobie, duszko, tylko pieniądze, kariera w głowie, mniejsza gdzie, w Samarkandzie, w Tulę, w jakimś Baku, w jakimś Turkiestanie. Dawniej na zsyłkę tam pędzili naszych, a teraz z ochoty jadą. A tu panienki starzeją się, majątki przepadają. Ot, żebyś rozum i serce miał w porządku, tobyś powinien z Ostaszewską się ożenić, tyle ziemi od ruiny uratować.

— Z Ostaszewską? Toć tam jest brat?

— Umarł zeszłego roku. Ona jedna tylko!

— Nie znam jej. Ładna?

— Bardzo miła skromna panienka. Skończyła pensję w Warszawie.

— Matka podobno straszna sekutnica.

— Aha, sekutnica, bo syn długów narobił, mąż był do niczego, i została z długami i biedą.

— A one tu bywają?

— Bywają, teraz ten tyfus to wszystkich wystraszył, oprócz Białozora, co od Misi i miotłą nie odpędzić. Ot, zostań trochę, w niedzielę do kościoła pojedziemy, to was zapoznam. Ostrowy to mało co od Grel mniejsze, tylko że lasy nieboszczyk wyrębał, ale gorzelnia jest i dużo siana. A panienka Zosia, brunetka, cichutkie dobre stworzenie. Jakby dla ciebie stworzona. Z Misia naszą to ci nie para.

— Dlaczego?

— Jak dwa koty na siebie byście fukali. Misia nikomu nie ustąpi, a ty złośnik. Misi trzeba innego.

— Pewnie Stefana, bo ma ziemię, a ona gospodyni. Ciotka to w żadnych kombinacjach swych materialnych nie uwzględnia miłości!

— Bom stara i tyle widziałam nieszczęść z miłości.

— Niemało nieszczęść u nas uczyniła i ślepa miłość do ziemi! — szepnął Stefan.

Ale staruszki umysł zanadto słaby już był, by dyskutować. Skamieniał w jedną formę zaludnienia na nowo tej ziemi zniszczonej szaleem rozpaczliwego wybuchu żądy wolności.

Popatrzała na Stefana swymi wyblakłymi oczami i pokiwała głową.

— Niech już Białozór bierze Misie. Wart jej...

W cichych, utajonych w borach swych Grelach zapanował ruch niebywały. Gniade klacze i stary powóz pani marszałkowej zaznały trudu, a głuchy lokaj zupełnie stracił głowę. Przywieziono i odwieziono doktorów, przywieziono Hlebowiczową, posyłano i odsyłano co dzień na pocztę listy i depesze. A wszyscy mieli rozradowane twarze, bo chora była co dzień lepiej i co dzień cudniej rozwijała się wiosna.

Na list swój Stefan nie otrzymał piorunującej depeszy o powrót i zaczynał mniej myśleć o tym, co „tam” się dzieje, jakby zzuł z siebie jakieś pęta, wyzwolił się od zmory, żył innym życiem. Ucieszył się na widok Hlebowiczowej, która, wspominając poznanie nad morzem, napomknęła żartobliwie, że podziwia jego stałość, a gdy nie rozumiał, rzekła:

— Przecie znowu odnajdujemy kuzyna dzięki hrabinie Podhorskiej.

— O nie, kuzynko. Tym razem tylko dzięki głuszcom i cietrzewiom hrabiego. Stąd do Bretanii już bardzo daleko. Nie jest się tak długo młodym i głupim. Siedm lat temu to wiek. I zdaje mi się, że i Kostuś już się nie kocha na zabój.

— O, ten jest zawsze niebezpieczny. Dlatego tak się opieramy jego wyjazdowi daleko.

— Mnie można by z zupełnym spokojem pod tym względem wysłać do najcudowniejszych pokus.

— Kuzynie, w waszym wieku to dowód jednego wielkiego a nieszczęśliwego uczucia.

— Kuzynko, jak się nazywa ten kraj, w którym wierzą jeszcze w baśni! — rzekł z szyderczym grymasem.

Hlebowiczową spoważniała, spojrzała nań smutno.

— Biedni wy tam w tym waszym świecie!

Byli sami we dwoje w pokoju babki, która spała, mówili z cicha, zmierzchało, z dalszych pokojów słycać było gniewny głos Kostusia i uspokajający go dyszkancik Duszki.

Zbudziła się marszałkowa.

— Czy jest Stefan? — zagadnęła.

— Jest! — uśmiechnęła się Hlebowiczową. — Babunia nas tak nie pieściła nigdy. Będziemy zazdrośni!

Stefan już klęczał przy łóżku.

— Wyście mieli więcej niż on i ja! — rzekła staruszka. — Kto tam tak hałasuje po domu? Czy są goście?

— Nie, to Kostuś pewnie się z Misia posprzeczał.

— Chłopak jest kłótniwy i nerwowy, bo czuje, że nie postępuje wedle swej duszy i jest z sobą w rozterce! Kto ci tam znowu zawinił? — spytała wchodzącego.

— Ach, nic! Misia nie chce jutro dać koni do kościoła, więc wynająłem chłopca.

— A gdzie Misia?

— W kancelarii, wypłaca robotnika. Koni dać nie chce, a obraziła się, gdym kazał Kafarowi wystarać się o furę. Pojedziemy z ciotką razem.

Milczała pani marszałkowa gładząc kędzierzawą głowę Stefana, Hlebowiczową napadła na brata.

— W Skarbowcu nie można ciebie było wygnać o sto kroków do kościoła na sumę. Przy dzieciach prawileś o głupocie formułek religijnych. Raptem stałeś się nabożny.

— Muszę być jutro w miasteczku. Mam ważne papiery na poczie.

— Stefanie, pójdz do Misi i powiedz, żeby przy rachunku z ludźmi z Oziernej nie potrącała im za wzięte siano, bo teraz przednowek i oni znowu popłacili kary policyjne.

Stefan zastał w kancelarii tłum chłopów. Kafar wywoływał ich po imieniu i czytał dni zarobione, Misia wypisywała sumę i wypłacała. Nie szło to jednak prędko, bo każdy chłop

miął do „panienki” jeszcze jakiś interes, prośbę, pytał o radę. Tłum ten nie śpieszył się ani wyglądał chciwie pieniędzy, gwarzyli, śmiali się, wszystko mówiło miejscowym narzeczem, którego Stefan wcale nie rozumiał. W kącie, na stronie stało kilku ludzi odzianych inaczej i różniących się od szarej masy chłopstwa typem i postawą.

Na widok wchodzącego chłopci pokłonili się nisko i poczęli się cisnąć, by rękę ucałować, uciszyło się też na chwilę i tylko dalsi szeptali: „Bacz, młodyj pan, młodyj pan!” Ludzie stojący na uboczu ukłonili się także, ale nie cisnęli się i nie szeptali. Oczy ich twarde a śmiałe wbiły się tylko w tego nowego dziedzica, jakby pytające, badawcze.

Stefan ledwie się obronił od całowania rąk i schronił się za biurko do Misi i po francusku powtórzył jej polecenia babki.

— Dobrze, to ci! — odparła, oczami na tych innych wskazując.

— Pomogę pani — ofiarował się. — Pani tu pracuje nad siły. Tylu jeszcze tych ludzi.

Spojrzeli na siebie, Misia spuściła głowę nad księgą i odparła łaskawie:

— Proszę. Niech pan odlicza pieniądze.

Nie bardzo mu to szło na razie, ale po chwili już się połapał, chłopci też przez respekt dla młodego nieznanego pana mniej gadali z panienką. Kafar głodny i senny śpieszył i namawiał załatwionych do opróżnienia miejsca. Przerzedzało się w wielkiej tej izbie, okna stały otworem i kłębam od sadu szedł wiosenny świeży aromat pąków, rosy, boru niedalekiego i rechotanie żab, i blask miesiąca. Chłopi odchodząc do wsi zaintonowali swój śpiew, zawodzenie, który się w dali rozplątał i łączył z echem. Nareszcie zostało tylko tych kilku pod ścianą i Kafar czytał ze swej książki:

— Wincenty Sieklucki, cztery furmanki z drwami, dwa ruble. Zbliżył się jeden do biura i widząc, że Misia zapisuje, a Stefan wyjmuje pieniądze, rzekł:

— Za siano winienem ośm złotych, niech panowie potrąca.

— Pani marszałkowa kazała wszystko wypłacić teraz. Zwróćcie odrobką w żniwa!

Po twarzy tych ludzi i Kafara przeszedł błysk. Teraz wszyscy się zbliżyli, skupili się u biura, niżyli głosy:

— Panienka podziękuje pani marszałkowej i powie, że odrobimy. Teraz nas obdarli, sto rubli kazali złożyć za wielkanocną spowiedź. Zapłaciliśmy wszyscy, nikt nie był w Kozarach u spowiedzi. Z Pachołków też uparło się trzy chaty, a w Siennej pięć. Tamci jeszcze strasznie się boją, my już nic!

Straszna przez swe zeszpecenie twarz Kafara promieniała. Błyskały mu wilcze zęby w uśmiechu.

— Nabiorą i oni mocy, niech no raz do Wilna, do Kalwarii pójda. Toć pięć lat temu żyli jak bydło, nic nie rozumieli.

— Cicho! — upomniał któryś. — Jakiś chłop jeszcze się wlecze. Ale gorzej, sam donoszczyk*!

Kafar począł znowu ze swej książki czytać, ludzie pieniądze brać i wychodzić; każdy w progu się ukłonił i „pochwalony” rzekł.

Odpowiadali oboje młodzi i Kafar nowo przybyły milczał. Wreszcie sam został i do biura przystąpił. Człek chudy, łysy, o twarzy ponurej, chorej, żółtej. Ubrany był w burkę*, po szlachecku. Kafar książkę swą w zanadrze kozucha wsunął, twarz mu się skurczyła, ręce wsunął w rękawy i jakby czekał zaczepki. Ale stary wydobył woreczek z kieszeni i rzekł:

— Córka mi mówiła, że można dostać tych nowych kartofli na nasienie. Chcę kupić furę.

— Po rublu worek — rzekła Misia.

Bez targu szlacheć położył na biurze pięć rubli. Misia napisała kwit.

— W poniedziałek wam Kafar wyda.

— Może dziś. W poniedziałek bym sadił. Córka ze mną jest, nasypiemy przy miesiącu.

Spojrzał nieśmiało, nieufnie na Kafara i dodał:

* d o n o ś c i k (ros.) — donosiciel.

* b u r k a — opończa, krótki szeroki płaszcz.

— Natalka do was zaszła.

Kafar jakby zmiękł. Ukłonił się państwu, zdjął z jeleniego rogu pęk kluczy i rzekł:

— To chodźmy. Nie warto dziewczyny męczyć! Nasypimy we dwóch.

Gdy wyszli, Misia bez odetchnięcia poczęła sumować prędko kolumny cyfr, wciągając je w różne księgi. Stefan nie miał co robić, ale nie odchodził i patrzył na nią, z okna biła woń wiosny, blask nowin i pulsowało życie. Utkwiony w nią wzrok widocznie niecierpliwił Misie, zmarszczyła brwi, podniosła oczy, jakby się opierała od natręctwa.

— Panu się to wydaje bardzo nudne. Zaraz skończę i pójdziemy na kolację. Tylko jeszcze na Siemaszkową czekam, z raportem udoju.

— Co za noc! — rzekł bezwiednie. — Chodźmy w sad! Zaśmiała się.

— Niech pan idzie. Zawołają pana na kolację. Ja nie mam czasu.

— Pani ma dosyć spacerów przy pracy. I to zawsze, tak wszystko, całe Grele pani prowadzi.

— O nie. Babka i dysponuje, i dogląda, i prowadzi rachunki. O połowę mam mniej zajęcia. Teraz tak mam wiele, zwykle jest mi lekko.

— I pani już tak dawno tutaj?

— Pięć lat. Ja to zajęcie wprost kocham, mnie tu tak dobrze, jak w raj. I Grele są w porządku dla pana! — dodała z uśmiechem.

Kaszel i szuranie nogami zwiastował Siemaszkową. Stefan odszedł do okna, na futrynie usiadł i podawał twarz tchnieniu powietrza. Żar jakiś był w tym leciutkim powiewie, coś rozmarzającego, kuszącego, by kędyś iść, czegoś szukać, szeptać coś tajemnie.

A Siemaszkową tymczasem rozwodziła się nad chytrością pachciarki^{*}, która omal nie oszukała jej na dwie kwarty mleka, i nad próżniactwem dójek, a Misia zdawała się tym tak przejęta, że ani słowem nie skracała gawędy. Nareszcie stara poszła, zostawiwszy na biurze malutki bochenek świeżego chleba.

— Tak się udał, jak marcepan! Niech panienka skosztuje i Kostusiowi da. Jak mały był, to zawsze u mnie takiej bułeczki dochodził. Prawda?

Aż poznała, że to nie Kostuś siedział w oknie, i submitując się^{*} poszła. Jak wszyscy, miała dla Stefana wielki respekt^{*}.

Teraz Misia uporządkowała księgi, zamknęła biuro i wstała prostując z ulgą swą gibką postać.

— Już wszystko na dziś skończone! — rzekła.

— Chodźmy w sad! — poprosił znowu, obejmując ją spojrzeniem i wyciągając rękę.

— Czy pan się lęka iść sam? Taki duży, a jeszcze w strachy wierzy! — roześmiała się.

— Sam w taką noc, pewnie, że to straszne.

— A ja wolę sama. Może panu przysłać chłopca z kredensu, żeby pan nie zbłądził.

Staneła w oknie obok niego i patrzyła na miesiąc. Nozdrza jej rozdymały się, wciągając chciwie powietrze, śmiała się, ale tylko ustami; w oczach miała mrok i smutek.

— Nie mam łaski u pani, nawet na chwilę spaceru. Zwróciła na niego oczy i dotknęli się wzrokiem.

— Trochę, chwilę, prosto w miesiąc, w ciszę! — szepnął błagalnie, biorąc jej rękę i podnosząc do ust.

— O, jaki pan rozpieszczony. Ale tu nie Warszawa, a ja żadna kompania do spaceru o księżycu. Nie umiem marzyć o niebieskich migdałach i nie zabawię pana poetyczną rozmową. Ale jeśli pan tak chce koniecznie, idźmy.

Ale Stefan jakby oprzytomniał, zawstydził się natręctwa, zażenował.

— Nie, dziękuję pani i przepraszam. Nie chcę ofiary pani uprzejmości. Nie, dziękuję.

* p a c h c i a r k a — osoba dzierzawiąca.

* s u m i t o w a ć s i ę — usprawiedliwiać się, tłumaczyć się.

* r e s p e k t — szacunek, poważanie.

Znowu jej rękę poniósł do ust i chwilę milczeli. Raptem Stefanowi zrobiło się bardzo smutno, pusto, samotnie. Poczuł się obcym i cudzym.

— Parno, będzie burza dziś w nocy! — rzekła Misia, a gdy dalej milczał, spojrzała nań z uśmiechem. — Pieszczoch grymasi, chciał zabawki, napierał się, a gdy obiecano, już nie chce. Zapewne panu nikt, nigdy, niczego nie odmówił?

— Nie wiem, nigdy nie proszę i wstyd mi, żem od zasady odstąpił dzisiaj. Czy pani pamięta, żeśmy się znali, dawno, prawie dziećmi? Już wtedy nie lubiła mnie pani i nie bawiliśmy się z sobą nigdy. Tak i zostało.

— Nie pamiętam! — odparła z dziwnym uśmiechem. Podeszła do stołu, wzięła chleb, ułamała kawałek i poczęła gryźć.

— Chce pan? — spytała.

— Przeznaczony dla Kostusia.

— Pan nie bierze nigdy nic cudzego?

— Owszem, brałem, przekonałem się, że nie warto. Nie syci, zostawia niesmak, a może i truje!

— Ten chleb pana własny, i oto moja połowa. Proszę, nie otruje! Kostuś wcale nie dostanie! Boże, jaki on się zrobił nieznośny!

— A może pani na wszystkich nas niełaskawa teraz! — rzekł rozchmurzając się. — Jakże można odmówić mu koni na mszę!

— I pan w to wierzy, że on się modlić będzie! Przecie Duszka chce go zapoznać z Ostaszewską. Co te pilnego! Te panie, jak się dowiedzą, że są kawalerowie w Grelach, same przyjadą. Przecie tu, oprócz pana Białozora, nie ma na pokaz mężczyzny.

— A pan Białozór zajęty! — rzucił dziwiąc się sam, że czuje niechęć do tego nieznanego.

— Tak ciocia Duszka dowodzi.

— A pani?

— Ja? Mnie swaty wcale nie interesują — odparła ruszając ramionami.

Wtem drzwi się otworzyły, na progu stał Kostuś.

— Stefan! Ach, przepraszam, przeszkadzam państwu. Ale Kacper zrzędzi o kolację, a babcia ma jakieś polecenia do pani, więc muszę państwu przerwać gawędkę.

— Nic nie szkodzi, wasza ekscelencjo. Mamy czas — odparła Misia drwiąco, przechodząc obok niego w głąb domu.

Stefan przełożył nogi przez futrynę i zeskoczył do ogrodu. Nie chciał słuchać uwag i zapewne wymyślał.

Jednakże dyplomacja Duszki przemogła wolę Misi. Pani marszałkowa kazała konie dać i nazajutrz Kostuś z dwiema opiekunkami, bo i siostrę namówił, ruszył „na nabożeństwo”.

Przyglądała się Misia z ganku drwiąco temu wyjazdowi, a potem we dwoje ze Stefanem zasiedli u babki, która dnia tego raz pierwszy przeszła na fotel i już rozpytywała o roboty, już robiła plany gospodarskie.

Po południu poczuła się zmęczona i senna, więc położyła się znowu i rzekła:

— Zostaw tu, Misiu, Siemaszkową przy mnie, a wy pojedźcie w pole konno. Pokaż mi ziemię, granice, bydło, stado! Niech się oswaja, poznaje!

Więc pojechali, ona na swej kasztance, on na młodym koniu, którego pasiono na sprzedaż.

— Da mu pan radę? — spytała trochę nieufna zrazu, ale zobaczyła, że pomimo pozoru salonowca sportu i gimnastyki nie zaniedbał.

Wyjechali za wrota w pole, miedzami, ziemia była przemiękła, błoto bryzgało spod kopyt, na smugach łąk wierzchowce grzęzły i parskały.

— To oziminy jeszcze nie ruszyły, czekają deszczu — mówiła Misia patrząc po niebie. — Ten łąn trzy lata temu wydarty spod wrzosowisk. Grele dawniej miały mało ziemi, dużo pustek i nieużytków, babka stworzyła te łąny. Większość majątku stanowią lasy nie ruszone. Wkoło wszyscy sprzedają, rąbią, niszczą i narzekają na biedę. W Grelach nikt nie narzeka,

choć opowiadał mi Siemaszko, że po powstaniu bywał głód, nędza. Teraz to minęło, ale żeby kto z tych biadających sąsiadów wiedział, ilu babka ludzi utrzymuje, ratuje, kształci, toby zdumiał i wierzyć nie chciał, co można pracą i rachunkiem zdobyć i uczynić. Czy pan się zna na gospodarstwie rolnym?

— Nie mam pojęcia.

— Przecie pan tu rządzić będzie! To pana ziemia.

— Mój Boże, lękam się, że to pozostanie marzeniem. Znadto pęt wiąże mię tam, za wielkie obowiązki. Jestem tu jakby cudem, może dzień jeszcze, może parę i odjadę!

— Biedna babka! Wierzyła w to, że byle pan raz tu przyjechał, już ta ziemia pana nie puści, weźmie w niewolę uczucia. Niech jej pan obieca wrócić, będzie czekać, spodziewać się, wierzyć.

— Czy panią tu zastanę, jak wrócę?

— Prawdopodobnie.

— Pani nie jest pewna?

— Nie. Człowiek może umrzeć, mogą go zesłać, może oszaleć, może się zmęczyć i zmarnieć. A pan może tu zjechać za dziesięć lat.

— Pani wyjdzie za męża.

— I to być może! — odparła obojętnie. — Jak się ma ciotkę Duszkę w długie listopadowe wieczory, to potrafi wmówić. Ale pan wcale o pola nie pyta ani ta jazda pana nie zajmuje. To jest złotodajny młyn grełski. A teraz gdzie pan chce być, co zobaczyć: sianożęcie, las, stado?

— Nie wiem. Ja czuję wiosnę, gorąco tego wiatru, co pani pozłocił twarz, dyszenie ziemi i własnej krwi, i kompletną obojętność do wszelkich lustracyj gospodarskich. Czy pani nie odczuwa w taki czas potrzeby życia razem z tą trawą, pękiem, ptakiem, owadem? Nie myśleć, nie rozważać, żyć tylko, radować się, dać się słońcu odnowić, rozwinąć, zakwitnąć. Ja w życiu pierwszą taką wiosnę przeżywam i odczuwam moc odrodzenia.

— Niebezpiecznie dać się temu porwać. W mocy tej są zdradliwe osłabienia, z gorąca straszne burze. Wracajmy zatem, mnie dziś jeszcze czeka żmudna robota wieczorem, ma przyjść gromada ze wsi umawiać się o paszę.

— Czy pani nigdy nie ma chwili wytchnienia? Czy pani nie ma osobistych pragnień, marzeń, tęsknoty?

— Jeśli coś mam osobistego, wiem i załatwiam to sama. Nie traktuję tym nikogo.

— Ostrą oberwałem naukę i morał. A jeśli kto chciałby zdobyć zaufanie pani, co ma czynić?

— Nic. Nie ma człowieka, któremu bym swą duszę zawierzyła. Ona tylko moja i tym jestem silna.

Trąciła prętem klacz i ściągnęła cugle. Kasztanka wyciągnęła się w kłus przepyszny, dziewczyna siedziała jak przykuta do siodła.

Stefan zrównał się z nią i jechali pod wiatr, smagani jego pędem, upojeni szybkością lotu. Kędyś zza borów wypęzły chmury, zbierało się na pierwszą wiosenną nawalnicę.

U bramy Misia zwolniła biegu klaczy i oddychając głęboko, spojrzała na towarzysza.

— Ależ pan wytrzymały! Ten koń haniebnie trzęsie. O, widzę, że nabożne towarzystwo już wróciło. Dobrze, że przed deszczem: Nie lęka się pan piorunów? Tu wśród tych lasów bywają straszne.

— Tak, jeden już mnie tknął.

— Ale żyje pan, więc niestraszny.

— Żyję i błogosławię go. Żyję, nie lękam się, i da mi pani swe zaufanie! — rzekł z jakimś wybuchem wiosennej, słonecznej wiary.

I uśmiechnięty ruszył galopem pod stajnię.

Chmury szły jak stada czarnych orłów, poczynało w nich złowieszco huczeć i migotać.

Gdy Stefan, zmieniawszy ubranie, wszedł do salonu, zastał tam gościa. Mężczyzna lat przeszło czterdziestu, szpakowaty, o twarzy poważnej i myślących oczach, opalony wichrem, ale nie przeciętny hreczkosiej* parafialny.

— Mój kuzyn, Hrehorowicz, pan Białozór — zapoznała ich Hlebowiczowa.

Zamienili uścisk dłoni, ukłon i badawcze spojrzenie.

— Poznałem po oczach pani marszałkowej, że pana się doczekała, i cieszę się serdecznie z poznania towarzysza na zagonie i syna takiego ojca — rzekł Białozór serdecznie i gorąco.

— Pan by zaraz każdego do roboty tu zaprzął! — zaśmiał się Kostuś. — Ale on lada dzień wyjeżdża i bodaj czy wróci, bo właściwie co tu robić!

— I ja tak kiedyś mówiłem! — rzekł Białozór. — Szkoda, młodzi, waszych sił, jak ja ich teraz żałuję, gdym musiał wrócić, zmarnowawszy najlepsze lata. Nie czekajcie takiego musu!

Na dworze tymczasem rozszalała burza i deszcz ulewny. Duszka wpadła do salonu na łoskot pierwszego piorunu z dzwonkiem loretańskim* i książką do nabożeństwa, wszyscy podeszli do okien i Kostuś zawołał:

— A Misia swoim zwyczajem spaceruje wśród gromów i ulewy. Jeśli jej piorun nie zabije, to będę wierzył w dowodzenie dziada Ksawerego, że szlachcica piorun nie zabija — zawołał Kostuś.

— Pan Siewruk miał rację po trosze. Na tyle gromów, co tu biły, cud, że jesteśmy! — rzekł Białozór.

— Misia, wariatka! — krzyczała Duszka stukając w szybę. Dziewczyna zaśmiała się do nich i wbiegła na boczny ganek.

Ukazała się po chwili przebrana i zaczęła się krzątać w jadalni. Potem, przywitawszy Białozora, przeszła do babki i nie pokazała się wcale przy herbacie.

Potem poszli wszyscy do pani marszałkowej. Siedziała w fotelu, na dworze deszcz lał, więc Misia rozpałała ogień na staroświeckim kominie i wszyscy się skupili u tego blasku.

— Cóż widzieliście i słyszeliście w miasteczku? — spytała staruszka. — Dużo było ludzi w kościele?

— Sporo, więcej niż tamtych lat — odparł Kostuś. — I ksiądz inny.

— Wywojowaliśmy przecie, że tamtego usunięto. Ale trwało to trzy lata i ten zastał zupełne zdziczenie. Nie może dać rady, ma kursy w parafii o mil siedm, sam jeden, o wikarego na próżno kołaczemy.

— Ile tu właściwie liczy się parafian? — spytał Stefan.

— To zależy, kto liczy. Oficjalnie dziewięć tysięcy. Ale jest drugie tyle opornych, kwestionowanych, tchórzów, obojętnych. Tych rachunek zna tylko pani marszałkowa.

— I pan, i Misia, i Kafar, i mój wnuk znać będzie. Jest nas cała gromadka, jest trochę żaru w popiele. W miasteczku teraz, jakem Kafarów zabrała, nie ma nikogo.

— Rachowaliśmy na doktora! — rzekł Białozór zwracając się do Kostusia.

— Ja nie wiem, dlaczego babunia nie każe Stefanowi osiąść w dworku i założyć prawną kancelarię. On jest skończony jurysta, jak ja medyk.

— Ja nikomu z was nie każę. Takich posterunków nikomu się nie nakazuje. Na świecie teraz inne wasze hasła, potępiacie nasze.

— Broń Boże, tylko co ja tu mogę zdziałać? Zastąpić Kafar a w miasteczku? To niech on tam siedzi, a ja będę ekonomem u babci. Chętnie się z nim zamienię!

— Czy pani Ostaszewska była dziś w kościele? — zagadnęła nagle Misia.

— Były obie z córką! — odpowiedziała Duszka. — Zapowiedziały swe odwiedziny w środę. Były też panny Butwiłówny z ojcem. Starsza śpiewała na chórze. Młodsza świeżo wróciła z Warszawy. Bardzo miłe wszystkie panienki, prawda, panie Białozór?

— Dziękuję pani Duszce, nie używam tego! — odparł Białozór śmiejąc się.

* h r e c z k o s i e j — prowincjusz, ironicznie: gospodarz zasiedziały na roli

* d z w o n e k l o r e t a ń s k i — poświęcony, którym dzwoniło w czasie burzy, mający chronić od piorunów.

— Pan myśli, że swatać będę. Wcale nie, ja pana wcale w rezon nie biorę, ale pan tak gorliwie rozmawiał ze starszą Butwiłówną, że aż się na cmentarzu ludzie oglądali.

— Ona jest w najbliższym sąsiedztwie Oziernej, pytałem, czy zna jej potrzeby, odpowiedziała, że nie i że „papo” bardzo nierad nawet ich spotykać, ażeby nie być zamieszany w jakieś bunty. Opowiedziałem jej parę życiorysów tych ludzi. Co za straszne tchórzostwo wśród tych panów!

— Nie można ich zbyt potępić! — rzekła pani marszałkowa. — Pan tych czasów tu nie przeżył, zna Rosjan w Rosji zupełnie innych. Butwił w sześćdziesiątym trzecim roku widział wokoło siebie śmierć, kaźń, zsyłkę i ruinę. Ludzie ginęli, magnaci z dnia na dzień stawali się nędzarcami, namnożyło się zdrajców, szpiegów, donosicieli. Nie było sądu i prawa, było się skazanym na zgubę za jedno słowo donosu kłamliwego. Teraz widzi pan zgliszcza i pustynię, wtedy szalał pożar. Nie każdy ma w sobie materiał na bohatera. Butwił uciekł aż do gubernialnego miasta, tym się ocalił, ale właśnie że nic nie stracił, potępia cały ten prąd. Tchórzostwo zapewniło mu spokój i dobrobyt, ceni je więc jako swoją mądrość i będzie się lękał do końca życia. Takich u nas najwięcej.

— A pan gdzie był wtedy? — spytał Stefan.

— Za granicą, na chemii w Belgii. Brat tu gospodarzył i też za granicę uciekł i mnie przytrzymał. Gdy wrócił, zastał majątek spustoszony i spalony, ale konfiskaty uniknął. Ja, skończywszy nauki, dostałem posadę chemika w fabryce pod Moskwą, potem w Jarosławiu, przebyłem w Rosji ośmnaście lat. Od siedmiu lat objąłem zarząd Ostrów. Brat mnie uczynił opiekunem córeczki i długów! Uczę się tedy agronomii od panny Michaliny i pedagogiki od pani marszałkowej. Mała jest w klasztorze w Galicji. Nadmienię jeszcze panu, że tam w Rosji miałem rocznie ośmnaście tysięcy rubli dochodu, a tu dokładam rocznie kilka tysięcy do ziemi i dopiero teraz czuję, że żyję!

— Rozumiem pana! — rzekł Kostuś. — Tam zebrać i tu przynieść, to mój cel.

— A ja, gdybym mógł te lata odkupić, oddałbym wszystko, co posiadam! — rzekł Białożór gorzko. — Nie bierz pan tam nic, nie idź pan tam, za drogo zapłacisz, miliony nie opłacą ci dusznej męki i zatracenia.

— A już przynajmniej, jeśli cię szatan chciwości kusi tam jechać, to się tu ożeń! — rzekła Duszka.

Uśmiechnęła się Misia, a Białożór rzekł poważnie:

— To jest święta rada. Znam tam różnych, zdrowo i cało uchowali się tylko żonaci z Polkami. Ci wrócili lub wrócą, ale kawalerowie lub tam ożenieni, jeśli ocalili choć resztki duszy, to chyba cudem.

Powstał i wyrzwał przez okno.

— Ale ja tu się zagadałem, a pora wracać, deszcz ustaje. Przywiozłem pani marszałkowej pieniądze za kartofle i proszę o rachunek kwitów.

— Misia to z panem załatwi, ale bez kolacji to pana nie puszcę z Grel. W przyszłym tygodniu przyjedzie do Oziernej komisja śledcza w sprawie samowolnego grzebania zmarłych na cmentarzu krośniańskim. Trzeba tym ludziom poradzić, jak się mają tłumaczyć. Świadkiem podobno jest Saturnin Krośniański. Tego się nie przejedna.

— Kafar mi mówił, że nic nie powie Saturnin! — rzekła Misia. — Chodźmy do jadalni. Babci spocząć pora.

Ruszyli się wszyscy, tylko Stefan pozostał, jakby nie słyszał. Staruszka dotknęła jego ramienia.

— Co ci, dziecko? Czyś niezdrów? Takie masz gorejące oczy i takiś milczący?

— Babciu, czy Białożór ożeni się z Misią? — spytał.

— Nie, dziecko. On jest żonaty. Tam się ożenił.

— A żona?

— Porzuciła go. Było dziecko. Umarło, i on mi to opowiadając mówi: „Szczęściem!” Rozumiesz, ile musiał przeżyć, żeby śmierć dziecka, zdradę żony nazwać szczęściem. Biedny człowiek!

— Ale Misia go kocha, babciu?

— Nie wiem. Daj Boże, nie! Dlaczego pytasz?

— Ona musi być moja.

— Misia? Skądże?

— Nie wiem. Tak przyszło. Mam tego pełną duszę, serce, głowę, oczy! Chodzę jak we śnie. Babciu, czy ona mnie zechce?

— Nie wiem, dziecko! Może tobie minie fantazja, raptem, jak przyszła. A tamto, Stefanie? Misia wie o tamtym; Kostuś, Hlebowiczowie opowiadali. Stosunek utrzymujesz. Dziwiłabym się Misi, żeby ciebie chciała. Tu, u nas, inny świat, a Misia nie naiwny podłotek.

Stefan głowę spuścił i umilkł zgębiony. Staruszka położyła rękę na jego gorejącym czole.

— Szalejesz. Jesteś nieprzytomny. Pohamuj się i nie mów jej nic, zanim się nie wypróbujesz.

— Nie. Muszę powiedzieć, muszę wiedzieć, muszę stąd wyjechać z jej słowem.

— A jeśli ci odmówi, i słusznie?

— Babcia jej słowo powie za mną.

— Nie! — odparła bardzo poważnie i stanowczo.

Misia weszła w tej chwili z kolacją dla chorej, z drugich drzwi Siemaszkowa. Chłopak stęknął i wyszedł do towarzystwa.

Po kolacji przeprowadzili z Kostusiem Białozora do młyna i wracali pieszo. Po deszczu rozpuściły czeremchy i aż duszno było od woni brzoźowych pąków.

— Ach, Boże — westchnął Kostuś — i w taki wieczór iść prozaicznie spać! Tu w tych Grelach to nawet pokojówki ludzkiej nie ma, żeby choć dla wprawy pogruchać pod rozkwitłą czeremszyną. Coś ty taki osowiały? I ciebie roznosi wiosna!

— O, ze mną gorzej. Trzeba wyjechać.

— No? Do Podhorzec pilno?

— Co znowu! Dajże pokój! Plotek tu naniosiłeś.

— Aha, oberwałeś od babki! Uspokój się. Ja czasem miałem takie mycie głowy, że choć pod ziemię się schować. Tutaj, bracie, królestwo cnoty! Ale babka nie piłuje. Dostałeś dzisiaj, więcej nie wspomni.

— Ale o Podhorskiej wszystkim rozplotłeś. I Misi.

— Aha, więc Misia! I po co to zapieranie? Ja przecie od dawna wiem, że ona się w tobie kocha. Ja jej umyślnie opowiedziałem o Podhorskiej, ze złości. Pasjami lubiłem tę dziewczynę i długo, pewnie z pół roku. Nie dostałem nawet kuzynowskiego buziaka, przez ciebie, ale do łez ją doprowadziłem parę razy Podhorską i miałem satysfakcję. A co? Teraz fiasko! Nie daruję ci, uparła się. I dobrze, masz za swoją skrytość. Zapierałeś się niedawno, jeszcze kilka dni temu! Nie cierpię takiego łgarstwa i wykrętów.

— Kiedy ci przysięgnę, żem nigdy nie kłamał. Ta dziewczyna nie istniała dla mnie onegdaj, patrzałem na nią nie widząc.

— No i co?

— A dziś nie istnieje nic, tylko ona.

— Wiosna! I nie wierzyć to w traf i przeznaczenie. I to ja ciebie tu na to przywiozłem! Podziękuj.

— Za co? Za twe plotki?

— Głupstwo! Czy myślisz, że wiosna tylko dla ciebie. Szelmowski szczęśliwiec! W tym oknie w kancelarii pewnie nie prosząc dostał buziaka, a ja pół roku na próżno się starałem. A teraz pójde spać, a ty pewnie znowu pod okno kancelarii, bo się świeci jeszcze.

— Anim jej mówił jeszcze, ani mnie przyjmie. Mówiłem babce tylko i spodziewam się odmowy. I tobie to zawdzięczam.

— Mnie! To ja mam romans z Podhorską? Mój Boże! Gdzie mnie, urwipołcia, stać na takie zbytki. Hrabina! Nie dojechałem nigdy wyżej magazynierki i co najwięcej, wiedział o tym stróż. Da ci Misia, da roboty! Odechce ci się świetności salonowych i tryumfów Don Juana! Więc nic? No, to dobranoc ci, i nie zazdroścę już rozmówki pod tym okienkiem. O, Misia umie drapać i parskać jak kotka, a cierń jej wbiłem mocno w serce! I jedź ty sobie ze swym harbuzem* choć jutro, bo mi jeszcze i Ostaszewską zbałamucisz.

Podeszli pod okno kancelarii, było otwarte. Misia przy biurze pisała kwity. Kostuś cisnął na biurko kilka kwiatów czeremchy.

— Pozdrawiam cię wiosną, o dziewico! — rzekł patetycznie.

Odrzuciła niecierpliwym ruchem kwiaty i zmarszczyła brwi bez słowa.

— Listopadowy masz humorek, bo gwałcisz naturę. Teraz nie kwity pisać, ale spacerować o księżycu z lubym!

— Może chcesz konia do miasteczka czy do Tuhak?

— Innym razem poproszę; teraz tylko tobie przyprowadziłem towarzysza i życzę przyjemności.

Misia wstała, podeszła do okna, by je zamknąć. Kostuś odskoczył, zaśmiał się i ruszył na ganek, Stefan pozostał i patrzył na nią, potem wyciągnął rękę i bez słowa podał jej gałąź czeremchy.

— Pozwolisz mi tu być chwilę? — rzekł głucho.

Misia spojrzała na niego i jakby zrozumiała, jakby się złękła tych oczu, co ją paliły, obejmowały, przez sekundę zawahała, potem skupiła się i wyzywająco wyprostowała.

— Owszem, nie bronie! — rzekła odchodząc od biura. Usiadła i starała się dalej pisać, ale nie mogła, więc zebrała po chwili kwity, zamknęła szufladę.

— Czy pan ma co do mnie? — spytała.

— Tak, pani.

— Słucham — rzekła spokojnie, stając w oknie i zakładając ręce na piersi. Patrzyła gdzieś ponad nim.

— Proszę panią o szczęście! — szepnął gorąco.

— Bzy nie kwitną jeszcze i wątpię, czy ich pan tu doczeka! — odparła z lekkim uśmiechem.

— Nie, bżów teraz nie doczekam, bo otrzymawszy odpowiedź pani wyjadę, by stosownie do tej odpowiedzi życiem pokierować.

— Nie rozumiem pytania. O jakie szczęście pan prosi mnie?

— Kocham panią. Chcę pani ręki, serca, życia.

— Za taką ofiarę należy podziękować. Dziękuję panu, ale przyjąć nie mogę ani ofiarować w zamian tego, czego pan żąda. Gdy pan się zastanowi, będzie mi pan wdzięczny za odmowę.

— I to już jest pani ostatnie słowo? Wyrok dla mnie stanowczy? Nie zostawia mi pani nadziei, nie pozwala starać się o swe serce?

— Nie, żadnych zobowiązań. Znajduję, że tak dalecy jesteśmy od siebie, tak odmiennych pojęć o tym szczęściu i życiu, że ani go sobie damy, ani iść przez życie razem nie potrafimy.

— Pani kocha innego?

— O, zupełnie innego.

— To rozstrzyga kwestię. Niechże z nim pani będzie szczęśliwa!

— Dawno już mi go życie zabrało. Ledwie majaczeje w pamięci i nie spotkamy się zapewne nigdy. Szczęście — praca, służba dla idei — im cięższe, tym miłsze.

— Czy człowiek poza tym nie ma prawa mieć własnych radości i bólów, pragnień i kogoś własnego?

* dostać, zjeść harbuz a — otrzymać odpawę, odmowę przy oświadczeniach.

— Owszem, każdy to ma, aby cierpieć.

— Chociażby, ale kochać, pragnąć, marzyć, zdobywać, posiadać, bogom być równy w szczęśliwości. To każdy mieć musi, inaczej nie będzie człowiekiem, ale cieniem.

— Pan to wszystko już przeszedł, wiele razy zapewne.

— Nie, anim marzył, anim zdobywał, anim kochał. Bywałem upojony, szalony, przesypany, alem też nigdy nie cierpiał, więc nie miłość to była. W środowisku, w którym wzrosłem, jest to jedną z zabaw i rozrywek. Zapewne tym wyznaniem nie zjednam sobie pani, zresztą nie mam zasługi wyznania, gdyż pani wie o mnie może nawet więcej i gorzej, niż było. Mniejsza, nie będę się uniewinniał i tłumaczył — i po co? Odmawia mi pani, wyjeżdżam jutro, nie będę więcej nudził i dokuczał. Proszę mi wybaczyć śmiałość! Jestem tak opętany tą mocą nieznaną, która mi zaślania wszystko, co nie jest panią, jestem rozkochany do bezpamięci, do beczucia. Odmówiła mi pani i nawet nie jestem w stanie cierpieć wobec szczęśliwości, że pani jest, że żyje, że mogę marzyć i śnić o pani, i mówić w mej myśli wszystko, co mi piersi rozsadza, i kochać, i pieścić, i swoją nazywać, i zabrać panią z sobą wszędzie, ze swą duszą, na własność!

Szeptał głucho i gorąco, z jakimś młodzieńczym potężnym rozradowaniem, z siłą żywiołową uczucia, które rośnie, wszystko zalewa falą jak morze. Sam nie wiedział, czy mówi, czy tylko myśli. Patrzał na nią rozmarzonymi oczami, a widział ją w sobie.

Dziewczyna zbladła i usunęła się, oparła o ramę okna; czuła, że musi przerwać mu, odejść, nie słuchać, że ten szept jest trucizną woli, że ta fala ją może ogarnąć, że jej straszno się robi i słabo. Zacięła zęby, bo czuła, że szczękają jak w febrze i przymknęła oczy, które ją paliły.

Daleko, gdzieś na drodze rozległ się dzwonek, ale oni go nie słyszeli, w czeremchowym krzaku pierwszy słowik się odezwał i urwał, od boru z każdym powiewem szły kłęby woni i dyszenia ziemi odrodzonej.

— Cierpieć, czy to nieszczęście? Mnie boli od szczęśliwości, mnie serce rozsadzi, zda się, piersi, mnie głowa płonie i ogień mam w żyłach. Powiniennem cierpieć, bo mi pani odmówiła, nie mogę! Jutro odjadę, i to mi niestraszne. Żyję, świat mój, szczęście moje. Powtarzam sobie, że mnie pani nie kocha, ale nie słyszę tego, nie dostaje się do duszy, nie mogę odczuć, co to znaczy nie kochać. Boże, jak ja błogosławię panią!

Misia wzdrygnęła się, rozplotła ramiona i zrobiła ruch, by zamknąć okno, ale ręka osunęła się.

— Niech pan odejdzie. Co panu! — szepnęła.

— Już pójdę — odparł jakby we śnie, biorąc jej rękę i niosąc do ust.

Cofnęła rękę i w tej chwili posłyszeli dzwonek, już bliski, ujadanie psów, w oknie Kafarów błysnęło światło.

— Depesza — rzekła Misia.

— Po mnie! — dodał. — Pójdę, odbiorę!

Ruszył ku bramie, po chwili Misia zrównała się z nim. W bramie wóz stanął, słysząc było opędzanie się od psów i przekleństwa po żydowsku.

— To ty, Icek? Depesza? — spytała Misia.

— Telegram do panicza.

Psy poczęły się łąsić. Żyd podszedł i podał kopertę, Stefan rozerwał ją, przeczytał i obojętnie wsunął do kieszeni. Potem zapłacił posłańca i rzekł do Misi po francusku:

— Od matki. Dziad mnie wzywa w ważnym interesie.

— Zatem koniec! — rzekła idąc z wolna ku domowi.

— Czego koniec? — spytał. Milczała.

— Jutro pan wyjeżdża?

— Tak. W każdym razie miałem wyjechać. Trzeba będzie walczyć o wyzwolenie. Zwlekałem za długo!

— I tu pan wróci na stałe?

— Nie. Tam będę pracował, zarabiał. Tu — co bym robił? Czasem, na wielkie święto przyjadę, na panią popatrzeć.

— Ja tu nie będę mogła pozostać teraz.

— Opuści pani babkę?

— Muszę i muszę jej powtórzyć dlaczego.

— Dlaczego?

— Po tym, co mi pan powiedział, i po mojej odpowiedzi, czymże tu będę? A gdybym została, gdy pan oprzytomnieje, moja tu obecność krępowałaby pana. Babka mi przyzna rację, muszę się oddalić.

— I za co? Dlaczego tak mi niechętna?! To nie minie, nie przestanę kochać pani, ale i dokuczać oświadczynami nie będę. A gdy się pani stąd oddali, znajdę panią wszędzie, by czasem popatrzeć, głos posłyszeć.

— Po co pan mówił, po co? Tu było tak dobrze, cicho. Babka nową miętę będzie zgryzotę, gdy się dowie.

— Mówiłem babce, i przepowiedziała mi odmowę pani, mówiła, że pani niewart. To prawda, ale powiedzieć, co czuję, musiałem.

Zza węgła domu wynurzył się Kostuś ze strzelbą w ręku.

— Co to było? To psie ujadanie i krzyki? Złodzieje?

— Depesza do mnie. Jadę jutro!

— Płaczesz, Misiu? Nie żenuj się.

— Dlaczego mam płakać! — zachnęła się.

— No, po nim. Zaręczyliście się, mam nadzieję?

— Nie mamy wcale zamiaru.

— O czymżeście gadali tyle czasu? A ja wam tak zazdrościłem! Co za cymbał z ciebie, Stefan. Jak to, nie wybaczyła ci jeszcze hrabiny?

— Nie żartuj — burknął Stefan, a Misia ruszyła szybko ku domowi.

— Misiu — zawołał za nią — wczoraj podsłuchiwałem, coście z Marynią mówiły w nocy. Stała jak wryta.

— Ja nic nie mówiłam, chyba zmyślasz. Po co mię prześladujesz, dokuczysz! — dodała prawie ze łzami. — Ach, żebym tu już nie była!

Dogonił ją, ujął za rękę, pocałował.

— Nie, nie, nic nie powiem. Nie będę dokuczał ani żartował. Nie chcesz ani mnie, ani jego — dobrze! Zabalsamujesz się jak Duszka, będziesz swatała moich synów. Już zgoda! No, roześmiej się. Stefan zaraz wyjeżdża, ja zostanę. Przecie z dwojga złego mnie wolisz, no powiedz? Do mnie nie masz żalu za nikogo. On sobie pojedzie, dzięki Bogu! I już odszedł, nie ma go. Zadręczał cię, niegodziwiec, puls jak w zapaleniu. No, na zgodę, na przyjaźń, Misiu, siostrzyczko, dostanę buziaka?

Zachnęła się, spojrzała nań wściekle, skoczyła na ganek i zatrzasnęła drzwi za sobą.

Kostuś wrócił też do domu, Stefana nie było i nie doczekawszy się go, zasnął.

X.

Wbrew oczekiwaniu Stefana matka go przywitała bez wymówek i żalów, bardzo serdecznie, ale że się śpieszyła na jakąś dobroczynną wentę*, więc poleciwszy mu kąpiel, fryzjera i garnitur już gotowy u krawca, pojechała zostawiając mu swobodę i zapowiadając, że dziad pytał o niego co dzień, więc żeby czekał na jego wezwanie.

Stefan się tedy wykapał, ostrzygł i ogolił, a potem ruszył na miasto szukać Jagodzińskiego. Dawny mentor już od kilku lat prowadził kancelarię adwokacką i dobrze mu się wiodło. Byłby się nawet ożenił, ale zjechała doń owdowiała matka z trzema siostrami na wydaniu, więc w czterech pokojach mieszkania jeszcze na piątą kobietę nie było miejsca.

Przy obiedzie dopiero ujrzał Stefan dziada.

— No i cóż tam na tej Litwie szukałeś? Wykpiła się od śmierci stara Hrehorowiczowa? Ciekaw jestem, czy pamięta rozmowę przed tym mądrym powstaniem? Przepowiadałem jej, co będzie. Chciałem zabrać twego ojca, żyłby może dotychczas i majątek by ocalał. Ale to gatunek szaleńców i maniaków. Ostro wtedy rozmówiliśmy się. Nazwała mnie odstępcą, a ja ich podpalaczami własnego domu, powiedziałem: „Za trzydzieści lat nikt tam za Bugiem nie zostanie, będzie pustynia.” I co? Dogasają, domarnowują się niedobitki, bankruty. Ładne to świetności, te dobra, zasięgałem informacji. Lasy są przestarzałe, bo upierała się nie sprzedawać, granice nie uporządkowane, są i długi. At, wisi to jak wszystko tam. Nie masz czego marzyć o tej sukcesji. Pewniejsze to, co ja dla ciebie obmyśliłem.

— Uważam Grele za własność babki i nie rachuję na żadne spadki.

— No, pewnie, ale też i pora, żebyś przestał się trzymać matczynej spódnicy.

— *Mon Dieu, papa, vous etes si dur!** — szepnęła żałośnie pani Oktawia.

— Ile razy chciałem pracować, zabraniano mi! — rzekł Stefan.

— Szczęśliwie, że nareszcie otrzymam swobodę. Mam właśnie posadę i od jutra myślę ją objąć.

— A ja mam dla ciebie robotę, moją, więc przede wszystkim to wykonasz. Chyba mam pewne prawa i mogę liczyć na ciebie?

— Rozumie się. Jeśli tylko będę mógł, służę.

— A jakąż to posadę sobie wynalazłeś?

— Jagodziński przyjmuje mnie do spółki w swej kancelarii. Zarazem będę pisał rozprawę.

— *Dieu de bonté!** — wykrzyknęła pani Oktawia, a stary hrabia parsknął śmiechem.

— No, moja posada będzie mniej fatygująca i intratniejsza. Widzę, że zdolność do zrobienia kariery masz po Hrehorowiczach.

— Nie mam wcale za cel w życiu zrobienia kariery. Chcę mieć kawałek chleba uczciwie zapracowany.

— Także poglądy z romansu. No ale mniejsza o twe mrzonki. Przejdźmy na kawę do mego gabinetu, wytłumaczę ci, jaka praca cię czeka.

Pani Oktawia udała się do swych apartamentów wesoła, uszczęśliwiona. Przecie ojciec jej pogodził się ze Stefanem, serio o jego losie pomyślał. Wiedziała, o czym mówią, te projekty powstały świeżo, ona sama podsunęła na myśl ojcu Stefana i łaskawie przyjął.

Teraz chłopak będzie miał stanowisko, może się ożenić. Przed oczami pani Oktawii przesuwały się różne postacie pańien, bogatych parwienuszek, ubogich arystokratek, kogo wybrać?... Marzyła wtulona w wygodny fotel, trawiąc spokojnie wykwintny obiad.

Wtem usłyszała kroki po dywanach i stanął przed nią Stefan.

— A co! *Te voila a flot, mon petit**. Widzisz, jaki dziad dobry dla ciebie.

* w e n t a — kiermasz na cele dobroczynne.

* M o n D i e u ... (fr.) — Mój Boże, tatusiu, jesteś taki surowy.

* D i e u d e b o n t é ! (fr.) — Na miłość boską!

— Dziad mi rozkazał wynieść się stąd do jutra.
 — *Comment!* Co się stało!
 — Nie przyjąłem żadnej z jego propozycji.
 — *Comment! Tu as ose! Pourquoi?**
 — Proponował mi dwa obowiązki. Albo udział w radzie konkursu w upadłości tego nieszczęsnego Mieczysława Rosena, albo zajęcie się parcelacją Dubowni.
 — *Eh bien! tu ne te sens pas capable?**
 — Rosena znam, mammo. On był maniak, idealista. Skupował ziemię, stawiał fabryki, bojkotował Niemców, kształcił lud. Kazano mu wyjechać, wtedy rozpoczęła się ruina. Teraz on siedzi za granicą, z żoną i dziećmi, bez chleba, oddał wszystko wierzycielom. Naznaczono konkurs, dziad i wuj mają większą część jego weksli i w radzie największy głos. Za czterdzieści procent oddają ludzie swe należności, mam je skupować za pieniądze dziada i... Nie, mammo, ja tego nie chcę robić, za nic, nie potrafię.
 — Ja się na tych prawnych historiach nie znam, ale jeśli twój dziad i wuj to obmyślili, zapewne jest mądre i dobre. *Et tu oses refuser!**
 — Tak, mammo. Ja tego nie potrafię!
 — A cóż masz przeciw parcelacji Dubowni? — spytała tonem hamowanego oburzenia.
 — Mammo, Dubownia leży na Wołyniu, to majątek, gdzie się dziad i mama urodzili, to ziemia, której nikt z naszych kupić nie może.
 — Ale te ziemie nie dają żadnego dochodu, ani pół procenta wartości. To jest kapitał martwy, zatracony. Za to można przy parcelacji dostać pół miliona! — wołała jak wyuczoną lekcję, rozdrażniona niepojętnością syna.
 — Ale za tę ziemię, za taką ziemię mój ojciec życie dał, i inni życie dają, by utrzymać, a ja, ja, Stefan Hrehorowicz, mam ją pokrajać, poszacować na ruble i oddawać obcym nabywcom! Niech dziad za te pieniądze, com go kosztował, pokroi me ciało żywcem i sprzeda do sekcji, ale mojej duszy nie zaprzędam, ani w takiej robocie służyć mu nie będę, bo bym zdrajcą był swego nazwiska, którym się szczycę, i zdrajcą ojcowskiej spuścizny, którą nad wszystko miłuję.
 Pani Oktawia zmierzyła go piorunującym spojrzeniem.
 — A zatem pewnie teraz będziesz urządził powstanie, zgodnie z tradycją Hrehorowiczów.
 — Nie, będę pracował jak każdy niezamożny człowiek. Stosownie do woli dziada dziś się stąd wyprowadzę.
 — Dokąd?
 — Do siebie, mammo. Do biedy, do niedostatku, do głodu chociażby! Tej łaski mam dosyć.
 — *Tu es fou!** Myślę, że jak się zastanowisz, to się opamiętasz przed skandalem! Tymczasem zapowiadam ci, że ja też jestem oburzona i zastosuję się do postępowania dziada względem ciebie. Byłam zanadto słaba dla ciebie. *C'est fini**. Na moją pomoc nie rachuj. *Je te conseille de songer serieusement. Je ne te donnerai pas un sou**.
 Stefan pocałował ją w rękę, którą mu ledwie podała. Potem zebrał swe rzeczy osobiste i niezbędne, upakował kufer i wyniósł się do hotelu. Przerachował swe pieniądze i ucieszył się znalazłszy sto rubli. Tego wieczora jeszcze powąłęsał się po ulicach bocznych, tańszych, czytając kartki lokalów i obejrzał kilka kawalerskich pokojów. Nazajutrz już wybrał i wynajął jeden, na trzecim piętrze, w oficynie, za dziesięć rubli miesięcznie, a tegoż dnia wieczorem już się umeblował i wprowadził.

* *Te voilà...* (fr.) — Dobrze ci się wie dzie, mój mały.

* *Comment!...* (fr.) — Co! Jak śmiałeś! Dlaczego?

* *Eh bien!...* (fr.) — Ach tak! Więc nie uważasz, że się nadajesz?

* *Et tu oses refuser!* (fr.) — A ty ośmieliłeś się odmówić.

* *Tu es fou!* (fr.) — Jesteś szalony!

* *C'est fini.* (fr.) — Skończone.

* *Je te conseille...* (fr.) — Radzę ci pomyśleć. Nie dam ci nawet złamanego grosza!

Cała ta instalacja kosztowała go trzydzieści rubli, składała się z gratów niezbędnych i tandetnych, ale on wśród tego poczuł się u siebie, swobodny, szczęśliwy.

Nazajutrz rano udał się do kancelarii Jagodzińskiego, zakopał się w akty, kodeks, pracował zajadle, codziennie, niestrudzenie.

Stołował się w „Taniaku”, odmawiał sobie wszelkich wygod i przyjemności, żył jak odludek, odrobiwszy robotę wracał do swej stancji, nie wychodził wcale na miasto, pisał rozprawę albo leżał i marzył.

Po paru tygodniach takiego życia, gdy myślał, że u Ossoriów już o nim zapomniano, pewnego dnia, gdy pisał u Jagodzińskiego, stanęła przed nim matka.

— *Dieu de bonté** czyś ty chory. Co się z ciebie zrobiło! Co ty tu robisz?

— Pracuję, mam — odpowiedział całując ją w rękę.

Objęła go za szyję, płakała.

— Chodź stąd. *Ce que tu m'asfait souffrir. Tu es un sans-coeur!** Zabrała go od roboty, wyprowadziła na ulicę.

— *Rentrons!** Dziada nie ma w Warszawie. Będziemy sami.

— Wszystko jedno, dziad jest, czy nie ma. Do domu jego mam wstęp wzbroniony. Jeśli mama chce być ze mną, to u mnie.

Pani Oktawia wśród wykrzykników zgrozy i obrzydzenia dotarła do stancji i pierwsza rzecz, którą tam ujrzała i porwała, była fotografia Misi stojąca na biurku.

— Co to takiego? — jęknęła.

— To moja kuzynka, Siewrukówna!

— Aha! Kuzynka, stamtąd. *Tu l'aimes!**

— Tak.

— I to dla niej urządzasz tę całą esklandrę*. Rzuciłeś nas na języki całej Warszawy. Uchodzimy za wyrodną rodzinę, ludożerców, rzuciliśmy ciebie w nędzę. *Tu as l'air d'un decave**. I to wszystko dla tej gąski wiejskiej. *Oh, que je suis donc malheureuse!**

— Mam, niech mama ze mną zostanie. Ja tam żyć nie mogę, to dla mnie zanadto upokarzające. Ja tu teraz dopiero czuję, że żyję.

— „Ja mam zostać tu, tu! *Tu es fou!* — zawołała oglądając się ze zgrozą wokoło. — *Et tu epouseras cette Siewruk! Dieu!**

— Ona mnie nie chce.

— Nie chce! *C'est le comble, ça!** Słuchaj, jeśli już koniecznie chcesz pracować, zaproteguję cię do księżnej Fanny. Ona potrzebuje administratora.

— Nie, mam, w ten świat w żadnej roli nie wrócę.

— Ależ na Boga, zastanów się! Tak być nie może. *Tu me fais honte!**

— Wyjadę! Zginę z oczu i pamięci.

— Etienne! Za całą moją miłość tak mi płacisz! Powiedz, co ludzie o mnie pomyślą? Co to za pozycja, kariera! Skryba* u jakiegoś adwokata, głodny proletariusz, mój syn! Ty mnie do grobu wpędzisz z upokorzenia. Do czegoś ty podobny, jak tu mieszkasz! *Mon Dieu*, a mogłeś się ożenić z mitrą*!

* *Dieu de bonté* (fr.) — Na miłość boską!

* *Ce que tu m'as...* (fr.) — Ależ się przez ciebie nacierpiałam. Jesteś bez serca!

* *Rentrons!* (fr.) — Wracajmy!

* *Tu l'aimes!* Kochałeś ją!

* *esklandra* (z fr.) — skandal, awantura.

* *Tu as l'air d'un decave*. (fr.) — Wyglądasz na wyczerpanego.

* *Oh, que je suis...* (fr.) — Och, jaka jestem nieszczęśliwa!

* *Et tu epouseras cette Siewruk! Dieu!* (fr.) — O ty poślubisz tę Siewrukównę! Boże!

* *C'est le comble, ça!* (fr.) — To już szczyt wszystkiego!

* *Tu me fais honte!* (fr.) — Przynosisz mi wstyd.

* *skryba* — pisarczyk, gryziپیórek.

* *mitra* — korona książęca w herbie.

XI.

Był listopadowy dzień, gdy Marcin Krośniański wysiadł z wagonu na swojej stacji i rozejrzał się wokoło, szukając znajomej twarzy.

Ale był szabas i deszcz ze śniegiem, więc na podwórzu było pusto.

Żołnierz zawinął poły szynela, zarzucił na plecy swój worek i ruszył w drogę.

Zmęczony długą jazdą w zaduchu wagonu rad był iść, chociażby w tę slotę i wicher, serce mu biło do swoich.

Wiedział, że rodzice byli w Grelach, więc tam dążył, ale po drodze była Krosna. Wczesny zmierzch zastał go u zawrotu. Poszukał oczami kościółka, majaczał we mgle, blisko, nisko, błyskały światełka folwarku Saturnina. Marcin chwilę się zawahał i skręcił na boczną drogę.

We wrotach opadły go psy, oganiając się szedł ku domowi, gdy się drzwi otwały i rozległ się ponury głos gospodarza:

— Kto się włóczy po nocy?

Zobaczył żołnierza, poznał go i bez słowa cofnął się do izby. Marcin wszedł za nim szukając oczami Natalki. Ale w izbie był tylko Saturnin zszywający uprzęż przy świetle małej wiszącej lampy.

— A gdzie wasza córka? — niespokojnie spytał Marcin.

— A gdzież by? W Grelach. Ona tu jak pies na uwięzi, siedzi z musu, jak z musu robi, byle chwila, to i poleciała. Może i raczy dziś się dowiedzieć, bo już trzeci dzień, jak poszła. To już zupełnie uwolniony wracacie?

— A tak.

— No i co myślicie robić?

— Do rzemiosła się swego wezmę.

— Aha, a z tą co będzie?

— Z Natalką? Myślę, że ze mną będzie.

— Tak na wiarę?

— Inaczej nie może być.

— Nu, popróbujcie! — groźno warknął stary.

— Donos dacie? Wola wasza. Wy twardzi w swoim, ja w swoim. Popróbujemy się. Bywajcie zdrowi.

Zawrócił do wyjścia, gdy drzwi się otwały, weszła Natalka.

— Marcin! — rzuciła się doń z wybuchem szczęśliwości, obejmując za szyję, całując, płacząc i śmiejąc się zarazem. — Tak coś czułam, tak mnie tu coś gnało. Mówię matce: „Polecę, może wstąpi po drodze.” Powiada: „Pewnie, że wstąpi, to jutro razem do nas przychodźcie.” Mój ty biedaku, toć do nitki przemokłeś, a jak czarny, do siebie niepodobny. Toć zrzuć to szynelisko przeklęte, zaraz będzie wieczera.

— Natalko, ja tu nie zostanę. Zaszedłem, ojciec twój donosami grozi. Pójdę do Grel.

— Toć ojciec mi poprzysiągł, że ci złego słowa nie powie, że cię przyjmie.

Saturnin podniósł swe ponure oczy.

— Tutaj niech będzie i razem pracuje. Ale jak ciebie zabierze na włóczęgę z sobą, na służbę jaką, po obcych dworach i kwaterach, to nie będę milczeć, wszystko wiem i wszystko powiem! Tutaj ty u siebie i ja u siebie. A on przystał, to niech razem będzie.

— I będziecie żądać, byśmy w Kozarach ślub wzięli? — bez tchu spytał Marcin.

— Nie! — rzekł krótko Saturnin.

— Jużesmy się zmówili z Julka Skowrońska z Oziernej, że razem na ślub pójdziemy! Ją bierze Stefan Grzybowski z Siennej. Matka i Wikcia pójdą z nami, zaraz po kołędzie pójdziemy.

— Pozwolicie? — spytał Marcin. — Wiecie, że za to i wam spokoju nie dadzą!

— To moja sprawa. Zostajesz tu z nią?

— Spytam jutro moich.

— Jutro wieczór żebyście tu byli z powrotem, a pojutrze za gospodarstwo się wzięli. Latać do Grel co moment nie pozwolę, a jeśli co was tam korci, tu ma być!

Natalka poczęła Marcinowi coś szeptać, namawiać, prosić. Długo się wahał i opierał, ale wreszcie worek w kącie umieścił, szynel zdjął i podszedł do Saturnina.

— Dziękuję wam i jeśli zawinił, o wybaczenie proszę. Nijakiej zdrady i oszukaństwa nie chciałem czynić i uczciwie wiary i przywiązania dochowam do śmierci, tak mi, Boże, dopomóż.

— Ja ci wróg nie będę ani wam się przeciwić. Co się stało, nie zmienić!

W kilka dni potem na folwarku zaczął się inny ruch. Opuścił się pan Saturnin przez ostatnich lat parę, strzechy były dziurawe, płoty rozwalone, cegielnia nieczynna, inwentarz chudy, pole byle jako przez parobka uprawione. Stary i sił nie miał i ochoty, z dawna nietowarzystki i ponury, zajęty tylko zbieraniem grosza, teraz i o te dochody dbać przestał. Obmierzył mu trud, obmierzył mu dom, bo Natalka zrazu zupełnie kędyś przepadła, a potem służyła w Grelach. Gdy ją zabrał na wiosnę, niby to pracowała, ale duszą i myślą gdzie indziej.

Plotka okoliczna wnet nowiny na folwarku zaszła rozniosła szeroko, gadano w miasteczku, gadano w Kozarach i pewnego dnia zajechał na folwark uradnik.

Marcin stodołę nową słomą poszywał, Natalka była w oborze. W izbie pan Saturnin robił grabie, a na podłodze przy nim bawił się paroletni dzieciak.

Uradnik zagaił rzecz o jakiś podatek, potem spytał:

— Toście sobie parobka czy zięcia wzięli? Podobno ten Marcin z Grel u was na stałe?

— A on u was pod nadzorem może?

— Nie, tak ludzie gadają, plotą nieładnie. A dziecko to czyje?

— „W Grelach koklusz, to Kafarowa swoją małą przysłała na jakiś czas.

— Katolikami zapchaliście cały dom.

— Zakazu nie ma na to.

— A córka wasza co niedziela w kościele bywa. Patrzajcie, żeby biedy nie było.

— Jakiej biedy! Przejść nie przejdzie, bo nie wolno. Zakon na to jest.

— Zawsze niedobrze, jak ludzie gadają.

— Mnie ludzie tyle co splunąć warci. Mnie obchodzi prawo i prawa pilnuję.

— W Kozarach, w cerkwi to was też nigdy nie widać.

— A kogo tam widać! Bab trochę gada przede drzwiami, chłopów wcale nie ma.

— Przykład dajcie.

— Jak mnie wyświęcą choćby na diaka, to przykład dam. Ja już stary, stać tyle czasu nie zdążam*.

Gdy gość odjechał, Natalka wpadła niespokojna.

— Co gadał? Coś węższy?

— Siana chciał.

— Dajcie.

Stary podniósł oczy ponure.

— Ja już dosyć dał, nie dostaną nic!

Po tej wizycie uspokoiło się. Minał adwent, na święta pan Saturnin się położył i bardzo stękał. Odwiedził go diak z Kozar i zd się, że zastał go pod opieką baby służącej.

— A gdzie to Nataszka wasza?

— Wybrała się w odwiedziny do ciotki, aż pod Brześć.

— Ot, a ojcu Mitrofanowi napletli, że ona do tej bandy należy, co do Polszy poszła. Już ich pilnują i połapią.

* d u ż a ć s i ę — wysilać się, borykać się.

— A niech połapia.

— Rozpusta się wzięła! — biadał gość. — Z Oziereców już i grosza nie ma dochodu, teraz zaraza na Pachołki i Sienną przeszła. Bez policji to by dzieci nie chrzcili, do spowiedzi trzeba uradnikom gonić. W pogaństwo się zaprzędali, a chłopci, na to patrząc, także gałganieją. O każdą rzecz targ. Ot, było z tymi okolicami wszystkimi tak zrobić, jak z Krośną, byłby spokój i chwała Boska jedna, prawdziwa.

— Jest i kłopot, jest i dochód. Za chrzest zapłaci chłop dwa złote, a taki z Ozierej czasem i trzy ruble da, żeby nie chrzcic.

— Bywało tak, teraz gorzej. Sztrafy płaci, w ostrogu siedzi, nie idzie do ojca Mitrofana. A jak starosta dziecko przywiezie, to darmo chrzcic trzeba. Dawniej czasem jeden, drugi popróbował i ustąpił, teraz, co dalej, powinni zapominać, to gromadą się buntują. Doczekają się, że będzie jak z Krośną. A koło tego kościoła ciągle grzebią umarłych, a wy ich pokrywacie!

— Nie patrzę w tę stronę i świadczyć nie chcę. Niech policja straż trzyma. Ja nie będę ryzykował, żeby folwark z dymem poszedł jak straż Deremera!

— Ojciec Mitrofan już podał prośbę, żeby z kościoła zrobić filię. Wtedy się to skończy. Tylko błahoczynny o fermę się boi, żeby z kościołem nie przeszła do nas, to sprawę psuje.

— Ryzykowna sztuka. Jakby ruszyli kościół brać, masa narodu się wymarnuje.

— Myślicie, nie dadzą. To i pozbędziemy się ich od razu.

— I to prawda! — rzekł po namyśle Saturnin.

Ledwie gość odszedł, unosząc spory kosz kiełbas i pierogów, gospodarz wstał, odział się, założył klacz do sani i pojechał do miasteczka, wprost do Bohuszewicza. W izbie zastał kilkoro ludzi i zaraz z progu zaczął burczeć i kląć.

— To policja ma łapać jakąś bandę, co do Polszy licho wie po co się powlokła, i jeszcze moją dziewczynę w to zamieszają. A wiadomo, że z waszą żoną pod Brześć pojechały, a tamtych na Bugu będą łapać, a rodzinę porewidują. Mówiłem, paszport brać.

To powiedziawszy zawrócił i pojechał do błahoczynnego. A ludzie zebrani u Bohuszewicza rozpierzchli się szybko, a Bohuszewicz konia założył i kędyś ostro pojechał.

Po tygodniu na Oziernę, Pachołki i Sienne spadła rewizja, ale nic nie znaleziono, pewnej też nocy wróciła Natałka z Marcinem, zdrożeni, zmęczeni, ale szczęśliwi. Pokłoniła się do kolan staremu i Marcin złożył mu metrykę ślubną, z daleka, z zagranicy. Popatrzał na nią stary, głową pokiwał, coś zamruczał i papier schował.

Nazajutrz pojechał do Grel i śmiało wszedł do Kafarów. Niewiele mówił, jak zwykle.

— Przyjąłem sobie Marcina, będzie gospodarzyć i pracować, trzeba, żeby jakiś grunt miał. Tu wam w wierne ręce złożę weksle* na dwa tysiące rubli. Jak ja umrę, będzie pozór miał, dlaczego siedzi. Tak trzeba. A jak już tu jestem, to i Marcelkę zabiorę z sobą i was proszę, żebyście w niedzielę w gościnę przybyli do młodych.

Kafarowie zdumieni byli, aż nieufni, ale przystali. Stary dziewczynkę w kozuch okręcił i zabrał mrużąc na wyjezdny:

— To latała do niej co parę dni przedtem, a teraz to gotowa wam porzucić.

— Zostawcie. Nam także pusto w chacie — uśmiechnął się Kafar.

— Nie żebrak ja, żebym swojego nie utrzymał.

— No, no, będziecie mieli kłopotu z takimi swoimi!

— Podumamy, wymyślimy!

Odtąd Saturnin zupełnie się przestał gospodarką zajmować. Albo bawił się dzieckiem w izbie, albo włóczył się po okolicy. Bywał u dzierżawcy krośniańskiej fermi, Żyda, u ojca Mitrofana, u nastawników, u niższych urzędników, co niedziela pilnie uczęszczał do cerkwi; opowiadał wszystkim, że folwark Marcinowi oddał posesję, że ten po Siemaszce wziął zapis i

* weksel — zobowiązanie w specjalnej, prawem przepisanej formie, dotyczące wypłaty określonej sumy określonej osobie lub okazicielowi weksla w oznaczonym terminie. (Słownik wyrazów obcych, PWN 1967)

pieniądze ma, a gdy go przestrzegano, że tak dwoje młodych to niebezpiecznie w domu trzymać, chytrze się uśmiechał i mówił:

— To się pobiorą w Kozarach, jak inni. Zakon wiadomy!

A tymczasem na folwarku, przy ludziach, Saturnin mówił do córki i Marcina miejscowym narzeczem, a wieczorami, gdy byli w izbie sami i zamknięte okiennice, Natałka przędła, a Marcin czytał głośno książki, które z Grel przesiąkały skrycie do Oziernej, do Pacholek, do Siennej, nawet do miasteczka.

Stary, siedząc pod piecem słuchał, milczał, a tylko bardzo pilnował, by książkę na dzień dobrze schować.

Czasem w święto przyjeżdżali Bohuszewiczowie. Wtedy stary pilnował, żeby babę z kuchni i parobka uwolnić na wieś, do swojaków, bo wiedział, że wtedy będą śpiewy.

Wikcia najwięcej pieśni umiała, z zagranicy z nią przyszły, Bohuszewicz wtórował na skrzypcach, potężnie brzmiał głos Marcina, a Natałkę często łzy zdławiły. I szło po tej izbie o tych listkach, co lecą z drzewa, a wyrosły wolne, o jaskółce, co odlatuje z pustej fary, i o tej, co jeszcze nie zginęła. Za oknem leżał kraj zamarty i milczący, skuty zimą, czerniały zabudowania fermy krośniańskiej, zamknięty kościół, generalskie Kozary, wycięte bory, obce dwory, nigdzie życia ni pamięci, że co innego tu kiedy było.

A ci śpiewali i płakała Natałka, i słuchał stary Saturnin milczący, zadumany.

W Grelach nie było zmiany. Misia z panią marszałkową gospodarzyły, bywał często Białożór, rzadziej sąsiedzi. Kostuś osiadł w miasteczku, ale mało praktykował, bo objeżdżał okoliczne panny, na żadną jakoś się nie mogąc zdecydować. Od Ostaszewskiej odstraszały go długi obciążające Suhaki, od Butwiłówny lojalność i tchórzostwo ojca. W Grelach bywał rzadko, bo babka gderała, że nic nie robi, Misia drwiła, a Duszka napędzała do żeniaczki.

Stefan się nie pokazywał, pisał często. Rozprawę skończył i doktorat otrzymał, o sobie donosił, że pracuje u rejenta* w Kaliszu, nie wspominał, ile zarabia ani jakie są stosunki z matką i rodziną. Tak minął rok znowu, gdy pewnego dnia w czerwcu Kostuś się zjawił w Grelach z ojcem. Stary Juriewicz uwolnił się na parę tygodni i przybył, żeby raz przecie dowiedzieć się, co syn postanowił. Ale Kostuś powtarzał swoje:

— Ja prawie jestem pewien, że kocham Ostaszewską, ale my się znienawidzimy w tej biedzie i długach. Tam trzeba wejść z dwudziestoma tysiącami kapitału, a ja mam frakowy garnitur, szafkę z narzędziami, srebrną papierošnicę i zarobione wczoraj u synowej Abrama Papirnego dziesięć rubli.

— Więc decyduj się na Butwiłównę! — rzekł ojciec. — Dostaniesz posag i zarabiasz praktyką.

— Ja bym się na obydwie zdecydował, ale papy nie znoszę. Jego lektury petersburskich gazet, jego uprząży, jego czapki „dworiańskiej”, jego wizyt u wszystkich potentatów, jego oportunisty* i jego w samym dziele” i „między tym”. Ja bym mu z rozkoszą śpiewał „Z dymem pożarów”, podrzucał galicyjskie książki i własnoręcznie krzyże stawiał na jego gruntach. Zresztą tu prawie wszyscy tacy. Kto tu jest? Tchórze bez ducha.

— Więc zostać nie chcesz. Rok się skończył, miałaś próbować pracy. Cofasz się? — spytała pani marszałkowa.

— Chciałbym zostać, ale jak? — bąknął.

— Dlaczego matka Stefana nie sprowadzi? — rzekł Juriewicz. — Toć go Ossoria wypędził, matka wydziedziczyła na korzyść dobroczynnych instytucyj, świat go się wypiera i potępia, głodem marł w Warszawie, teraz się tuła po tym Kaliszu bez pracy i zarobku, bo nie ma protekcji, a owszem, złą notę wszędzie.

— Kto ci to mówił?

* r e j e n t — urzędnik sądowy spisujący umowy, testamenty i inne akty prawne.

* o p o r t u n i z m — umiejętność przystosowywania się do sprzyjających w danej chwili okoliczności, brak zasad, ugodowość.

— Słyszałem od Podhorskiego i od niej! A najgorsza, wedle nich, że się zadaje z „rewolucjonistami”, to jest, że uczy lud i książki z zagranicy przemycyca. Toć aż parszkają, gdy o nim mowa. On nie pisuje do was?

— Owszem, ale pisze, że mu dobrze.

— Aż póki nie dostanie się do szpitala czy do cytadeli*! — zamruczał Juriewicz.

— Czyż i ojciec już zrobił się ostrożny! — rzekł Kostuś z przekąsem.

— To nie ostrożność, ale tylko rozsądek. I ty, i on marni czas i siły wahaniami się i błąkami.

Pani marszałkowa wstała, zawołała za sobą Misię, poszły do kancelarii. Rozmawiały długą chwilę, pisały coś, wreszcie Misia poszła do stajni i posłała konno furmana do miasteczka z listem grubym, pieniężnym.

Misia zaraz poszła w pole, staruszka wróciła na ganek do Juriewiczów i rzekła:

— Posłałam po Stefana. Będzie za kilka dni i wtedy obydwóch was los się zdecyduje. Żebym ja to wcześniej wiedziała!

— Co tam Stefan! On się w czepku urodził. Żebym ja wiedział, co robić! — westchnął Kostuś.

— On miał też do wyboru dobrobyt i karierę czy tu ciężkie bojowanie. Wybrał, wszystko tamto rzucił i tu nie przyszedł nawet. Zresztą nie panowanie tu mieć będzie, w Grelach. Są ciężary, przychodzą klęski, ziemia karmi się potem i łzami.

— Bierze i krew! — szepnął Juriewicz. — Gdy w nią wrośniesz, przekonasz się, jaka ciężka, twarda, niewdzięczna, bezlitosna bywa. A tutejsza jakże smutna, biedna, jaki się często czujesz słaby, i samotny. Stefan musi ją brać, babkę w robocie i troszce zluzować, ty może lepiejżeń się z Butwiłówną, pracuj w swym fachu tutaj. Wpływ mieć możesz i dużo zdziałać dla idei.

— Czy ja wiem? Czy ja wiem co wziąć? — mrucał Kostuś. Dzień, dwa, wreszcie tydzień minął, nie było odpowiedzi od Stefana, depechy o konie. Niepokoiła się babka, niecierpliwiał się Kostuś, kładła pasjansę Duszka, tylko Misia była jakby obojętna, zajęta tylko sianokosem. Wracała co dzień późno z łąk, przez las i pewnego dnia, skracając na borową drogę, przeraziła się, osadziła swą kasztankę i krzyknęła:

— Pan tutaj! Skąd? Jak?

On podszedł, zdjął kapelusze i patrzył w nią jasnymi, rozkochanymi oczami.

— Rada mi pani! — rzekł radośnie. — Naprawdę, patrzy pani na mnie serdecznie. Wysłużyłem wiarę?

— Skąd pan się tu znalazł? Gdzie konie?

— Fura pod młynem. Spytałem młynarza, gdzie pani, i czekam! Przecie nad siły moje było witać się z innymi.

Uśmiechnęła się odzyskując swój humor i rzekła:

— Więc ta roczna nieobecność ma być dowodem uczuć i miał pan tym wysłużyć wiarę! Przecie, żebym ją nawet miała, tobym straciła! I żeby nie gwałtowny list babki, ileż by jeszcze czasu trwała ta niby próba wytrzymałości uczuć!

— Misiu, żartem mnie witasz! — szepnął.

— Mam płakać? Przecie pan jest nareszcie. Nie śmiałam się i nie żartowałam dawno! Dla mnie przez ten rok dał pan tylko jeden dowód, że pan nie wie, co tęsknota, i tego zazdroszczę panu.

— Misiu, kochanie! Polubiłaś mnie trochę?

— Nie wiem! Może nie, bo tęskniłam nieznośnie — odparła próbując się uśmiechnąć, a łez mając pełne oczy.

— Mojaś jedyna! — szepnął ręce jej okrywając pocałunkami.

Opanowała się i rzekła:

* c y t a d e l a — twierdza albo zamek obrócone na więzienie.

— Jedźmy! Babka się niepokoi.

Ale on stał i błagał oczami. Pochyliła się i dała mu swe usta. Długą chwilę milczeli potem, jechała stępa, on szedł obok i dusze mieli tak ciche i uroczyste jak bór, co je otaczał.

— Misiu! — szepnął.

Spojrzała nań spłoniona.

— Żebyś mnie kochała rok temu i dała jeden pocałunek, nie odszedłbym i może byś teraz już nie kochała, nie byłbym cię wart, przez ten rok spróbowałem się z życiem i nauczyłem się więcej niż przez tamte wszystkie.

— A ja przez ten rok straciłam wiele siły. Należało odejść i nie mogłam. A tyś mi ten sam dziś, co wtedy, co zawsze. Tu, w Grelach, takie przeznaczenie; wszystko dla ciebie, wszystko twoje! Idź, już młyn widać. Ja będę za chwilę w dworze, teraz nad moje siły witać cię z innymi.

Zawróciła na boczną dróżkę i zniknęła w gąszczu. Nie była przy powitaniu, przy pierwszych opowieściach, ledwie się zjawiała do kolacji.

— Ach, Misiu — poczęła gderać Duszka — taki gość! Mogłabyś była wcześniej wrócić.

— Toć się nagadali na drodze! — zaśmiał się Kostuś. — I jeszcze się nagadają do syta. Może ciocia już dla nich kabały nie stawiać.

Stefan był pewien, że po wieczery Juriewiczowie i babka pójną spać, a Misia będzie w kancelarii zajęta, ale wyrachowania zawiodły, bo gdy się rozchodzono do spoczynku, babka zawołała go z sobą do sypialni.

— Sprowadziłam cię, żebyś już został — rzekła. — Jesteś już wolny tam?

— Najzupełniej. Matka może jeszcze trochę mnie żałuje, ale ona duszą i wolą do rodziny swej należy. Myślałam, że cierpieć będzie; przekonałam się, że chciałaby mi tylko dokuczyć.

— Doczekały się Grele ciebie i mnie pora spocząć. Utrzymałam ziemię, ciężko bywało, i często i tobie będzie ciężko. Z początku po sześćdziesiątym trzecim ustępowali ci, co zwątpili lub stchórzyli. Wtedy trzeba było się fantować* często, wtedy poszły srebra i klejnoty, zapasy, jakie były. Gdy panika i egzekucje minęły, trzeba było gospodarstwo na nowo dźwigać, stwarzać nowy byt, wtedy też wielu ustąpiło, nie umieli i nie chcieli pracować, do panowania, bawienia się i próżnowania nawykli. Wtedy trzeba było nie dospać, nie dojeść, nikogo nie widywać, nigdzie nie bywać, oszczędzać, odmawiać sobie wszystkiego, stare nałogi zabić. Teraz kto został, już najgorsze przebył, może trwać. Ale z takiej walki o byt złe jedno wyrosło: duch zmałał. Ludzie teraz zajęci tylko swymi interesami, o innym i nie myślą. Nie można ich za to potępiać, ale można się lękać o przyszłość. Nie dość morgi zachować i nie dość uważać je za swoje. Z tego posiadania i rządu trzeba będzie rachunek zdać idei. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem.

— Więc nie będziesz mi miał za złe, że nie zebrałam dla ciebie kapitałów z tej ziemi, a przeciwnie, mam jeszcze ciężary. Trzeba było jednych wychować, drugim pomóc, pamiętać o zesłanych, o zubożałych, o słabszych, trzeba było i wykupić, i zapłacić karę za innego, i przekarmić rodzinę takiego, co usunięto na czas jakiś. Mamy lasy, nie sprzedawałam bez ciebie, więc na te lasy trzeba teraz kupca. Dług mam niewielki, bankowy, ale tego kapitaliku, co w tych drzewach leży, potrzeba jako siły na dalsze kłęski. Ziemia to warsztat mozolny i zdradliwy, i gorzki bywa na niej trud. Gdy do tej pracy staniesz, pożegnaj się ze swobodą i spokojem, i nigdy na plon na pewno nie rachuj. Jedna chmura może ci wszystko zniszczyć, zubożyć na tysiące. Przychodzą posuchy lub zalewy, zarazy na bydło, grady i gromy, pożary, wczesne mrozy, zimne wiosny, tysiące kłęsk i przeszkod! Nie lękasz się?

— Lękam się tylko, czy potrafię. Nie przygotowany jestem ani fachowo, ani praktycznie.

— Pomogę ci, poradzę, póki jeszcze siły służą. Rozmówiłeś się z Misia?

— Tak, babciu, i chciałbym ożenić się jak najprędzej.

* f a n t o w a ć — dawać w zastaw.

— Żeń się, będzie wam dobrze z sobą pracować. Rodziny nie ma i pomocą ci będzie dzielną. Jeszcze jedno chciałam z tobą rozważyć. Zatrzymałam Kostusia tutaj. Bałam się o niego na obczyźnie. Miałam na oczach taki przykład Białozora straszny. Matka jego dzieckiem moim była. Dwoje ich miałam i te dwa groby jednakie są, dla jednej sprawy. Chciałabym, aby z Grel Kostuś zapomogę miał i na ziemi tutejszej został. Nie pożałujesz mu?

— Babciu, jeśli to moje, to niech mu babcia odda połowę, będę szczęśliwy!

— Tyle nie trzeba. Wystarczy moje słowo kredytorem Ostaszewskiej, że ręczymy. Gdy las sprzedamy, zapłacimy. Niech się i on żeni, i do roboty stanie.

Umilkła zamyślona. Potem otworzyła swe staroświeckie biurko, wydobyła safianowe^{*} pudełko.

— Było przedtem pełne! Sprzedać trzeba było wszystko — rzekła wyjmując ze dna kęs amarantowego jedwabiu, starego, wyblakłego, a z niego dwa pierścionki. — To sygnet twojego ojca. Ze zwłok mu ukradziono, odzyskałam cudem, chowałam dla ciebie, w szmatce z tej chorągwi, pod którą padł siedm ran mając. Weź go, noś i dla tego żyj, za co on życie położył. A ten brylancik mój zaręczynowy Misi daj, i bądźcie i w nieszczęściu zawsze spokojni, Bogu ufający i wiele miłujący! A tak żyjcie, byście się ni życia, ni śmierci nie lękali.

Objęła go za głowę, pocałowała, potem przeżegnała. Wyszedł po tej rozmowie skupiony i uroczysty, jakby święcenie wziął.

Nazajutrz wszyscy pojechali do miasteczka na cmentarz. Głaz bez napisu, granit polny leżał na mogile Hrehorowicza i dąb; rozrósł bujnie.

Zastali już tam Kafara, Marcina i Bohuszewicza. Na skinienie pani marszałkowej podważyli kamień, pomogli Juriewiczze i Stefan.

Na odwrotnej stronie był napis niezgrabnie, krzywo wryty, ziemią zakryty.

Wytarto, odczyszczono powierzchnię i z trudem odczytał Stefan:

Mogiła Stefana Hrehorowicza, zmarłego w roku 1863, a żyjącego, aż tej ziemi stanie.

Wszyscy uklękli. Pani marszałkowa zaczęła mówić nie modlitwę za umarłych, ale „Kto się w opiekę”.

KONIEC

^{*} safian — cienka, miękka, wyprawiona garbnikami roślinnymi, barwiona skóra kozła lub barania, używana na oprawy książek, na obuwie, obicia mebli itp.